4

Non Stop

MAGAZYN MUZYCZNY

● Nr 4 (362) ● KWIECIEŃ 1989 ● Cena 170 zł ●

PL ISSN 0239-6904, Nr indeksu 36592

9013

● IGGY POP
● EXODUS
● COCTEAU TWINS
● AYA RL
● BAD



BON • JOVI



GDZIE SĄ REKINY ?

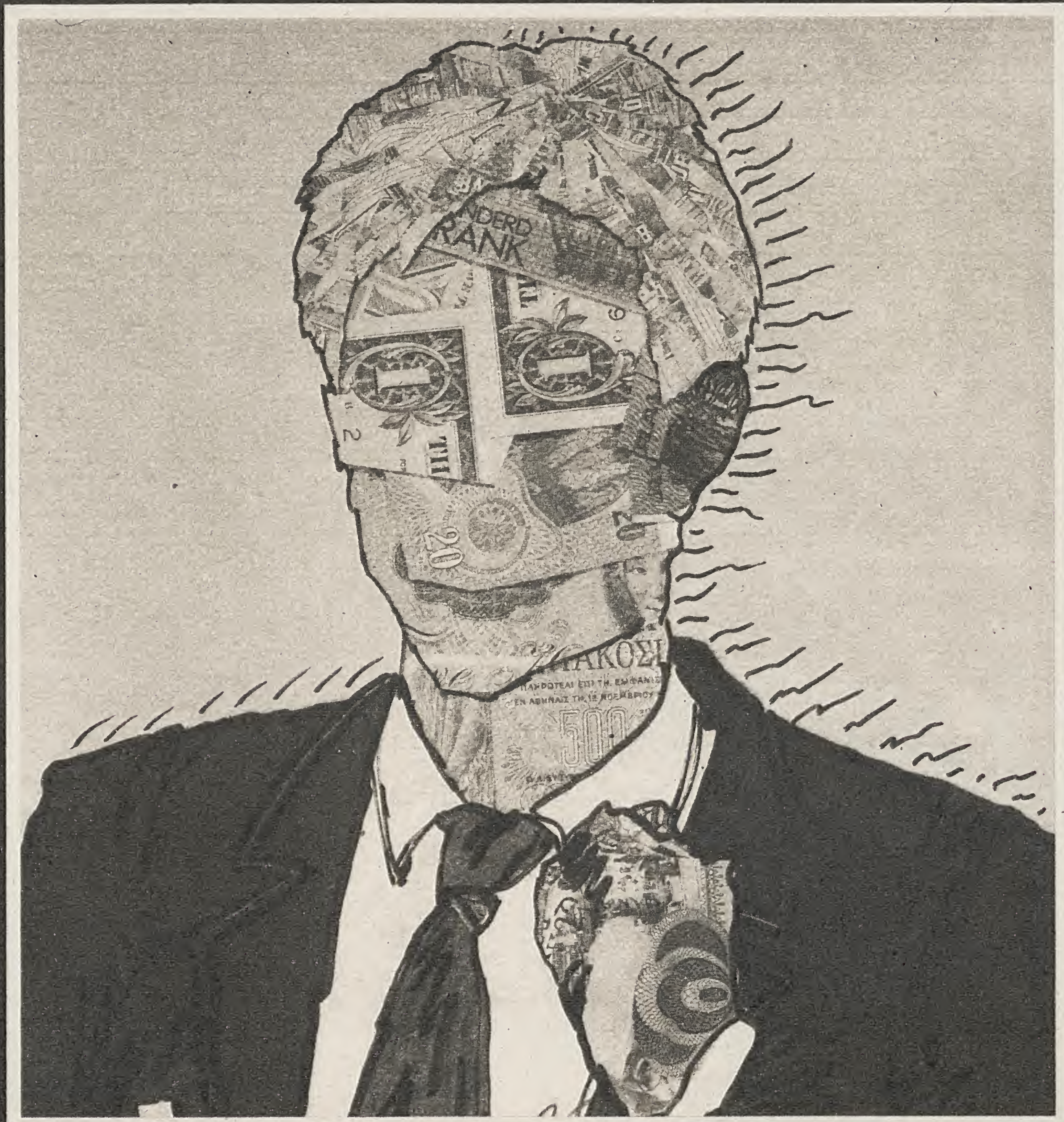
W latach siedemdziesiątych, kiedy oficjalnie zadekretowano, że Polak potrafi, radosnej stabilizacji towarzyszyło całkiem śmiałe hasło: bogaćcie się! Niestety chęci miały się nijak do możliwości i pewnie dlatego udało się tylko nielicznym. W wypadku twórczości artystycznej pieniądz nie jest podstawowym motorem działania, motywacje są jednak bardziej złożone, bo i artyści to ludzie zwykle nieprzeciętni. Toteż za sprawą wewnętrznej potrzeby i talentu powstają coraz to nowe dzieła początkowo przeznaczone dla siebie lub grona kolegów, które na zawsze pozostałyby w garażu, gdyby nie ten specjalny moment – DEBIUT.

Od niego zaczyna się wszystko, bądź na nim wszystko się kończy – tak być powinno. W rzeczywistości debiutem rządzą prawa bliżej nie zbadane. Udany debiut oznacza włączenie wykonawcy czy zespołu w jeden z istniejących obiegów kulturalnych, a co za tym idzie koncerty, festiwale, nagrania radiowe a przy odrobienie szczęścia także płytę. Sukces związany jest zwykle z lokalną popularnością, prasowymi recenzjami i dopływem gorącej gotówki. I nic więcej. To nie tak mało jak na debiutantów, tyle że ten przejściowy z definicji status ma u nas często charakter trwały. A to dlatego, że udany nawet debiut nie gwarantuje wcale rzeczy dalece ważniejszej – PROMOCJI.

Konia z rzędem temu, kto znajdzie w ostatnich latach w Polsce przykład profesjonalnie przeprowadzonej akcji promocyjnej debiutującego zespołu. Pojawiały się grupy, które po pierwszej płycie i kilku trasach okrzyknięte zostały mianem „wschodzących gwiazd", a potem nagle znikały z pola widzenia. Nie mając trwałych podstaw działania, pomocy w przygotowaniu nowego repertuaru, czy po prostu środków do dalszej pracy, rozpadały się. Część w końcu,chcąc zostać na powierzchni nadal zgrywa doszczętnie kilka piosenek podczas koncetów w „Polsce C".

Muzyka to dobry towar. Promocja to pieniądze. Żeby zarobić – trzeba zainwestować. Te proste prawdy, odkryte przecież już dawno i znane także u nas leżą u podstaw zarówno sukcesów artystycznych wielu wykonawców, jak i finansowych ich sponsorów. Dziś, kiedy już mniej szczytnych haseł, a „mieć" traktowane jest co najmniej na równi z „być", rock, który jest trwałym zjwiskiem kulturowym, powinien też stać się istotnym elementem przemysłu rozrywkowego. Ma on już swoich wiernych fanów i utalentowanych artystów. Teraz potrzebne mu są rekiny – i to najchętniej te finansowe.

WOJCIECH S. KACZOROWSKI



DAWNIEJ „JAZZ" rok zał. 1956

Nr 4 (361) ● KWIECIEŃ 1989

REDAGUJE ZESPÓŁ: Sławomir Gołaszewski, Adam Halber, Barbara Jóźwiak (sekretarz redakcji), Wiesław Królikowski, Wojciech S. Kaczorowski (redaktor naczelny), Ewa Marczyńska (z-ca sekretarza redakcji), Roman Rogowiecki (komentator), Jerzy Rzewuski. Redaktor techniczny: Katarzyna Malarska. Opracowanie graficzne: Zbigniew Karaszewski.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: Tomasz Beksiński, Grzegorz Brzozowicz, Jacek Demkiewicz, Dorota Duda, Monika Dzieran, Jacek Marczyński, Przemysław Mroczek, Arkadiusz Pragłowski, Paweł Sito, Tomasz Słoń, Wiesław Weiss, Jakub Wojewódzki.

ADRES REDAKCJI: Magazyn Muzyczny, ul. Kredytowa 5/7 00-056 Warszawa, tel. 26-74-00.

WYDAWCA: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 02-017 Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127.

DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

PL ISSN 0239-6904.
Nr indeksu 36592.
Zam. 7678. A-14.

WARUNKI PRENUMERATY:
1. dla osób prawnych – instytucji i zakładów pracy:
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
2. dla osób fizycznych – indywidualnych prenumeratorów:
– osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
– osoby fizyczne zamieszkałe w miastach – siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch";
3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy;
Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:
– w prenumeracie rocznej, półrocznej i kwartalnej – termin do 10 listopada na I kwartał, I półrocze i cały rok następny i do 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty kwartalnej 510 zł, półrocznej 1020 zł, rocznej 2040 zł.

CAŁY TEN ZGIEŁK

■ Zbliża się dwudziesta rocznica festiwalu **Woodstock.** Z tej okazji sieć MTV przygotowała 75 wideoclipów dokumentujących niezapomniane koncerty z sierpnia 1969 roku. Mniej więcej połowa filmików wykrojona została ze słynnego reportażu Michaela Wadleigha *Woodstock*, reszta – z taśm przed laty odrzuconych, nieznanych publiczności. Clipy pokazywane będą przez MTV od początku maja do końca sierpnia. Powstaje też dwugodzinny film, w którym wykorzystane zostaną ukrywane przez lata w archiwach materiały zdjęciowe dokumentujące występy Janis Joplin, zespołów Jefferson Airplane, Mountain, The Butterfield Band, Canned Heat i innych.

■ Piosenki *Knocked Out* i *Straigh Up* przyniosły popularność **Paull Abdul.** Ma 25 lat, pochodzi z Los Angeles, mieszka w Van Nuys w Kalifornii. Studiowała w szkole baletowej, jako choreograf współpracowała z Georgem Michaelem oraz zespołami Duran Duran, Heart i Whitesnake. Śpiewa od niedawna – w roku ubiegłym zadebiutowała albumem *Forever Your Girl* (Virgin).

■ Nowym perkusistą grupy **W.A.S.P.** jest Frank Banali.

■ Ponieważ grupa **Kiss** zawiesiła działalność, gitarzysta Paul Stanley koncertuje z zespołem, do którego pozyskał basistę Boba Kulicka i perkusistę Carmine Appice'a.

■ Po niezbyt udanych próbach rozpoczęcia solowej kariery, Brian Setzer doszedł do wniosku, iż najwyższy czas, by reaktywować **Stray Cats.** Slim Jim Phantom i Lee Rocker nie mieli nic przeciwko temu i cała trójka weszła do studia wraz z producentem Davem Edmundsem, by nagrać płytę długogrającą. Praca nad nią zajęła im dwa tygodnie, a jej efekt, zatytułowany *Blast Off*, publiczność pozna na wiosnę.

■ Ostatnia z wielu pogłosek o rozłamie w zespole **Echo And The Bunnymen** znalazła potwierdzenie w faktach. Ian McCulloch przystąpił do nagrywania pierwszej płyty solowej, pozostali trzej muzycy zdecydowali się jednak kontynuować współpracę. Nieprawdziwa natomiast okazała się informacja o rozpadnięciu się amerykańskiej formacji **Lone Justice,** którą wywołała decyzja wokalistki Marii McKee o rejestracji samodzielnego albumu.

■ Po siedmiu wspólnie spędzonych latach (od sukcesu *The Days Of Wine And Roses* z 1983 roku po porażkę *The Ghost Stories* z ub. r.), rozstali się definitywnie członkowie **The Dream Syndicate.** Zespół ten należał do czołowych przedstawicieli wielkiego odrodzenia kalifornijskiego „podziemia" w połowie lat 80.

■ Czterema koncertami w Mean Fiddlers w londyńskiej dzielnicy Harlesden pożegnała się ze swoimi miłośnikami irlandzka grupa **The Dubliners.** Od jej powstania minęło 27 lat.

■ Oto nowe wieści z obozu **The Housemartins:** Paul Heaton i Dave Hemmingway sformowali w styczniu nową grupę The Beautiful South i przystąpili w Hull do nagrywania pierwszego albumu, Norman Cook pracuje w Brighton nad płytą *Real Sounds Of Africa*. Stan Cullimore realizuje solową płytę, a Hugh Whittaker objął posadę perkusisty w The Penny Candles.

■ Jak już pisaliśmy, **Sting** pojawi się jako Hamlet w filmowej wersji głośnej sztuki Toma Stopparda *Rosencrantz i Guileenstern nie żyją* (w reżyserii autora), przygotowuje się również do występu w scenicznej wersji *Opery za trzy grosze* Bertolta Brechta i Kurta Weila. Z kolei **Tom Waits,** który w grudniu skończył zdjęcia do filmu *Cold Feet*, wystąpi w inscenizacji dramatu Thomasa Babe'a *Demon Wine* w Los Angeles, w roli syna drobnego kryminalisty. Z kariery aktorskiej nie rezygnuje również **Madonna,** podobno już definitywnie rozwiedziona z Seanem Pennem. Warren Beatty obsadził ją w swym nowym obrazie *Dick Tracy*, będącym ekranizacją klasycznego komiksu o tym samym tytule.

■ **Michael Jackson,** po 5 latach współpracy, rozstał się ze swym menażerem Frankiem Dileo. Plotki głoszą, iż przyczyną zerwania współpracy była niezadowalająca – zdaniem klanu Jacksonów – sprzedaż LP *Bad*, który jak dotąd rozszedł się w „zaledwie" 20 milionach egzemplarzy. Inne źródła podają, iż Dileo za bardzo mieszał się w sprawy kariery Michaela, mówi się też, iż Jackson chce teraz współpracować z menażerem, który bardziej pomoże mu w rozwinięciu skrzydeł jako aktor. W tym roku można spodziewać się podwójnego LP wokalisty, na którym obok znanych przebojów znajdą się 3 premierowe nagrania. Nowym menażerem Macho Jacko został John Branca, pracujący dotychczas z Princem.



MACHO JACKO I FRANK DILEO

■ **Pet Shop Boys** są autorami piosenek z nowej płyty długogrającej Lizy Minnelli. Napisali oni również *Nothing Has Been Moved* dla Dusty Springfield, pojawi się ona na singlu oraz na ścieżce dźwiękowej filmu *Scandal*, opartego na głośnej aferze Profumo z 1963 roku. Także Sinead O'Connor zgodziła się na udostępnienie kinu dwóch swych utworów: *Just Like U Said It Would Be* znalazł się w *The Good Mother* Diane Keaton, a *Jump In The River* – w *Married To The Mob* Jonathana Demme'a.

■ **Guns'n'Roses** są pierwszym od 15 lat wykonawcą, którego dwa longplaye jednocześnie znalazły się w Top 5 listy „Billboardu". W ciągu ostatnich 20 lat tylko 5 zespołom i solistom udała się ta sztuka.

■ **Madonna** podpisała roczny kontrakt z Pepsi-Colą, który oszacowano na 3–4 miliony dolarów. Zgodnie z umową słynne „bąbelki" mogą wykorzystać przeboje wokalistki w telewizyjnych reklamówkach. Na pierwszy ogień poszedł utwór *Like A Prayer*, z singla promującego jej ostatnią dużą płytę. Dwuminutowa reklamówka z tym nagraniem była najdroższą w historii show-businessu, pojawiła się ona na ekranach telewizorów jeszcze p r z e d wydaniem singla z tym utworem. Czyżby więc otwarty został nowy rozdział w promocji płyt?

■ W szeregi Pepsi-Coli wstąpił też **Rod Stewart.** Wziął on udział w serii reklam przeznaczonych wyłącznie na rynek południowoamerykański.

■ Kolejny pobyt **Milesa Davisa** w szpitalu (poddał się operacji usunięcia polipa z gardła) dał asumpt plotkom, iż jest on chory na AIDS. Informacje te pojawiły się na pierwszych stronach wielu gazet, ale zostały szybko zdementowane. W tym miesiącu Mistrz rusza na światowe tournée, w maju ukaże się kolejny LP *Amalda*, a na wrzesień planowane jest wydanie jego autobiografii.

■ Kronika towarzyska: **Terence Trent D'Arby** został tatusiem (urodziła mu się córeczka Seraphina, a jej matką jest przyjaciółka Terenca, Mary Vango).

■ Kronika sądowa: znany producent **Phil Spector** procesuje się z nie mniej znaną spółką kompozytorską Leiber And Stoller. **James Brown** otrzymał drugi wyrok 6 lat więzienia, który – w myśl prawodawstwa USA – odbywał będzie równolegle. Tymczasem rozwija się kampania zmierzająca do uwolnienia Ojca Chrzestnego Soulu. Ostatnio ponad 380 radiostacji amerykańskich zaczęło grać utwór *Free James Brown (Uwolnić JB)*.

■ **Kylie Minogue** pojawi się w filmie *The Delinquents*, którego jednym z producentów jest D. Bowie.

■ Wytwórnia 4AD otworzyła – wespół z Rough Trade – swe biuro na Broadwayu. Czy ta próba mocniejszego wejścia na rynek amerykański powiedzie się?

■ Struktura sprzedaży wydawnictw muzycznych w USA jest obecnie następująca: 10% to płyty winylowe, 35% kompakty, 65% – kasety. Największą dynamikę sprzedaży nadal wykazują płyty CD.

■ **Sting** rozpoczął kampanię na rzecz utworzenia fundacji, zajmującej się ochroną brazylijskich lasów tropikalnych. Pieniądze fundacji mają być przeznaczone na utworzenie parku narodowego, którym opiekować będą się lokalne plemiona indiańskie.

■ **Cat Stevens,** który 10 lat temu przeszedł na islam i zmienił nazwisko na Yusuf Islam, poparł publicznie wezwanie ajatollaha Chomeiniego do zabicia pisarza Salmana Rushdiego. W związku z tym kilkanaście rozgłośni w USA rozpoczęło bojkot jego piosenek, a kilku prezenterów na znak protestu połamało wszystkie jego płyty.

■ Zespół **Spear Of Destiny** opuścił szeregi wytwórni Virgin.

GRAMMY





TRACY CHAPMAN

Pod koniec lutego w Los Angeles odbyła się po raz 31 uroczystość wręczenia dorocznych nagród Grammy, będących dla świata muzyki odpowiednikami filmowych Oscarów. Bohaterami imprezy okazali się Bobby McFerrin i Tracy Chapman. McFerrin triumfował aż w czterach kategoriach: wokalista pop, wokalista jazzowy *(Brothers)*, piosenka roku i płyta roku (oczywiście, *Don't Worry Be Happy)*; Tracy Chapman zdobyła trzy Grammys – jako wokalistka pop *(Fast Car)*, nowa artystka oraz wykonawczyni współczesnej muzyki folk. A oto pozostałe najważniejsze nagrody, według gatunków muzyki. Rock: Tina Turner (wokalistka – *Tina Live In Europe)*, Robert Palmer (wokalista – *Simply Irresistible*, U2 (zespół – *Desire)*, Carlos Santana (nagranie instrumentalne – *Blues For Salvador)*, Jethro Tull (wykonawca hard-rockowy – *Crest Of A Knave)*. Muzyka pop: Manhattan Transfer (zespół – *Brasil)*, David Sanborn (nagranie instrumentalne – *Close-Up)*. Rhythm And Blues: Anita Baker (wokalistka oraz utwór roku – *Giving You The Best That I've Got)*, Terence Trent D'Arby (wokalista – *Introducing The Hardline According To Terence Trent D'Arby)*, Gladys Night And The Pips (zespół – *Love Overboard)*, Chick Corea (nagranie instr. – *Light Years)*. Rap: D. J. Jazzy Jeff And The Fresh Prince *(Parents Just Don't Understand)*. Jazz: Betty Carter (wokalistka – *Look What I Got!)*, Take 6 (zespół – *Spread Love)*. Ponadto, za najlepszy album uznano *Faith* George'a Michaela, za producenta roku – Neila Dorfsmana *(... Nothing Like The Sun* – Sting), pośmiertnie zaś nagrodę Grammy otrzymał Roy Orbison za wykonanie piosenki *Crying* z K.D. Lang.

33 1/3



SIOUXSIE SIOUX

★ Kolejna sesja nagraniowa zespołu **Siouxsie And The Banshees** dla Johna Peela, tym razem z 6 lutego 1978 r., jest już dostępna na płycie wytwórni Strange Fruit.

★ *101* (Mute), nowy, dwupłytowy album grupy **Depeche Mode,** dokumentuje jej występ w Pasadenie 18 czerwca 1988 roku (ostatni spośród 101 koncertów światowego tournée). Do płyt dołączono bogato ilustrowaną wkładkę. Na singel wybrano utwór *Everything Counts*. W ciągu najbliższych kilku tygodni powinien się też ukazać pierwszy solowy album Martina Gore, na razie bez tytułu.

★ Debiut grupy **Kingdom Come** niektórzy uznali za skandal roku ubiegłego, inni za jedno z większych wydarzeń minionych miesięcy. Tych drugich ucieszy zapewne nowa płyta zespołu – *Highway 6* (PolyGram). Utwór tytułowy opowiada o autostradzie biegnącej wprost do rzeki Styks...

★ **Exodus,** jeden z dłużej działających zespołów thrashmetalowych w Stanach Zjednoczonych, proponuje na płycie *Fabulous Disaster* (Combat-Relativity) m. in. zabawną adaptację wielkiego przeboju grupy War – *Low Rider*.

★ Drugiego albumu, *Concentrate Killers*, (IRS), doczekał się zespół **Shok Paris** z Cleveland, porównywany do grup Deep Purple i Boston.,

★ Do cięższego brzmienia wraca zespół **W.A.S.P.** na płycie *The Headless Children* (Capitol).

★ *Mean Machine* (RCA), nowy album zachodnioniemieckiej grupy heavymetalowej **UDO,** zawiera m. in. balladę *Sweet Little Child* napisaną przez Udo Dirkschneidera dla córeczki Niny.

★ Nowa płyta **Doro Pesch** i grupy **Warlock** nosi tytuł *Force Majeur* (Vertigo).

★ Inne nowości ze świata muzyki heavy metal: *Extreme Aggression* – Kreator (Noise), *Blessing In Disguise* – Metal Church (Geffen), *The Great Radio Controversy* – Tesla (Geffen), *Helter Skelter* – Vow Wow (Arista).

★ Na wieść, że **John Cougar Mellencamp** nadał swej nowej płycie tytuł *Big Daddy* (Riva), grupa **Big Daddy** odpowiedziała albumem *John Cougar Mellencamp* (Rhino).

★ **Brian Ritchie,** basista zespołu Violent Femmes, firmuje album *Sonic Temple And The Court Of Babylon* (SST). Na płycie znalazł się m. in. utwór *Sun Ra*, dedykowany słynnemu jazzowemu mistykowi.

★ **Errol Brown,** były wokalista grupy Hot Chocolate, nagrał album *That's How Love Is* (WEA).

★ Największe przeboje grupy **The Style Council** zebrano na płycie *The Singular Adventures Of The Style Council* (Polydor).

★ **IQ,** zespół w którym upatrywano następcę Pink Floyd i innych wielkich grup lat siedemdziesiątych, przypomina się płytą *Are You Sitting Comfortably?* (Squawk). Na singel wybrano utwór *Sold On You*.

★ Zespół **Band Of Holy Joy** podpisał niedawno kontrakt z firmą Rough Trade. Dla niej nagrał płytę *Manic, Magic, Majestic*.

★ Koncertowe nagrania **Jerry'ego Garcii,** lidera Grateful Dead, dokonane w 1987 roku z grupą Acoustic Band, wydano na płycie *Almost Acoustic* (Grateful Dead Records). W programie albumu znalazły się przede wszystkim piosenki ludowe oraz mniej i bardziej znane utwory bluesowe.

★ Z dużym uznaniem amerykańskiej młodzieży akademickiej spotkała się ostatnio płyta **Robyna Hitchcocka** i jego zespołu The Egyptians – *Globe Of Frogs*. Firma AM postanowiła więc zainwestować w wykonawcę. Reklama, jaka towarzyszy wydaniu nowego albumu Hitchcocka, *Queen Elvis*, pozwala wierzyć, że krążek odniesie sukces na listach bestsellerów.

★ Zmarły w 1974 roku **Nick Drake** był bez wątpienia jedną z bardziej charyzmatycznych postaci w historii brytyjskiej muzyki rockowej. Nieznane piosenki Drake'a, m. in. *Bird Flew By, Our Season* i *Blossom*, nagrał i zebrał na płycie *Nine Of Swords* (Kicking Mule) **Scott Appel.**

★ Ukazały się też: *Love Or Physical* – Ashford And Simpson (Capitol), *Stop* – Sam Brown (A&M), *View From The House* – Kim Carnes (MCA), *Gemini* – El-DeBarge (Motown), *Strange Kind Of Love* – Love And Money (Mercury), *Perfect Lover* – Rose Royce (Atlantic), *The Big Area* – Then Jerico (London).

★ **Philip Glass** jest twórcą dramatu muzycznego *1000 Airplanes On The Roof* (z fantastyczno-naukowym librettem Henry'ego Hwanga). Muzykę z widowiska firma Virgin wydała na płycie. O wykonanie partii wokalnych bez słów kompozytor poprosił Lindę Ronstadt.

★ **Bruce Cockburn,** jeden z najbardziej cenionych wykonawców rockowych w Kanadzie, firmuje album *Big Circumstance* (Gold Castle).

★ Informowaliśmy już, że wznowiła działalność grupa **The Stray Cats.** Produkcji nowego albumu zespołu, zatytułowanego *Blast Off* (Capitol), podjął się Dave Edmunds.

★ Za wielką nadzieję amerykańskiego rocka uważa się **Matthew Sweeta,** znanego z płyty autorskiej wydanej w 1986 roku oraz wspólnych nagrań z zespołem The Golden Palominos. W przygotowaniu nowego albumu Sweeta, *Earth* (A & M), gościnnie wzięli udział znani gitarzyści Richard Lloyd (dawniej w Television) i Robert Quine (współpracownik Lou Reeda).

★ **Chet Atkins** zaprosił do nagrania płyty *Chet Atkins C.G.P.* (Columbia) Marka Knopflera.

★ Dziewiąta duża płyta w dyskografii **XTC** to podwójny LP *Oranges And Lemons* (Virgin).

★ Zapomniany już chyba **Howard Jones** powraca z nową płytą *Cross That Line* (WEA).

★ Zwariowana **Danielle Dax** wyrusza na podbój rynku amerykańskiego z LP *Dark Adapted Eye* (Sire).

★ Po 5-letniej przerwie odezwała się **Carole King.** Na nowym LP *City Street* wspomagają ją Eric Clapton, Omar Hakim, Branford Marsalis, Max Weinberg (perkusista Springsteena).

★ LP Starrstruck: *Ringo's Best 1976–83* (Rhino) to wybór najlepszych nagrań **Ringo Starra;** znalazły się tu takie nagrania, jak m. in. *Wrack My Brian, Cookin' In The Kitchen Of Love*, czy *Can She Do It Like She Dances*.

★ Przeglądem najciekawszych nagrań z kariery **Jacka Bruce'a** jest podwójny LP *Willpower* (Polydor). Zawiera on zarówno utwory grupy Cream, jak i solowe dokonania tego słynnego basisty, w tym dwa nowe nagrania. Jego płyta z premierowym materiałem awizowana jest na lato.

★ Inny składak to LP *The Kinks' Greatest Hits* (Rhino) oczywiście grupy **The Kinks.** Na płycie znalazły się nagrania sprzed 1970 r.

★ Powroty, powroty... **Boy George** i LP *High Hat* (Virgin), **Easterhouse** – *Waiting For The Rainbird* (Rough Trade), **Rose Royce** – *Perfect Lover* (Atlantic).

★ Debiutancki LP przebojowego zespołu **S'Express** nazwany został *Original Soundtrack* (Rhythm King/RTD).

★ Po dwuletniej absencji zespół **The Cult** powraca longplayem *Sonic Temple* (Beggars Banquet/Sire), nagranym jeszcze jesienią ub. roku, ale już w nowym składzie. Ian Astbury, Billy Duffy i Jamie Stewart wspomagani są teraz przez perkusistę Matta Soruma i klawiszowca Marka Taylora. Producentem płyty jest Bob Rock, który robił m. in. *New Jersey* Bon Jovi i ostatni album Aerosmith.

★ Równie oczekiwaną płytą jest nowy LP **Matta Johnsona** i jego grupy The The, nazwany *Mind Bomb* (Some Bizzarre).

★ Rodzinka zwana **Clannad** przypomina się longplayem *Past Present* (RCA).

★ Była perkusistka The Velvet Underground **Mo Tucker** wydała LP *In Exile After Abdication*, na którym towarzyszą jej m. in. muzycy Sonic Youth oraz Lou Reed.

★ Inne nowości: Apollonia – *Apollonia* (Paisley Park)..., Black Flag – *The First Four Years* (SST)..., Gaye Bakers On Acid – *Stewed To The Gills* (Virgin)..., Hothouse – *South* (RCA)..., Hugo Largo – *Mettle* (Land)..., James – *Live: One Man Clapping* (One Man Clapping)..., Lyle Lovett – *Lyle Lovett And His Large Band* (MCA)..., McCarthy – *The Enraged Will Inherit The Earth* (Midnight Music)..., Andy Pawlak – *Shoebox Full Of Secrets* (Fontana)..., Play Dead – *The Singles 82–85* (Clay)..., Psychic TV – *Tenko Acid Beats* (Temple)..., Spaceman 3 – *Playing With Fire* (Fire)..., Donna Summer – *Another Time And Place* (Warners)..., Texas – *Southside* (Mercury)..., They Might Be Giants – *Lincoln* (One Little Indian)..., Til Tuesday – *Everything Is Different Now* (Epic)..., Pierce Turner – *The Sky And The Ground* (Beggars Banquet)..., WIN – *Fraeky Trigger* (Virgin).

KRZYKI I SZEPTY

★ Miła wiadomość z Kielc. W Hali Widowiskowo-Sportowej odbył się kilkugodzinny maraton rockowy pod hasłem **„Muzycy rockowi – dzieciom Armenii"**. Bezpłatnie wystąpiło 10 zespołów, z których najbardziej interesujące były podobno: Bruno Wątpliwy, Co Za Zespół i Farben Lehre. Organizatorzy – Kieleckie Młodzieżowe Centrum Kultury – zapowiedzieli kontynuację imprezy, chociaż niekoniecznie pod charatatywnym tytułem. Może wreszcie w Kieleckiem będzie coś więcej szumiało niż Puszcza Jodłowa.

CO ZA ZESPÓŁ

★ Sprzedawczyni gdyńskiej księgarni położonej 300 metrów od MCK na pytanie: *Czy jest LP „Gdynia"* odpowiedziała miło i uprzejmie: *Nie, już sprzedaliśmy, poszedł w ciągu trzech dni, ale w przyszłym tygodniu mamy otrzymać z tej samej serii „Moskwę" z nagraniami zespołów moskiewskich.* Reklama dźwignią handlu. Niestety, nie był to odosobniony przypadek. Podobnie było w księgarni przy ul. Chopina w Kwidzynie. Na pytanie czy jest *Gdynia* odpowiedziano: *Już nie ma, ale mamy jeszcze z tej samej serii „Moskwę".* Nikogo więc już nie zdziwi, że handel nie zamawiał singli, skoro ich producenci wcześniej nie wpadli na pomysł serii płyt-miast. Puzyny Dolne też chcą mieć swój krążek!

★ Po raz szósty wręczono **„METRONOMY"**. Otrzymali je: Basia Trzetrzelewska, Małgorzata Potocka i Grzegorz Ciechowski, Young Power, Jacek Cygan, Tadeusz Matulewicz, Pronit, Tonpress, Polskie Nagrania, PAGART, Biuro Usług Promocyjnych. Gratulujemy!

★ Bydgoska grupa bluesowa **Beer Band** zarejestrowała pierwsze utwory dla PR. Oprócz własnych kompozycji zespół wykonuje także standardy białego i czarnego bluesa. Grają, pod patronatem SKPT „Beanus 70" i „Alma Artu", w składzie: Witold Albiński (dr), Tadeusz Wróblewski (b), Ryszard Poćwiardowski (g, voc), Aleksander Drążkowski (g), Władysław Refling (voc, harm).

★ Wszystkim, którzy są zainteresowani zapraszaniem zespołów niemieckich na koncerty do Polski (na bardzo atrakcyjnych warunkach) podajemy adres i telefon do człowieka, który Wam w tym pomoże: Thomas Lebiedziewicz, Alexandrinenstr. 42, 1000 Berlin 61 West.

★ Prawdopodobnie w kwietniu (dokładnego terminu niestety jeszcze nie znamy) przyjedzie do Polski na kilka koncertów organizowanych przez Rock-Front szkocki zespół **The Shamen.** Jest on jednym z czołowych przedstawicieli nowego psychodelicznego brzmienia, ma również związki z osławionym ostatnio ruchem acid house. Liczne kontrowersje wywołał najnowszy album The Shamen zatytułowany *In Gorbachev We Trust.*

★ 25 i 26 lutego odbyły się w Warszawie finały **17 „Mokotowskiej Jesieni Muzycznej"**. Laureatem została młoda warszawska grupa Closterkeller, (prezentowana w nr. 2 „MM"). Następne miejsca zajęli Le Mont ze Szczecina i Ci Piersi z Nowej Rudy. Przyznano także trzy wyróżnienia zespołom Cytadela, Japas Boys i FAA.



Fot. PIOTR ZABŁOCKI

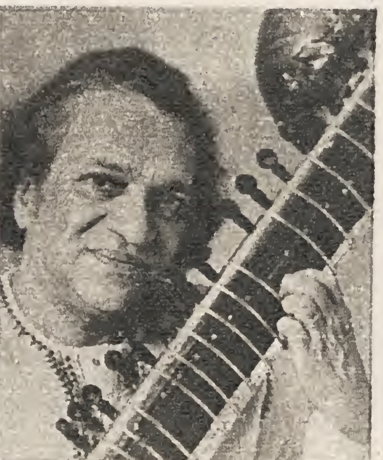
JAREK WAJK

★ Po długich poszukiwaniach **Oddział Zamknięty** zdobył nowego wokalistę. Został nim Jarek Wajk (ex-Lizards Day i MADAME).

★ Nagraniem *Labour Of Love* zadebiutowała w PR III nowa warszawska grupa **Reds.** Kolejne nagrania tego obiecującego zespołu powstają obecnie w słynnym studiu S-4 na Woronicza!

★ Do Londynu w celach promocji swej pierwszej płyty długogrającej wyjechał **Tomasz „Kciuk" Jaworski.**

★ Na festiwalu rockowym w Moskwie wystąpiła reprezentacja klubu „Stodoła", zespoły **Oddział Zamknięty** i **Collage.**



RAVI SHANKAR

★ 15 marca nadkomplet publiczności w Filharmonii Warszawskiej podziwiał koncert słynnego guru hippie generation, wirtuoza gry na sitarze **Ravi Shankara.** Sędziwy, 73-letni mistrz przeniósł wszystkich w magiczny świat ragi i orientu. Shankar wystąpił w Warszawie na zaproszenie PAGARTU.

★ 28 lutego podpisano kontrakt pomiędzy holenderską firmą Provoke Music Production, jej wytwórnią płytową Barricade Records, a zespołem **Destroyer.** Umowa opiewa na pięć albumów. Pierwsza płyta *A Night Of The Lusty Queen* spodziewana jest pod koniec kwietnia. Na przełomie maja i czerwca zespół planuje dwutygodniową trasę koncertową po krajach Beneluxu i RFN.

★ **Klub Płytowy „Razem"**, czyli słynna firma „Tomorrow Records" – jak z przekąsem nazywają ją niektórzy muzycy, którzy po upłynięciu kolejnego terminu ukazania się płyty dowiadują się, że ma się ona już jutro, pojutrze pokazać w redakcji, podpisała umowę o współpracy (tłoczenie, druk itd.) z Polskimi Nagraniami. A kiedy płyty? Tomorrow...

★ **Maciek Bednarek** – znana postać gdyńskiej sceny, na kilka miesięcy będzie pozbawiony możliwości czynnego uprawiania muzyki (tym samym problematyczny na razie staje się debiut jego nowej formacji MM Jazz). Powód? Stłuczenie, a właściwie prawie zmiażdżenie lewej dłoni. Maciek zamykał ciężkie, pancerne drzwi, tylko że zapomniał wcześniej cofnąć rękę. Tymczasem – jak twierdzi – zajął się filmem (oglądaniem i kręceniem). Aha, i trochę spoważniał. Naprawdę!

★ Przez prawie cały styczeń mieliśmy okazję podziwiać w warszawskiej Kordegardzie prace **Kaina Maya** – znanego plastyka współpracującego także z rockowymi wykonawcami. Otwarcie wernisażu uświetnił krótki koncert duetu Balkan Electrique (a nie jak podawaliśmy dwa miesiące temu Bulgarian Electronic – za co bijemy się w piersi, aż echo się niesie, przepraszając Sławka, Fiolkę i Czytelników). Zarówno muzyka, jak i obrazki bardzo przypadły nam do gustu.

Fot. ADAM PIETRZAK

★ Chodzą słuchy, że **Garden Party** – grupa o której pisaliśmy niedawno w artykule „Wiatr od morza – nagra płytę dla Poltonu. Tymczasem zespół odnotowuje na swoim koncie kolejne sukcesy – znakomity występ na festiwalu „Nowa Scena", wizyta w programie „Non Stop Kolor" i przyglądanie się, jak piosenka *Mandela* pnie się w górę listy przebojów RH. Jak staniecie się sławni i bogaci nie zapomnijcie, że to „MM" napisał o was pierwszy!

★ Grupa **Ziyo** nagrała pod koniec lutego dwa utwory na zamówienie Pr. III PR, a pod koniec marca powtórnie zjawiła się w studiu nagraniowym – tym razem w celu zrealizowania drugiej płyty długogrającej. A my wciąż czekamy na pierwszą...

★ Łódzka kapela **Blitzkrieg** pracuje obecnie w podwarszawskim studiu Andrzeja Puczyńskiego. W nagraniach wspomaga łodzian Sławek Starosta – połowa duetu Balkan Electrique.

★ Warszawska formacja poetycko-muzyczna **Mądruś And His Magic Mądrale** nagrała w nowym prywatnym studiu nagraniowym utwór *Klepsydra*, którym udanie zadebiutowała na antenie RH. Mądrusie już wkrótce wystąpią wraz z innymi dziwnymi kapelami na wielkim koncercie w klubie „Stodoła".

★ Podobno **Bufet** powrócił do Wańki Wstańki. Ciekawe czy na długo?

★ Wkrótce nowych nagrań dla Rozgłośni Harcerskiej dokonają grupy: Snukaski, Kobranocka i Opozycja. W planach m.in. DHM i nowy zespół Jacka Pałuchy – byłego lidera Formacji Nieżywych Schabuf.

★ Pod koniec marca grupa **She** wyjechała na dwutygodniowe tournée po Związku Radzieckim. Ciekawe, ile przywiozą telewizorów...

★ Wznowiła działalność rzeszowska formacja jazzowa **Stan D'Art.** W składzie, oprócz Leszka Dziarka (znanego również z One Million Bulgarians), znaleźli się m.in. klawiszowiec Aurory Jacek Pałys i młody gitarzysta o ksywce Trąba. Grupa ma grać nowoczesną muzykę jazzową, ale z wpływami takich zespołów jak np. Featus. Zapowiada się interesująco.

★ W studiu S-4 nagrywa pierwszy solowy LP **Grzegorz Skawiński.** W sesji bierze udział także basista Kombi – Waldemar Tkaczyk, a także: Rafał Paczkowski – klawisze i produkcja, plus – Anna Jurksztowicz i Kayah.

★ 10 marca w warszawskim „Remoncie" wystąpił zespół **One Million Bulgarians.** Kilkadziesiąt minut znakomitej, mocnej i perfekcyjnie zagranej muzyki jakoś nie poruszyło dość nielicznych słuchaczy. No cóż, od pewnego czasu odnosimy wrażenie, że warszawska publiczność przychodzi na koncerty jedynie z przyzwyczajenia, bo w rzeczywistości muzyka zupełnie przestała ją interesować. Jasne – przecież chodzi o to, żeby napić się piwa i ponarzekać z kumplami na gówniane życie. A szarpidruty niech grają, jak nie mają nic lepszego do roboty.

Z WYSTAWY I SPOD LADY

● Pojawiły się nowe płyty licencyjne. Jak na nasze warunki – wprost lawina. Głównie za sprawą Polskich Nagrań, które, choć nie bez opóźnień, realizują swe atrakcyjne zapowiedzi. Ostatnio ukazały się: 1) *Faith* **George'a Michaela**, jedna z najpopularniejszych płyt światowej pop-music w 1988 r. (SX 2695); 2) Purple Rain **Prince'a**, longplay nie wymagający rekomendacji, być może najbardziej udany w dorobku tego nieco zwariowanego artysty zza Oceanu (SX 2688); 3) *Tunnel Of Love* **Bruce'a Springsteena** czyli „boss" nieco wyciszony, ale nadal potrafiący zainteresować słuchacza (SX 2693); 4) *Inside Information* angloamerykańskiej grupy **Foreigner**, niezła płyta bardzo biegłego i markowego zespołu, który także w tych nagraniach lokuje się gdzieś między heavy metalem a komercyjnym art rockiem (SX 2692); 5.) *What's New* **Lindy Ronstadt**, słynnej piosenkarki amerykańskiej, która tu występuje w dość nietypowym dla siebie repertuarze, bodaj najbliższym musicalowej konwencji; są i standardy jazzowe np. *Lover Man* (SX 2691); 6) *Brasil*, longplay czołowej grupy wokalnej z USA, **Manhattan Transfer**, nagrany w 1987 r. (SX 2690).

● Tonpress przypomniał debiutancki longplay angielskiego zespołu **The Smiths**. Daje on już dobre pojęcie o stylu Morrisseya i kolegów (SX-T153).

● Licencyjna nowość z Pronitu: duża płyta amerykańskiej grupy **Tuxedomoon**, zazwyczaj zaliczanej do rockowej awangardy. Na pewno zespół ma w swym dorobku nagrania bardziej awangardowe niż te, które znalazły się na *Ship Of Fools*. Ale dobre i to... (PLP 0076).

● Kolejny z legendarnych zespołów naszego punk rocka doczekał się debiutanckiego longplaya. Płyta **Moskwy** chyba ucieszy wszystkich zwolenników Pawła Gumoli, chociaż można żałować, iż zabrakło na niej wielu koncertowych „przebojów" tej rockowej firmy; Pronit, PLP 0076.

● Coś dla amatorów bardziej nastrojowego repertuaru: *Live* **Elżbiety Adamiak i Andrzeja Poniedzielskiego**, dowód na żywotność piosenki autorskiej, która pojawiła się w latach 70., w środowisku studenckim; Pronit, PLP 0078.

● Do sklepów trafiła też compactowa wersja longplaya *Tak! Tak!* **Obywatela GC.** Compact disc Ciechowskiego kosztuje 18 tys. zł (Polskie Nagrania, GC 002).

POŻEGNANIA

► W wieku 45 lat zmarł w Sydney **Trevor Lucas**, wokalista i gitarzysta, kompozytor i autor tekstów, producent nagrań, jedna z wybitniejszych postaci australijskiej i brytyjskiej sceny folkrockowej. Był Australijczykiem, karierę rozpoczął jednak w 1966 roku w Londynie podczas zorganizowanego w Royal Albert Hall „International Folk Fest". Pozostał w Wielkiej Brytanii przez czternaście lat. Nagrywał jako solista, z zespołami Eclection, Fotheringay i Fairport Convention, z wykonawcami takimi jak Al Stewart czy Richard i Linda Thomson. Po śmierci żony, popularnej wokalistki Sandy Denny, wrócił do Australii, gdzie zajmował się m. in. produkcją nagrań (np. Goanny, jednej z bardziej popularnych piosenkarek lat osiemdziesiątych w tym kraju). Zmarł w następstwie ataku serca. Podczas uroczystości pogrzebowych stare pieśni żałobne grał na skrzypcach znany brytyjski skrzypek folkowy Dave Swarbrick.

► W wieku 47 lat zmarł na raka gardła **Steve Wahrer**, perkusista popularnej niegdyś grupy amerykańskiej The Trashmen (największy przebój – *Surfin' Bird* w 1964 roku).

► Dopiero teraz dotarła do nas wiadomość o śmierci gwiazdy muzyki disco lat 70. **Sylvester**, wykonawca tak wielkich hitów jak *You Make Me Feel* oraz *Disco Fever*, zmarł 16 grudnia 1988 r. w San Francisco na skutek komplikacji zdrowotnych wynikających z zarażenia wirusem AIDS. Sylvester nigdy nie ukrywał swych homoseksualnych skłonności i był jednym z pierwszych idoli nurtu gay disco. Jego sceniczne ekstrawagancje, a szczególnie stroje, stały się legendą muzyki pop. Miał 40 lat.

► Narkotyki raz jeszcze zakończyły życie i karierę muzyka rockowego. 45-letni klawiszowiec **Vincent Crane**, autor wielkiego hitu *Fire* Arthura Browna i podpora jego formacji The Crazy World Of Arthur Brown, pojawił się później m. in. w zespole Atomic Rooster oraz ostatnio w formacji Dexys Midnight Runners. Przedawkował w połowie lutego.

OBRAZKI

● Wielkim powodzeniem w USA cieszy się kompletny zbiór clipów **Bruce'a Springsteena**, zatytułowany *Video Anthology 1978–88*. W ciągu 100 minut fani amerykańskiego barda mogą wysłuchać i obejrzeć 18 utworów, od *Rosality* po akustyczną wersję *Born To Run* (CMV).

● Okres od 1983 do 1988 roku w karierze brytyjskiej grupy **Saxon** uwieczniony został na kasecie *Power And The Glory (The Video Anthology)*, na której zebrano 14 przebojów (PMI; 59 min.)

● Przeplatankę wideo-hitów i nagranego na żywo materiału z występów z ZSRR przynosi zbiór ***Scorpions:*** *To Russia With Love And Other Savage Amusements* (PMI; 45 min.)

● Wśród dalszych propozycji firmy PMI znalazła się jeszcze jedna składanka – ***Thomas Dolby:*** *The Golden Age Of Video*, dokumentująca działalność tego wykonawcy w latach 1981–88 (45 min.) oraz fragmenty ubiegłorocznej, jubileuszowej (30-lecie działalności) trasy koncertowej **Cliffa Richarda:** *Live On Tour – 1988* (60 min.)

● Nadzwyczaj aktywnie działa wydawnictwo Channel 5. Jego nakładem ukazało się 10 marca 5 nowych tytułów: *The Video Adventures Of The Style Council* (60 min.), którego wydanie zsynchronizowane jest z publikacją składankowego albumu *The Singular Adventures Of The Style Council;* **Cyndi Lauper:** *Live In Paris* (90 min.); **Journey:** *Frontiers And Beyond* (dokumentalny zapis z tournée po USA; 95 min); *Stand By Me* (koncert na Wembley na rzecz International AIDS Research, z udziałem George'a Michaela, Eltona Johna, Kim Wilde, Bena E. Kinga, The Communards i Boya George'a; 60 min.) oraz – uff! – składankowy **Olivia Newton-John:** *Down Under* (60 min.).

● Inne pozycje warte odnotowania, choć niekoniecznie już wywołujące gęsią skórkę u wyznawców rocka, to **Kid Creole And The Coconuts:** *Live In Concert* (Island Visual Arts-Poly-Gram), *Fats Domino And Friends* (Video Collection), *B.B. King And Friends* (Video Collection) oraz Debbie Gibson: *Out Of The Blue* na której znalazły się cztery utwory tej młodziutkiej piosenkarki (WEA).

KONTROLA'89

Warszawa, „Riviera" 17–19.02.1989 r.

DZIEŃ PIERWSZY. Wrocławskim zwany, to przede wszystkim muzyczno-hipnotyczny seans rockowy zespołu Los Loveros, najciekawszego obecnie reprezentanta tzw. wrocławskiej młodej sceny. Ich formuła twórcza zrodzona ze splotu niezliczonych wpływów i inspiracji nosi m. in. wyraźne ślady psychodelicznej proweniencji z okolic Birthday Party. To co fascynuje w propozycji grupy, to niezwykła dramaturgia muzycznej narracji, fascynująca w swej sile rozbudzania wyobraźni. Olbrzymia w tym zasługa Irenki Jagiełko, pierwszej chyba damy trąbki w Polsce. Los Loveros to zespół, który już powinien nagrać płytę.

DZIEŃ DRUGI, ze względu na niepojawienie się Pancernych Rowerów oraz tak oczekiwanego MADAME, przebiegał w atmosferze dominacji warszawskiego Deutera. Twórczość tej grupy o wyraźnym punkrockowym rodowodzie od kilku lat ewoluuje ku zdecydowanie ciekawszym formom. Obecna muzyka Kelnera i jego kolegów to erupcja czystej i drapieżnej, niezwykle skondensowanej, rockowej energii. Co ciekawsze, pobrzmiewają w niej stylistyczno-brzmieniowe echa wykonawców sprzed punkrockowej rewolucji końca lat 70. Fakt, iż Deuter w czasie swojej 8-letniej działalności nagrał tylko jedną płytę kładę na karb krzywizny, błędów i wypaczeń naszego rynku fonograficznego. Szkoda tylko, że Kelner zamiast bawić publiczność, narzekał na jej wyraźną apatię. Tego dnia wystąpił także nużący swym radosnym patentem na granie krakowski Vavel Underground oraz mocno rozczarowująca, mroczna Gardenia.

DZIEŃ TRZECI to blisko 180 minut muzyki, która oby częściej gościła w takim wydaniu w „Rivierze". Bielizna, czyli cyniczno-ludyczna kapela wokalisty Jarka Janiszewskiego błysnęła konsekwencją myśli twórczej, niezłą kulturą muzyczną oraz nieprzeciętnymi zdolnościami choreograficzno-baletowymi wspomnianego frontmana. Szkoda, że finał zamienił się w chaos, ale na szczęście nowi gitarzyści wnieśli sporo życia i nieco zmetalizowali brzmienie naszych Kowalskich.

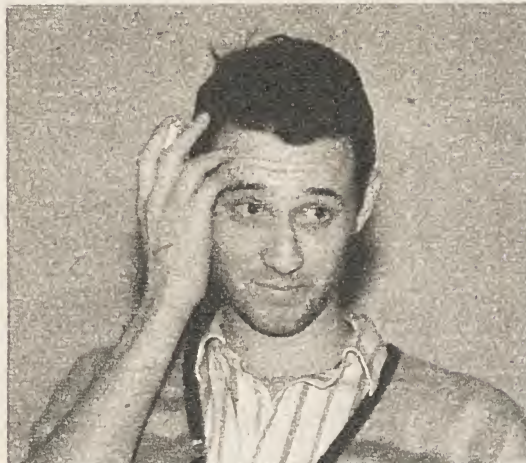
KUBA WOJEWÓDZKI

Grupa Marilyn Monroe po raz kolejny postawiła warszawską publiczność na nogi, serwując z gracją i wariacją standardy rocka (*Sunshine Of Your Love*), jazzu (*Hello Dolly* na dwie trąbki saute!!!), tudzież własne numery śpiewane jak zwykle po „norwesku". Konałem ze śmiechu, ruszając płetwami.

Ziyo, dla odmiany, wbiło wszystkich w fotele, grając znany program z jeszcze większym ładunkiem pasji i ekspresji możliwym dzięki pomocy anonimowego perkusisty. Gościnne pojawienie się Beaty Sawickiej złagodziło nieco tę ścianę dźwięku i wzbogaciło iście apokaliptyczne brzmienie tej coraz lepszej formacji.

Kult prowadzony do boju przez niesłownego (wiemy o co chodzi) Kazika Staszewskiego, pozbył się sekcji dętej i wyraźnie postawił na stylistykę niezbyt odległą od starego dobrego hard rocka. Nowe wróciło za sprawą udanej wersji Velvetów *Sweet Jane* i słuchało się tego z przyjemnością. Publiczność, nieco zaskoczona tą metamorfozą, z aplauzem powitała stare numery, ale obecny Kult polecam tym, którzy dotychczas omijali występy tej kapeli. Prawie The Cult z zaangażowanym w nasze sprawy wokalistą.

ROMEK ROGOWIECKI



BORYS (MARILYN MONROE)



Zdjęcia: MONIKA DZIERAN

KELNER (Deuter)

STANISŁAW SOJKA

Gdańsk, Klub „Żak", 26.02.1989 r.

Choć na Wybrzeże zwabiła mnie SHE, niespodziewana «wieść o koncercie Sojki sprawiła, że zostałem tam dzień dłużej. Takiej okazji nie można było przegapić. Występ artysty miał uświetnić (o zgrozo!) wybory Mistera Żaka'89. Ciężkostrawne to danie, tylko dzięki rozgarniętym i naprawdę dowcipnym konferansjerom pozwoliło doczekać smakowitego deseru. Zapowiedź koncertu S.S. całkiem wyludniła kuluary „Żaka", okupowane przez znudzonych „misterami".

Sala pękała w szwach. Burza oklasków i pierwsze komentarze (ciche) podnieconych fanek: *Ale schudł, super, zobacz – z gitarą.* Mam pecha, przede mną ustawiła się chyba cała drużyna koszykówki, ale dzięki zawartym dzień wcześniej znajomościom udaje mi się „wdrapać" na balkon, skąd widać wszystko jak na dłoni. Artysta rozpoczyna 45-minutowy recital dylanowskim *Like A Rolling Stone.* Jest swobodny, gra na gitarze wyjątkowo miękko i finezyjnie. Pulchne dłonie znakomicie panują nad instrumentem. Publiczność kojarząca go głównie z fortepianem jest mile zaskoczona. Po klasyce utwór, który włączył do swego repertuaru na prośbę autorki – Magdy Umer. Subtelny, ciepły, ale z morałem.

Odezwały się klawisze (fortepianu) i wiązanka hitów. Wśród nich *Allelujah, I Love Her So, Nocny Papieros.* Kokietowani przez artystę widzowie śpiewają razem z nim.

Obywatel S.S. dziękuje za uznanie i znika za kulisami. Publiczność czuje niedosyt. Po dłuższej chwili wypełnionej miarowym *SOJ-KA-SOJ-KA – SOJ* itd. nasz bohater ulega i... puszcza *Bąka.* Frywolny żart muzyczny o przygodzie z pudełkiem i uzbrojonym w żądło owadem nie był jednak ostatnim akcentem jego występu. Chociaż miejsce na scenie zajęła już orkiestra – oprawca muzycznych wyborów mistera Żaka (miał być ogłoszony werdykt jury), publiczność nie chciała zrezygnować z Sojki. Po kilkakrotnej zmianie geometrii mikrofonów, ku ogólnej radości, nastąpił upragniony bis.

Na ścianie w hallu, vis à vis schodów, widnieje historyczna tablica informująca o tym, że przed laty swe wiersze mówił tu Władysław Broniewski. Choć wydaje się mało prawdopodobne, że wdzięczni gdańszczanie uhonorują podobną pamiątką bohatera niedzielnego koncertu, jedno jest pewne – dla większości widzów MASTEREM ŻAKA tego dnia był Stanisław Sojka.

JACEK WROŃSKI

T. LOVE/Boletz Bols

Częstochowa, Filharmonia, 24.02.1989 r.

Potężne wyrzuty sumienia oraz entuzjastyczne relacje o pozytywnych, rockowych wibracjach na częstochowskich koncertach pchnęły mnie do Świętego Miasta. Miałem tam, po raz czwarty w życiu, zobaczyć w akcji grupę T. Love. Wprawdzie koncertowy album tej formacji raczej zniechęca niż zachęca do wybrania się na jej występ, ale w rodzinnym mieście i przed własną publicznością Muniek i Co. mieli ostatnią szansę przekonania mnie, że z bandy wesołków wyrósł wreszcie chociaż poprawny zespół rockowy.



MUNIEK

Fot. M. DZIERAN

To co zobaczyłem i usłyszałem w szacownym budynku Filharmonii przeszło moje oczekiwania. Laser, profesjonalny ekran typu telebeam, no i przede wszystkim zespół, który wiedział po co znalazł się na scenie i czego oczekują jego fani. Być może Muniek chciał udowodnić obecnym na sali rodzicom, że nie zmarnował czasu na studiach, być może cała ekipa, mogąca śmiało zwać się Daab II nareszcie wydoroślała i zdała sobie sprawę, że pora skończyć wygłupy. Nie tracąc nic ze swej witalności i swawolności, T. Love zagrał przemyślany i atrakcyjnie podany program. Jego największym plusem było świetne tempo – Muniek jednym zdaniem komentarza wprowadzał kolejne numery, odpowiednio dozując napięcie i dramaturgię całego spektaklu. W czarnym kapeluszu, takiej samej marynarce i połatanych jeansach wyglądał niczym Zorro z Częstochowy, który miast pieniędzy daje swoim rówieśnikom i fanom godzinę ucieczki od szarości i beznadziejności dnia powszedniego, aczkolwiek o tym właśnie traktują jego cyniczne kawałki. Zgodnie z dobrą, rockową tradycją żaden numer nie trwał dłużej niż 4 minuty, obyło się bez solówek, strojenia na scenie itp. specjalności z naszej, rockowej kuchni. Dwa standardy – *Have You Ever Seen The Rain* wspaniałych CCR oraz *Jumpin Jack Flash* z teki Jaggera i Richardsa – były miłym pokłonem w stronę idoli końca lat 60. i tego pierwszego hitu nie zniszczyło nawet upiorne fałszowanie mistrza ceremonii. Inna sprawa, że we własnych, prostych numerach Muniek porywa sugestywnością i teraz, kiedy zaczął ruszać się po scenie, cały show T. Love nabiera rumieńców. Andrzej Zeńczewski z uśmiechem i swadą prowadził pstrokatą kapelę i tylko porażająca głębokim fioletem marynarka wydała mi się rekwizytem z innej bajki zatytułowanej Daab I.

16 programowych numerów, poczynając od wyzwającego marszu *Idą kołnierze,* po klasyczną już wręcz *Zabijankę,* zostało uzupełnionych, na zdecydowaną prośbę rozentuzjazmowanej, rozśpiewanej i roztańczonej publiczności, trzema bisami, zaś osławiony *Garaż* był popisem ludu, pod batutą Edmunda Staszczyka. Tym samym do skromnego rejestru polskich kapel rockowych godnych polecenia dopisuję z przyjemnością Muńków. Czy ktoś wydrukuje mi sticker I LOVE T. LOVE?

(A Boletz Bols? – Red.) Wokalistka miała niezłe nogi i siedmiu muzycznych krasnoludków.

ROMEK ROGOWIECKI

PS. To, że w czasach przerywanych rozróbami koncertów w innych miastach, w Częstochowie młodzież fantastycznie bawi się w Filharmonii, dobrze świadczy o tamtejszych promotorach – „Alma Arcie" i Jerzym Pacudzie.

KRAJOWA SCENA MŁODZIEŻOWA

Hala „Wisły", Kraków, 6.03.1989

Wieść niesie, iż koncerty firmowane nazwą KSM: 1) zawsze mają dobrą frekwencję, 2) są dobrze zorganizowane, 3) prezentują to, co na naszym ubogim rynku rockowym najciekawsze i najbardziej wartościowe. Aby się o tym naocznie przekonać, połatygowałem się na blisko 3,5 godziny do koszmarnej hali „Wisły" i...

Ad 1) Jak na Kraków, było przyzwoicie, ponad 2 tys. ludzi, ad 2) bez zastrzeżeń, muzycy i organizatorzy trzeźwi (naprawdę, to duże osiągnięcie), dobre tempo, przyzwoicie było widać, nieco gorzej słychać, ad 3)...

... najlepszy show zaprezentował Sztywny Pal Azji. Nie lubię muzyki tego zespołu, którą najlepiej odbierają chyba 12--letnie panienki, ale na scenie wypadają teraz znakomicie. Sporo się nauczyli w ostatnim czasie i to widać. Zagrali w większości stary, nieco podrasowany materiał, a przy przebojach publiczność zawsze dobrze się bawi. Były bisy.

... najbardziej oczekiwano chyba na występ Balkan Electrique. Bułgarski ślad w polskim rocku wsparty anglosaskimi, dyskotekowym rytmami, ma dać piorunującą mieszankę. Ale jak na razie – nie daje. Dlaczego? Sławek Starosta nie jest najwybitniejszym kompozytorem, więc stworzona przez niego strona instrumentalna jest – jak na razie – taka sobie, natomiast koleżanka Violka mimo znakomitego głosu nie jest sama w stanie oddać w pełni tego, co w bułgarskiej muzyce ludowej najlepsze – wspaniałej harmonii wielu głosów, niepowtarzalnego klimatu, niezwykłych aranżacji. Niemniej grupa ciekawie kombinuje i kto wie, co się z tego wykluje **(Małe? – Red.)** Ważny jest fakt, iż publiczność przyjęła ich z dużą życzliwością.

... najsolidniej wypadło Czadkomando Tilt. Tomek Lipiński chyba znów się odnalazł w solidnym, ostrym quasi punk-rocku, w czym doskonale wspomagają go Marcin Ciempiel i Gogo Szulc. Oczywiście, nic nowego nie wymyślają, ale to brzmi, ma ręce i nogi, znakomicie sprzedaje się na żywo. CzadTilt zaserwował w Krakowie dużą dawkę swych nowych kompozycji, podpartą m.in. *Centralą* i *Dziwnym światem.* W ich muzyce jednak brakuje pierwszej gitary, na co cierpiał również Fotoness. Czyż nie ma już w tym kraju dobrych, młodych gitarzystów?

...najbardziej rozczarowały Róże Europy, które dawno już zwiędły i nic nie zapowiada, by szybko odżyły. Czysto rockowa formuła tego zespołu nie sprawdza się, co być może jest wynikiem braku stabilizacji personalnej, a może brakiem pomysłów. Dużo hałasu, mało muzyki. Tyle.

... najmniej zaskoczył Milion Bułgarów, których eklektyzm (znakomita wersja *Daddy Cool* z repertuaru ... Boney M) połączony z subtelną prowokacją ma już stałą klientelę, choć wielu denerwuje. Na scenie brzmią znakomicie, ale chyba jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa.

...najśmieszniej zagrała grupa-legenda, czyli KSU. Popowy punk-rock z solówkami à la Kansas to zadziwiająca mieszanka, której raz na 10 lat można posłuchać. Ale nie częściej.

W sumie był to miły wieczór. Dobranoc.

TOMASZ SŁOŃ

IGGY POP



*Możliwe,
że wyglądam jak punk,
ale śpiewam jak człowiek.*

dyby Iggy Pop z grupą The Stooges nie nagrał, pod koniec lat sześćdziesiątych dwóch albumów, punk rock z pewnością nie przybrałby znanego nam oblicza. Dla Malcolma McLarena błyszcząco-samobójczy styl życia członków zespołu New York Dolls (był ostatnim menażerem grupy) stał się podstawą, na której zbudował następny mit – Sex Pistols, ale to The Stooges, a szczególnie kontrowersyjna osoba Iggy Popa, posłużyła mu za wzór, bez jakiego trudno sobie wyobrazić karierę jego nowych podopiecznych. Pokrewieństwo najlepiej uwidoczniało się w scenicznym zachowaniu Popa i Johnny'ego Rottena. Widzowie na koncertach stawali przed nigdy nie rozwiązanym dylematem, czy mają do czynienia z obłąkanymi agresywnymi kretynami, czy jest to tylko nad wyraz przekonujące przedstawienie. Rotten śpiewał bardziej wściekle niż Pop, ponieważ miał więcej powodów do gniewu – napisał amerykański krytyk Lester Bangs. Iggy Pop posiadał jednak istotną przewagę nad Rottenem – był pierwszy.

★

James Jewel Osterberg (ur. 21.04.1947 roku w Ann Arbor), niespokojny syn pary nauczycieli rozpoczął karierę od gry na perkusji w szkolnym zespole Iguanas. Wówczas też otrzymał przydomek Iggy. Mając dziewiętnaście lat wybrał się do tętniącego bluesem Detroit, gdzie przyłączył się do grupy Prime Movers. Przeszedł tam szybką bluesową edukację, występując z takimi muzykami jak Muddy Waters, Junior Walls, Buddy Guy oraz z przyjacielm Samem Layem, perkusistą zespołu Paula Butterfielda. Epizod ten bywa niesłusznie przemilczany, miał on bowiem istotny wpływ na ukształtowanie się jego sztuki wokalnej, będącej połączeniem tradycyjnego śpiewu bluesowego (Howling Wolf, Bo Diddley) z manieryzmem Jima Morrisona, od którego przejął również pociąg do scenicznego ekshibicjonizmu.

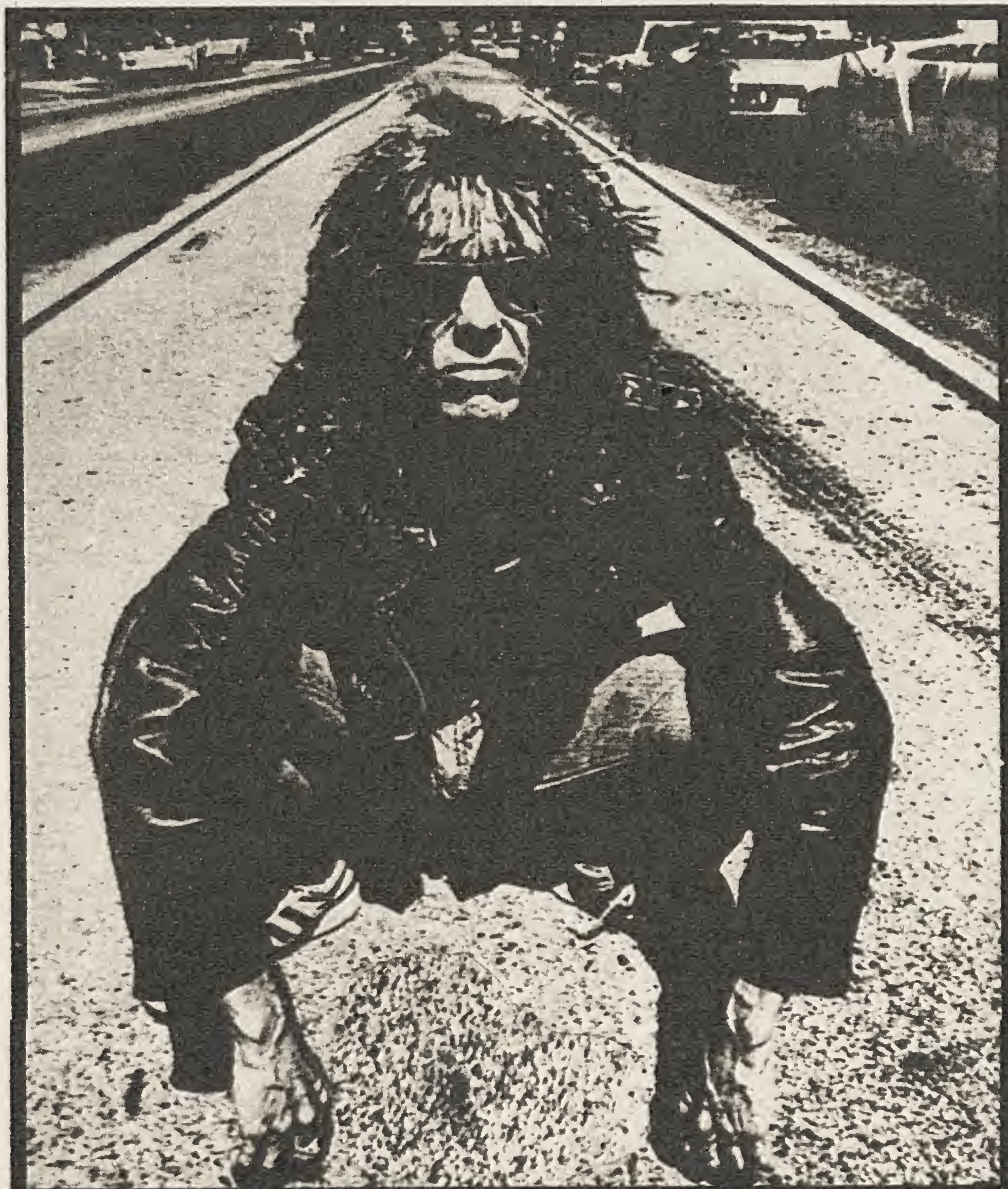
Ted Nugent, Bob Seger, Glenn Frey (później w Eagles – G.B.), *członkowie MC5... wszyscy pochodziliśmy z tej samej dzielnicy. Łączyło nas przyjacielskie współzawodnictwo, gdyż byliśmy jednakowo goli finansowo. Naszym klubem stał się „Trans Love Energy", gdzie słuchaliśmy Archie Sheppa, McCoy Tynera czy Sun Ra. To były podniecające czasy. Każdy z nas chciał być w możliwie najbardziej ostrym z zespołów. Wynikało to z czarnej tradycji Detroit i nie myślę tu tylko o muzyce. W nasze życie wpleciony był handel narkotykami i bronią, częste morderstwa, twardy jazz, rozruchy 1967 roku, kiedy to często płonęły budynki... Gdy przebywaliśmy razem, co drugie słowo musiało być obowiązkowo przekleństwem. Chcieliśmy robić wrażenie strasznie twardych facetów.*

Na początku 1968 roku powstał pierwszy, najważniejszy skład The Stooges, czyli Pop, bracia Asheton (basista Ron i perkusista Scott) oraz gitarzysta Dave Alexander. Lokalną popularność i rozgłos przyniosło im zachowanie się lidera na scenie, który nie tylko prowokował publiczność wykrzykiwaniem obelg, doprowadzaniem do bójek, lecz również samokaleczył się nożem lub szkłem, a na rany wylewał roztopiony wosk (?!). Czemu miał służyć ten teatr okrucieństwa?

Byłem do tego zmuszony, gdyż moja muzyka nie wzbudzała żadnego oddźwięku. Stało się dla mnie zasadą, by nie zejść ze sceny, zanim coś się nie wydarzy. Zawsze miałem nad wyraz rozwiniętą wyobraźnię. Jako osiemnastolatek przeszedłem przez całą serię niesamowitych wypadków samochodowych, w których wszyscy zginęli, a ja wyszedłem bez jednego zadrapania. To było nawet dla mnie za wiele i wówczas po raz pierwszy ogarnęły mną uczucia podobne do stanu po narkotykach – poczucie mocy i ponadczasowości.

Możliwe, że właśnie zderzenie się samochodów stanowi idealną metaforę dla muzyki i scenicznego wizerunku The Stooges. Grupa fascynowała swoją hałaśliwością i wściekłością gry. Pierwszy album zespołu, wydany w 1969 roku, był, według krytyka Maxa Bella, precyzyjnie dopracowanym szaleństwem, w czym znaczący udział miał producent John Cale (ex-The Velvet Underground). Połączenie dwóch talentów: klasycznie wykształconego Cale'a i „błogosławionego wariata" Popa, okazało się nader szczęśliwą kombinacją. *1969* i *Non Fun* doskonale oddawały ekspresyjny minimalizm grupy. Wykrzykiwane przez Popa teksty, opisujące nudę i beznadziejność życia nastolatków zostały podkreślone przez proste, można rzec banalne gitarowe riffy i nieskomplikowane rozwiązania rytmiczne. Cale puścił wodze wyobraźni w dziesięciominutowej kompozycji *We Will Fall*, wyraźnie nawiązującej do doorsowskiej *My Wild Love*. Dzięki uporczywie powtarzanemu motywowi melodycznemu, opartemu na skąpej instrumentacji, został osiągnięty przygniatający, ponury nastrój. Kulminacją utworu było przeraźliwe solo Cale'a na altówce.

Drugi album *Fun House* (1970) nie przyniósł zasadniczych zmian, lecz brzmiał tak jakby *został nagrany przy pierwszym podejściu po włączeniu magnetofonu* (Max Bell). Tym razem nowy producent, Don Callucci dał więcej miejsca na przedstawienie możliwości instrumentalistów. Odpowiednikiem *We Will Fall* była tu free-jazz-rockowa fuzja L.A. Blues.


Jestem dokładnie tym człowiekiem, o którym pisał Fryderyk Nietzche.

Pod koniec 1970 roku doszło do kilku zmian w składzie zespołu. Wówczas po raz pierwszy pojawił się gitarzysta James Williamson, który miał renomę nietypowego kompozytora i prawdziwego mistrza w wyczarowywaniu dźwięków ze wzmacniacza Marshalla. Mimo to, w sierpniu następnego roku, grupa przestała istnieć. Ten fatalny koniec wynikał z faktu, że w Ameryce nikt nie przyjmował The Stooges poważnie. W tym samym czasie Iggy Pop przeżył szalony romans z Nico, która wprowadziła go do swojego królestwa heroiny. Kres temu mrocznemu okresowi w życiu Osterberga położyło spotkanie z Davidem Bowiem i jego menażerem Tony DeFriesem w klubie Max's Kansas City. Bowie wcześniej wskrzesił Lou Reeda – teraz chciał pomóc swojemu drugiemu idolowi. Nie przypadkiem jedno ze swoich najbardziej znanych wcieleń nazwał Ziggy Stardust. Pop podpisał umowę z menażerską agencją Bowie – Mainman, a DeFries umożliwił nagranie nowej płyty The Stooges.

Do Londynu po raz pierwszy pojechałem w 1971 roku. Wreszcie znalazłem ludzi zainteresowanych moją muzyką. W Ameryce nienawidzono nas, a to co graliśmy określono jako niebezpieczne szaleństwo.

Pod koniec 1972 roku Pop reakywował The Stooges i – mimo sprzeciwów DeFriesa – sprowadził do Londynu braci Ashetonów i Jamesa Williamsona. W lutym następnego roku ukazał się album *Raw Power*. Jeżeli debiutancki album został określony jako precyzyjnie dopracowane szaleństwo, to o tym można powiedzieć, że był starannie stylizowanym szaleństwem. Najlepiej ilustrują to *Search And Destroy* i *Gimmie Danger*, gdzie zachowano agresywny nihilizm klasycznych kompozycji grupy.

Większość osób związanych wówczas z Popem dość zgodnie twierdziła, że jego karierą wyraźnie sterował James Williamson. Potwierdzeniem tej opinii był album *Kill City* nagrany w 1975 roku, a wydany dopiero dwa lata później. Firmowali go obaj muzycy, ale tak naprawdę rola pierwszego sprowadzała się do realizacji pomysłów drugiego. Skądinąd była to niezła płyta, choć muzycznie znacznie spokojniejsza od tego, co grali The Stooges. Nieporozumienia podczas nagrań doprowadziły do ostatecznego rozwiązania zespołu. Pojawiły się pogłoski, że Iggy ma przystąpić do The Doors, który po śmierci Jima Morrisona bezskutecznie próbował znaleźć własną tożsamość. Nigdy jednak do tego nie doszło. Osterberg będący w krytycznym stanie fizycznym i psychicznym udał się na dobrowolne leczenie do szpitala psychiatrycznego.

Dyskografię The Stooges zamykają, jak dotychczas, dwa koncertowe albumy: *Metallic K.O.* (1976) i *2 x Metallic K.O.* (1987), mające – ze względu na fatalną jakość techniczną – wartość tylko kolekcjonerską.

★

Na początku 1976 roku Iggy Pop w samotności dążył do samounicestwienia. Prawdopodobnie tak by się stało, gdyby nie odszukał go David Bowie.

Bowie również miał ze sobą problemy. Można powiedzieć, iż ich współpraca miała charakter obustronnej terapii. Dla Bowiego Pop odgrywał rolę katalizatora. Był osobą pochłaniającą energię i przetwarzającą ją w ogień niezbędny muzyce rockowej – człowiekiem o tak silnym ego, że mógł bez wysiłku zawładnąć publicznością. Z tej atmosfery narodził się *The Idiot*. Bowie wystąpił na tej płycie w kilku rolach: producenta, pianisty, gitarzysty i współkompozytora większości utworów. Ponadto, dostarczył muzyków z własnej grupy: prekusistę Dennisa Davisa i basistę George'a Murraya. *Idiota* pozostaje najbardziej „morrisonowskim" z solowych albumów Popa.

Jim Morrison miał wyraźny wpływ na ukształtowanie się mojego stylu. Między nim a publicznością trwała ciągła konfrontacja. Wywarło to na mnie głębokie wrażenie. Tak naprawdę, to właśnie on zmusił mnie do wkroczenia na scenę. Pamiętam koncert The Doors na uniwersytecie w Michigan. Morrison był naćpany do granic możliwości, a jednak dał szalenie intrygujące z teatralnego punktu widzenia przedstawienie. Publiczność o mało go nie zabiła. To było dzikie, nadzwyczajne, doskonałe!

The Idiot przyniósł syntetyczny, „miękki" rock à la Bowie, którego hipnotyczny nastrój kojarzył się morrisonowskim *End Of The Night*. Osobowość i oryginalność tej pozycji, która pojawiła się jednocześnie z wybuchem punkrockowej rewolucji, przyniosła Popowi pierwszy, choć umiarkowany, sukces komercyjny. W tym czasie Sex Pistols i The Damned wykonywali na koncertach stare numery The Stooges.

Drugi solowy album *Lost For Life*, powstał w Berlinie, gdzie Bowie znalazł tymczasowe schronienie. Nowa płyta była dużo bardziej agresywna i optymistyczna od ponurego *Idioty*. Dominowała na niej witalność i pewność siebie Popa, który nagle odzyskał dawną siłę i energię. Bowie stworzył przejrzyste brzmienie z udziałem swoich doskonałych gitarzystów: Carlosa Alomara i Ricky Gardinera.

Brytyjscy krytycy uznali *Lost For Life* za najlepszy album Iggy'ego i umieścili go wśród stu najwybitniejszych płyt rockowych wszechczasów. W podobnym plebiscycie, Amerykanie z magazynu „Rolling Stone" tak uhonorowali *Raw Power*.

IGGY POP

David Bowie nie zadowolił się tylko udziałem w powstawaniu tych dwóch płyt i wyruszył na promocyjną trasę *Idioty*, występując jako anonimowy pianista. Podsumowaniem owych koncertów, także i tych po wydaniu *Lost For Life* był album *T.V. Eye*. Jest to jeden z najlepszych, nagranych na żywo longplayów i może śmiało stanąć obok takich pozycji jak: *Get Yer Ya-Ya s Out* The Rolling Stones i *Live At Leeds* The Who. Oprócz piosenek z solowych wydawnictw znalazły się na nim stare numery The Stooges: *T. V. Eye, Dirt* i *I Wanna Be Your Dog*.

Logiczny krok naprzyód stanowił album *New Values*. Nie było już z Popem Bowiego, ale za to ponownie pojawił się James Williamson. Płyta stanowiła powrót do stylistyki *Kill City*. Różnica polegała na tym, że tym razem pełną kontrolę nas całością sprawował Iggy. Bogate aranżacje z poprzednich krążków zastąpiły ostre gitarowe wstawki i swobodny wokal lidera.

New Values jest jednym z najlepszych rockowych albumów Popa i dyrektorzy wytwórni Arista uznali, że w jego muzyce tkwi zauważalny potencjał komercyjny. Nagranie następnej płyty poprzedziły gruntowne przygotowania. Przede wszystkim została sformowana prawdziwa supergrupa, w której skład weszli: Glen Matlock – gitara basowa (ex-Sex Pistols), Steve New – girara, Ivan Kral – gitara (ex-Patti Smith Group), Klaus Kruger – perkusja (ex-Tangerine Dream) i Barry Andrews – instrumenty klawiszowe (ex-XTC). Czy już sam skład nie zapowiadał czegoś szczególnego i wielkiego? Doświadczenia pokazują jednak, że przy takiej zbitce wybitnych nazwisk wszystko udaje się tylko połowicznie. Album *Soldier* był świadectwem rozdarcia pomiędzy szalonymi ambicjami i widocznymi komercyjnymi kompromisami. Wykrojony z niego singel, *Loco Mosquito*, brzmiał nader banalnie.

Już wówczas można było zauważyć, że nad karierą Popa znowu zaczęły gromadzić się chmury. Powoli zaczął on tracić kontrolę nad swoim życiem i twórczością. Album *Party* przeszedł niezauważony, co doprowadziło do rozwiązania kontraktu z Aristą. *Zombie Birdhouse* nie miał szansy na sukces, gdyż został wydany przez małą wytwórnią Animal Records Chrisa Steina, byłego gitarzysty zespołu Blondie.

Wkrótce po ukazaniu się *Zombie Birdhouse* Pop zniknął ze sceny. Nastąpił kolejny ciemny okres w jego życiorysie. W 1983 roku David Bowie triumfalnie powrócił na tron z albumem *Let's Dance*. Jednym z wielkich przebojów wyjętych z tej płyty był *China Gril*, napisany pierwotnie dla *The Idiot*. Iggy Pop mógł żyć z tantiem. Dodatkowy przypływ gotówki zapewniło mu ukazanie się składankowego albumu *Tonight*.

W końcu Pop wziął się w garść i wraz z byłym gitarzystą Sex Pistols, Stevem Jonesem nagrał taśmę demo. Zaprezentował ją Bowiemu, ten zaś od razu zaoferował swoje usługi jako producenta następnej płyty.

Bowie oczywiście wiele mi pomógł i uważam go za jedną z najważniejszych osób w moim życiu. Tak naprawdę, to jestem wciąż licealistą z Detroit, który uwielbia głośną muzykę i ciemne molowe akordy. David jest wykształconym zawodowcem z wielkiej metropolii. O kosmopolitycznym smaku. Lubię tego człowieka. Jesteśmy całkowicie inni, ale doskonale się rozumiemy.

Bowie z Popem dopisali jeszcze pięć piosenek i przystąpili do realizacji albumu *Blah, Blah, Blah,* który ukazał się pod koniec 1986 roku. Ta płyta była pierwszym, prawdziwie wielkim komercyjnym sukcesem Osterberga. Utwór *Real Wild Child* znalazł się w pierwszej dziesiątce brytyjskiej listy przebojów. Zwolennicy dawnego Popa byli w większości zawiedzeni, bowiem nagrania z płyty były bliskie temu, co tworzył w latach osiemdziesiątych Bowie. Czy miał on prawo do nagrania takiej płyty? Już samo postawienie takiego pytania wydaje mi się nie na miejscu. Ubiegłoroczny album *Instinct* (patrz recenzja „MM" 12/88) udowodnił, że James Osterberg jest wciąż tym samym, niepokornym rockmanem. Tylko on, po oczekiwanym przez prawie dwadzieścia lat sukcesie, mógł odważyć się na powrót do własnych korzeni. W czasach dominacji przesłodzonej, bezkrwistej muzyki disco, *Instinct* stanowi prawdziwe wyzwanie. Iggy nie byłby tym kim jest, gdyby nie stawiał zawsze na jedną kartę. Tak długo wyciągał blotki, że wreszcie powinien otrzymać asa.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

DYSKOGRAFIA:

THE STOOGES
***The Stooges* (1969, Elektra)**
***Fun House* (1970, Elektra)**
***Raw Power* (1973, CBS)**
***Metallic K.O.* (koncert, 1976, Skydog)**
***No Fun* (składanka, 1980, Elektra)**
***2 x Metallic K.O.* (koncert, 1987)**

IGGY POP and JAMES WILLIAMSON
***Kill City* (1978, Radar)**

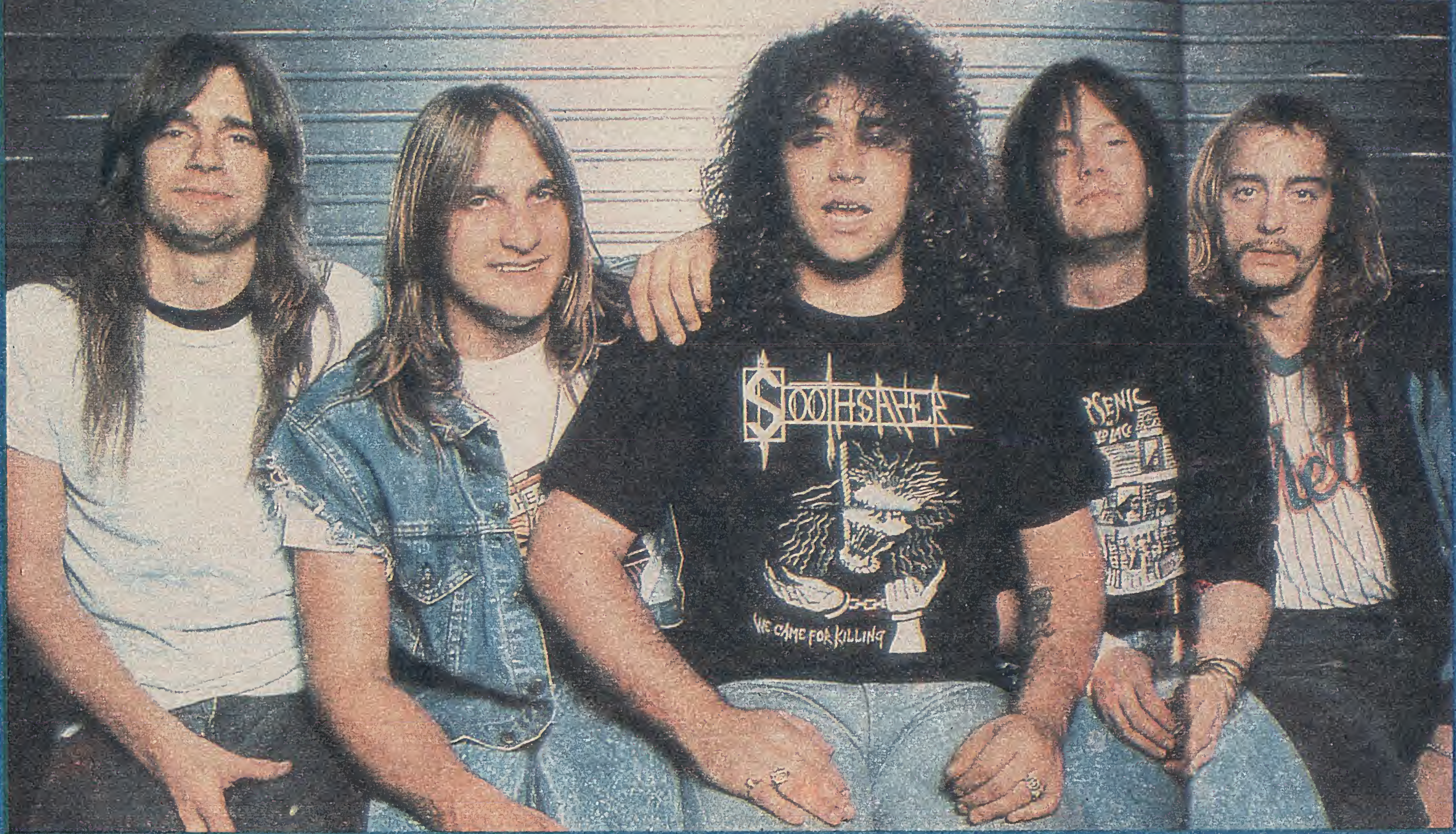
IGGY POP
***The Idiot* (1976, RCA)**
***Lost For Life* (1977, RCA)**
***T.V. Eye* (koncert, 1978, RCA)**
***New Values* (1979, Arista)**
***Soldier* (1980, Arista)**
***Party* (1981, Arista)**
***Zombie Birdhouse* (1982, Animal Records)**
***Blah, Blah, Blah* (1986, A & M)**
***Instinct* (1988, A & M)**

PS. By być do końca obiektywnym należy zauważyć, że tak naprawdę Iggy Pop w swoich rodzinnych Stanach Zjednoczonych nie cieszył się nigdy większą popularnością. Z drugiej strony był zawsze traktowany przez muzyków i „podziemie" jako prawdziwie kultowa postać. Z tych względów Pop dużą część swojego życia spędza w Wielkiej Brytanii i swoją twórczość wyraźnie ukierunkowuje na tamtejszego odbiorcę.

W Ameryce żyje naprawdę wielu wspaniałych ludzi. Ma ona pewną zasadniczą przewagę nad Europą – po prostu nie posiada wiekowego balastu kultury i tradycji. Z drugiej strony, na każdym kroku spotykasz się z amerykańską standardyzacją. Telewizyjny show ogląda 70 milionów ludzi, w ciągu dnia sprzedaje się miliardy takich samych hamburgerów itd., aż w końcu ludzie tracą osobowość. Każdemu wydaje się, że najważniejszym w życiu jest zostać gwiazdą filmową.

Myślę, iż najważniejsze i najbardziej nowatorskie rozwiązania w muzyce powstają w Anglii i Europie. Tutaj szesnastolatek prawdopodobnie zostanie zaprowadzony przez rodzica na film Leloucha, natomiast ja dowiedziałem się, że taki facet istnieje jak miałem 38 lat. Mogę powiedzieć, że mnie się i tak udało, gdyż mój ojciec zmuszał mnie do myślenia.





Historia tego zespołu jest najlepszym przykładem tego, jak łatwo – będąc w roli faworyta – można znaleźć się naraz za plecami innych. Exodus to zespół-legenda – obok Metalliki i Slayera największa gwiazda początkowego okresu kształtowaia się nowych tendecji w muzyce heavy metal; Exodus to byli królowie Bay Area, ojczyzny amerykańskiego thrash metalu. To także i największy pechowiec, który zapłacił ogromną cenę za swoją popularność. Zespół powstał w 1981 r. Z oryginalnego składu pozostali jedynie perkusista Tom Hunting i gitarzysta Gary Holt. Początkowo grupa wykonywała tradycyjny heavy metal. Pod koniec 1982 r. Tom, Gary, gitarzysta Kirk Hammet, basista Jeff Andrews i wokalista Paul Bailoff zagrali swój pierwszy koncert z zespołem Metallika, do którego kilka tygodni później przeniósł się Kirk Hammet, by zająć zwolnione przez Dave'a Mustaine'a miejsce. Wkrótce odszedł też Andrews i dalsza kariera Exodusu stanęła pod znakiem zapytania. Nowi członkowie, Rob Mc Killop i Rick Hunolt nie tylko jednak uratowali zespół przed rozpadem, ale przede wszystkim wnieśli doń nowe pomysły, zmieniając całkowicie charakter muzyki. Rezultatem wielomiesięcznej pracy był wydany w 1985 r. album *Bonded By Blood*, który zagwarantował grupie najwyższe miejsce w thrashmetalowej hierarchii. Dynamiczne, proste utwory znakomicie przyjęte zostały przez krytyków i publiczność. Oprócz pochlebnych recenzji, zespół otrzymał tekże oceny krytyczne. Ich autorom nie przypadła do gustu brutalna muzyka i niecenzuralne teksty. Wzbudziło to jeszcze większe zainteresowanie grupą. Ogromnym sukcesem Exodusu było tournée „Bonded By Blood--World Tour" wraz z będącym wówczas w najlepszej formie Venom.

Po powrocie do domu rozpoczęło się trwające dwa lata pasmo niepowodzeń i kłopotów, nie mających bynamniej wiele wspólnego z muzyką. Od zespołu odszedł Paul Bailoff i nie byłoby to wielką tragedią, gdyby nie fakt, że był on bardzo lubiany przez publiczność w Bay Area. Nowy wokalista, doskonały Steave „Zetro" Sousa (ex-Legacy), został przyjęty nieufnie. Dopiero występ w San Francisco, w którym Sousa i Bailoff razem odśpiewali utwór *Bonded By Blood* udobruchał widownię. Niebawem jednak przyszło nowe niepowodzenie. Tym razem fiaskiem zakończyły się poszukiwania dużej firmy płytowej, która miałaby zająć się interesami zespołu. Kiedy największe tuzy thrash metalu nagrywały dla „wielkich", Exodus musiał zadowolić się propozycją heavymetalowej wytwórni Combat. Jej nakładem, w 1987 r. ukazał się drugi album zatytułowany *Pleasures Of The Flesh*. Pomimo, że większość materiału zarejestrowana na płycie nie była najświeższej daty, powstała jeszcze za czasów obecności Bailoffa, muzyka odpowiadała najnowszym kierunkom, w jakich rozwijał się thrash metal. Tak więc dominowały utwory bogate aranżacyjnie, dopracowane technicznie, nie wykonywane już w tak szalonym tempie, urozmaicone zmianami tempa i doskonałym brzmieniem. Nieliczne nieudane na płycie kompozycje – *Faster Than You'll Ever Live to Be, Pleasures Of The Flesh* – całkowiecie rekompensują pozostałe nagrania, m.in. *Till Death Do Us Part, Parasite, Seeds Of Hate, Chemi-Kill*. Sukcesem zakończyło się także promocyjne tournée po Stanach u boku M.O.D.

Po koncertach w USA Exodus, wraz z Laaz Rockit,wyruszył na podbój Europy. Finałem tej trasy był koncert na festiwalu Dynamo w Eidhoven, przed dwudziestotysięczną publicznością. *Pleasures Of The Flesh* sprzedano w Stanach w ilości 150 tysięcy egzemplarzy, co zagwarantowało jej niezłe miejsce na amerykańskiej liście bestsellerów. Zapomniany, pechowy Exodus powrócił do łask i mimo iż dystans pomiędzy nim a grupami Metallika, Slayer, Anthrax, Magadeth, Testament znacznie powiększył się, zespół udowodnił, że ci, którzy spisali go na straty nie mieli racji.

W dobrym nastroju muzycy powrócili do Kalifornii i w tajemnicy przystąpili do realizacji kolejnego albumu, zatytułowanego *Fabulous Disaster*. Nagrania trwały sześć tygodni. W Stanach Zjednoczonych ukazała się ona 15 stycznia, nakładem firmy Combat. W Europie dwa tygodnie później opublikowała ją Music For Nartions. Dla wielu była ona zaskoczeniem.

Gary Holt: *Zanim wydaliśmy drugą płytę straciliśmy dużo czasu. Teraz musimy to nadrabiać. „Pleasures Of The Flesh" odniosła sukces, chcieliśmy pójść za ciosem. Płytę nagrywaliśmy w tym samym studiu co poprzednią, ale miksowaliśmy ją w zupełnie innym miejscu. Szukaliśmy lokalu z najlepszym sprzętem. W końcu znaleźliśmy coś odpowiedniego i jesteśmy z siebie dumni. W tym studiu nie wstydziłby się pracować Randy Newman czy Mark Knopfler. „Fabulous Disaster" bliższy jest naszemu debiutowi. Powiedziałbym nawet, że dzięki tej płycie powróciliśmy do korzeni. Zawiera ona dziewięć kawałków, wśród których znajdują się m.in. bardzo szybkie i agresywne, w rodzaju „The Last Act Of Defiance" czy „Open Seasons". Mamy też jeden, prawie dziewięciominutowy utwór „Like Father, Like Son" i blues „Cajun Hell", do którego nakręciliśmy wideo. Tematyka tekstów na uległa zmianie. Mówimy o korupcji, nagonce na ludzi, atomowym zniszczeniu, losach dzieci z marginesu. W „The Last Act Of Defiance" opowiadamy prawdziwą historię buntu w więzieniu w Santa Fe w 1981 r., podczas którego zginęło 32 ludzi. Wielka szkoda, że nie mieliśmy dosyć czasu na przygotowanie materiału. Ostatnio dużo pracujemy nad nowymi kompozycjami. Chcielibyśmy mieć ich jak najwięcej, by podczas kolejnej sesji móc z czego wybierać, a nie – jak w przypadku „Fabulous Disaster" – w pośpiechu, na siłę budować repertuar płyty. Na szczęście osoby, które słyszały ostatni album gratulowały nam – mówiły, że to nasze najlepsza pozycja.*

Chciałbym, żeby Exodus miał udział w sukcesach, jakie odnoszą thrashmetalowe zespoły. Olbrzymie powodzenie i miejsce na Top 10 ... „And Justice For All" Metalliki spowodowało jeszcze więcej szumu wokół wykonawców tego typu. Ostatnio otrzymaliśmy doskonałą propozycję od Capitolu. Bardzo długo na to czekaliśmy. Jesteśmy związani kontraktem z Combatem i wiele mu zawdzięczamy. Myślę jednak, że szefowie obu firm dogadają się i „Fabulous Disaster" ukaże się również nakładem Capitolu. Dzięki dużej wytwórni będziemy mieli szanse na granie dużych tras koncertowych. Moim marzeniem jest występ u boku AC/DC.

DYSKOGRAFIA:
1985 – *Bonded By Blood* (Roadrunner)
1987 – *Pleasures Of The Flesh* (Music For Nations)
1989 – *Fabulous Disaster* (Combat)
Koncert Exodusu wraz z grupami Venom i Slayer został zarejestrowany na wydanym w 1986 r. filmie wideo *Cambat Tour*.

JACEK DEMKIEWICZ

PS. Były wokalista Exodusu Paul Bailoff po krótkim okresie współpracy z założonym przez siebie zespołem Piranha postanowił szukać szczęścia z grupą Heathen.



„MARQUEE" U PROGU WIEKU ŚREDNIEGO

Kilka miesięcy temu słynny londyński klub „Marquee" obchodził 30 urodziny. *„Marquee" –* mówi jego obecny dyrektor, Amerykanin Marc Krasnow – *był sercem i duszą rock'n'rolla, nie tylko dla Anglii, ale i dla całego świata. To co tutaj się wydarzyło, odbijało się szerokim echem, gdy takie zespoły jak The Rolling Stones, The Who czy U2 ruszały stąd w świat ze swoim przesłaniem.*

Zanim „Marquee" stał się wylęgarnią rockowych talentów, był mekką dla miłośników jazzu nowoczesnego, którzy pragnęli uciec od wszechobowiązującego „tradu" czyli jazzu tradycyjnego. Klub założyli w 1958 roku Harold i Barbara Pendletonowie i mieścił się on w piwnicy pod kinem „Academy" przy Oxforf Street. Sześć lat później nastąpiła przeprowadzka do budnyku przy 90 Wardour Street. Dzięki współwłaścicielowi lokalu, Chrisowi Barberowi, coraz częściej na scenie zaczęli pojawiać się wykonawcy bluesowi i rhythm and bluesowi. Barber – który kierował rezydującym w „Marquee" zespołem – pozwalał swemu nowemu muzykowi, Alexisowi Kornerowi, wykonawać na rozgrzewkę kilka „elektrycznych bluesów". Publiczność domagała się więcej i tak się zaczęła złota era klubu.

Dotychczasowe podpory programu – Dudley Moore, John Dankworth i Humphrey Lyttleton – otrzymały wymówienia. Musieli ustąpić miejsca białym brytyjskim „bluesmenom". Grupa Kornera przedstawiała coraz to nowe talenty. Na tej liście byli m.in. Mick Jagger, John Baldry, Brian Jones, Ginger Baker, Eric Clapton, Charlie Watts i Jack Bruce. Drugim stale występującym w „Marquee" zespołem został The Hugg-Mann Band, przemianowany później na Manfred Mann. Przez inną formację, Hoochie Coochie Man, przekształconą wkrótce w Steampocket, przewinęły się takie znakomitości jak Rod Sterwart, Julie Driscoll, Brian Auger i Red Dwight (czyli – Elton John). W miarę upływu dekady lat 60., regułą stały się niedzielne koncerty mniej znanych wykonawców, w rodzaju Davida Bowiego czy Pink Floyd oraz czwartkowe wieczory zarezerwowane dla gwiazd formatu Cream, The Who, Jimiego Hendrixa, Led Zeppelin, Traffic, Jethro Tull i Wishbone Ash. Klub stał się ważnym punktem odbicia dla wielu krajowych i międzynarodowych karier i ten stan rzeczy utrzymywał się do czasów punk rocka.

Owszem, spokojniejsi wykonawcy wyniesieni na fali punk rocka, The Police lub Adam Ant, nie sprawiali kłopotu dyrekcji klubu – jednakże seria incydentów wywołana przez Sex Pistols i The Damned doprowadziła do pierwszego rozłamu między „Marquee" a wydarzeniami na muzycznym rynku. Ponadto coraz większa ilość nowych lokali zorientowanych na prezentację muzyki, powszechny dostęp do tanich studiów, w których można było nagrać taśmę demo i wysłać ją bezpośrednio do producenta płytowego, wreszcie – mnożenie się niezależnych firm fonograficznych, poważnie obniżyły rangę klubu. Chociaż na koncie sukcesów odnotować można fakt, że w latach 80. stąd wyruszyli na podbój świata U2, Marillion, Simple Minds i The Cure, dawnej pozycji w rockowej hierarchii nie udało się wszakże odzyskać.

Krasnow jest dobrej myśli. Jego zdaniem, w nowej siedzibie przy Charing Cross Road uda się przywrócić dawny blask „Marquee". *Nie chodzi o to by tylko utrzymać się przy życiu. Za „Marquee" stoi dziedzictwo, jakim nie może poszczycić się żaden londyński klub i na nas spoczywa odpowiedzialność za jego kultywowanie. Problem z każdą legendą polega na tym, że trzeba ją umacniać, rozbudowywać.* (jr)



THE JESUS AND MARY CHAIN

Podobno na rockowej karuzeli wszystkie krzesełka dawno już zostały zajęte. Skupiając uwagę na jednych, przesuwających się właśnie tuż przed naszymi oczami, tracimy z pola widzenia inne. Ale one po jakimś czasie powracają. Ich pasażerowie wydają się odmłodzeni, odświeżeni, trochę inaczej ucharakteryzowani – bogatsi o jedną więcej rundę. Kiedy przyjrzymy się okładkom pism branżowych z ostatnich kilkunastu miesięcy, powtarzają się na nich podobizny tak niepodobnych do siebie wykonawców jak All About Eve i Butthole Surfers, Transvision Vamp i Fields Of The Nephilim. The Primitives i The House Of Love, Pixies i The Darling Buds, 10.000 Maniacs i Loop, The Sugarcubes i My Bloody Valentine, The Wonder Stuff i Spacemen 3. A także i starych, dobrych znajomych: U2, Sonic Youth, The Jesus And Mary Chain, Morrisseya i The Mission. Różnice między nimi są oczywiste, łączy ich wszakże fakt, iż reprezentują wszelkie możliwe odmiany gitarowego rocka i bez zahamowań czerpią z dziedzictwa lat sześćdziesiątych. Bywa, że naiwnie, jakby pragnąc zrekonstruować atmosferę niewinności sprzed ćwierć wieku – częściej jednak twórczo, ani przez moment nie zapominając, iż mamy koniec lat osiemdziesiątych i jesteśmy zasobniejsi w wiele doświadczeń nie znanych pionierom gatunku, które muszą znaleźć swoje odbicie w muzyce i tekstach.

Jeżeli ktoś bardzo chce, może grup nazwać kolejnym przełomem w muzyce rockowej. Dokonał się on jednak – wbrew oczekiwaniom proroków i gawiedzi – po cichu. Bez petard, fanfar, fejerwerków i łopotu transparentów z chwytliwymi sloganami, jak miało to miejsce w latach 1976–77. Po prostu, nowe pokolenie wykonawców w naturalny – bynajmniej nie rewolucyjny – sposób zawładnęło rockowym rynkiem i dziś, na początku 1989 roku, odnosi się wrażenie, iż byli tu zawsze. Dlaczego tak się stało, nie trudno wytłumaczyć.

Od czasu pierwszych nagrań Elvisa Presleya z The Jordanaires i Buddy'ego Holly'ego z The Crickets ustalił się obowiązujący do dziś model grupy rockowej, nobilitowany przez The Beatles i im współczesnych. To co nie było gitarami, perkusją i trzyminutową manifestacją młodzieńczej witalności, stanowiło odstępstwo od klasycznego wzorca – zdradę istoty gatunku. Wyjątki tolerowano na ogół życzliwie, kiedy jednak zaczynały one układać się w jakąś stylistyczną całość – wywoływały nieodmiennie reakcję. Rozmiękczeniu, medytacyjności i przerostom formalnym muzyki hippiesowskiej przeciwstawiły się formacje z Detroit i okolic (The Stooges, MC5, Mitch Ryder And The Detroit Wheels, Grand Funk Railroad), a w Anglii – Black Sabbath, Slade i nawet sami The Rolling Stones pod okiem producenta Jimmy'ego Millera. Niecałe pięć lat później, przeciw horrendalnej komercjalizacji amerykańskiego rocka zbuntował się Nowy Jork, oferując, jako alternatywę, Patti Smith, Television, Blondie, The Ramones czy Talking Heads; na Wyspach Brytyjskich obiektem wściekłego ataku stały się syntezatorowe imperia Pink Floyd, Yes i Genesis oraz zadowoleni z siebie milionerzy pokroju Stonesów i Led Zeppelin.

Ostatni obrót tej karuzeli trwał najdłużej – całe 10 lat, nie przebiegał już jednak tak gładko i bezkolizyjnie. Owszem, w pierwszej połowie bieżącej dekady tematem numer jeden był techno-pop, a tuż po nim jego mutacja – muzyka preparowana techniką samplingu, równolegle wszakże istniał cały czas silny, post-punkrockowy nurt gitarowy – rządzący się swoimi prawami, kreujący własne gwiazdy i gwizdozbiory. W glorii sławy w lata osiemdziesiąte wkroczyli The Police i Dire Straits; pojawiły się nowe zespoły ze Szkocji, związane z niezależną wytwórnią Postcard (Orange Juice, Aztec Camera) i z Liverpoolu (entuzjastyznie przyjęci przez krytyków Echo And The Bunnymen i Teardrop Explodes); z Australii przybyli The Birthday Party. W 1982 roku Londyn zaproponował pozytywny punk, którego liderem stał się Southern Death Cult (dziś The Cult). Rok później zadebiutowali The Smiths z Manchesteru, Big Country z Glasgow i New Model Army z Bradford, a trzecim albumem *War* ugruntował swą pozycję kwartet U2 z Dublina. Lżejszą odmianę rocka repezentowali natomiast wykonawcy typu Altered Images czy Bucks Fizz.

Po drugiej stronie Atlantyku powstało tysiące formacji zapamiętale oddającym się gitarowemu łomotowi spod znaku hardcore, wśród których na pierwszy plan wysunęły się Hüsker Dü, The Replacements, Black Flag, The Meat Puppets i Minutemen, ale coraz większą popularność zdobywały grupy czerpiące inspirację wprost z popowej i garażowej papki z lat sześćdziesiątych, by wspomnieć choćby B-52s i The Cramps.

Grunt do wielkiego boomu gitarowego rocka był więc doskonale przygotowany. Brakowało jeszcze tylko kogoś, kto cisnąłby kamień, który pociągnie za sobą lawinę.

Karuzela, karuzela,



THE HOUSE OF LOVE



DARLING BUDS



THE WILD SWANS



THE RAILWAY CHILDREN

Każde wstępujące pokolenie wykonawców rockowych ma obowiązek określić się wobec przeszłości – w formie afirmacji lub negacji – jest to jednak istotne tylko z indywidualnego (właśnie – pokoleniowego), nie zaś historycznego punktu widzenia. Kiedy stygną rozpalone przełomami głowy, okazuje się, iż zarówno jedni, jak i drudzy są ogniwem tego samego łańcucha. Cofnijmy się jeszcze raz do wydarzeń sprzed 12–15 lat. Nowojorczycy świadomie, z dużą atencją odkryli nagrania Velvet Underground, The Stooges, The Doors, Love i pierwszych „punk-rockersów" (13th Floor Elevators, The Seeds, Count Five etc.), widząc w nich nie skażoną żadną sztuczną ideologią czystość gatunkową, która umożliwiała kontynuację. Brytyjczykom do zapewnienia sobie dobrego samopoczucia bardziej pasowała negacja, co zresztą nie przeszkadzało Sex Pistols brzmieć jak skrzyżowanie Black Sabbath, The Stooges i New York Dolls, The Clash – niczym The Rolling Stones na początku kariery, a The Jam – podobnie do The Who. Po obu stronach Altantyku w gruncie rzeczy chodziło jednak dokładnie o to samo: o rewitalizację rocka. Z tym tylko, że po tamtej stronie miała ona daleko bardziej otwarty charakter, co sprzyjało ciągłości i harmonijnej ewolucji. Nieuchronną konsekwencją punk rocka angielskiego jako ideologii, wręcz zachęcającej do wzajemnego patrzenia sobie na ręce, było pogrążenie się w sekciarstwie. Londyn odwrócił się szybko od złożonych niemocą wczorajszych herosów i – ku uciesze tłumów – urodził „new romantic".

Gitarowy rock, wolny od klikowości i świadczeń „na rzecz..." przetrwał w północnej Anglii, Szkocji i Irlandii; najczęściej – jeśli chodzi o młodych wykonawców bez dorobku – dzięki niezależnym firmom płytowym.

★

Przesilenie nastąpiło w 1985 roku. Przez kilka miesięcy amerykańska i brytyjska prasa eksploatowała się wydarzeniami na Zachodnim Wybrzeżu USA, gdzie nagle obrodziły zespoły grające jak za czasów świetności The Byrds, Quicksilver Messanger Service, ale sięgających też ukradkiem do schedy po Dylanie i stylistyki country and western. Nazwy The Long Ryders, Dream Syndicate, Rain Parade, The Bangles nie schodziły z ust podekscytowanych krytyków i fanów, choć wykonawcy ci w gruncie rzeczy nie oferowali niczego nowego, ani też – ciekawego. Nieporównanie bardziej oryginalną, z dużo większą wyobraźnią przetworzoną muzykę oferowały grupy z zupełnie innych części kraju – przede wszystkim R.E.M. z Athens w stanie Georgia i 10.000 Maniacs z Jamestown, New York. One też w świetnym zdrowiu i doskonałej kondycji przetrwały do dziś – one właśnie były tym pierwszym kamykiem, który miał spowodować lawinę. Ale nie jedynym.

Nowy Jork nie zamierzał zrezygnować z pierwszeństwa na rockowym rynku. Zespół Sonic Youth wydał w tymże roku epokowy (nie waham się użyć tego słowa) album *Bad Moon Rising*, którego tytuł bezpośrednio nawiązywał do przeboju Creedence Clearwater Revival. Z firmującą go wytwórnią Blast First związani wówczas jeszcze byli nie mniej znaczący The Swans i Big Black. W tych trzech przypadkach trudno mówić o duchu nostalgii, tęsknoty za starymi dobrymi czasami. Tradycja poddana została tak bezwzględnej obróbce i deformacji, iż powstała muzyka bezdyskusyjnie należąca do czasów, w jakich powstała.

Kilka tysięcy mil na wschód, z rockowym dziedzictwem – na swój sposób – zmagali się bracia Jim i William Reid, czyli The Jesus And Mary Chain, tworząc za pomocą sprzęgających się rzężących gitar iście spectorowską ścianę dźwięku i rzucając na nią słodycz à la Beach Boys, szorstki romantyzm à la Velvet Underground. Ich debiut, *Psychocandy*, uznano w wielu ankietach za wydarzenie roku 1985.

Sonic Youth i The Jesus And Mary Chain udowodnili, że tradycja rockowa jest niewyczerpanym źródłem inspiracji i na podstawie niej może powstać całkiem nowa wartość. Wszystko zależy od talentu i inwencji. Lawina ruszyła.

★

Wielki boom gitarowego rocka nie oznacza jednak uniformizacji – tego, że wszyscy naraz zaczęli kopiować jakiś jeden konkretny wzór. Wręcz przeciwnie: nie skrępowani żadnymi programami, ideologiami i ruchami wykonawcy dobierają według własnego uznania elementy, z których budują swoją muzykę. W większości robią to tak udatnie i wielostronnie, że trudno określić jednoznacznie jej przodków. The Jesus And Mary Chain, dla przykładu, nie gardzą Rolling Stonesami (sporo ich na płycie *Darklands*), ale przede wszystkim sięgają do tradycji garażowych grup amerykańskich z lat sześćdziesiątych, Beach Boys i Velvet Underground. Podobnie – My Bloody Valentine na wydanym jesienią 1988 roku albumie *Isn't Anything* oraz Loop. Z tego pnia wyrasta również The House Of Love. Założony przez Bobby'ego Gillespiego (ex-TJAMC) Primal Scream skłania się ku bardziej przestrzennemu brzmieniu i dźwięcznym gitarom, kojarzącym się już bez cienia wątpliwości z The Byrds (LP *Sonic Flower Boom)*. Reaktywowani po sześcioletniej przerwie, powracający wraz z albumem *Bringing Home The Ashes* The Wild Swans z Liverpoolu przypominają cokolwiek swych krajan, The Icicle Works, i należą do wykonawców przywiązujących ogromną wagę do elegancji w rozwijaniu linii melodycznych i bogatych aranżacji. Ich młodszymi krewniakami – jak należy wnosić z jedynej jak dotąd płyty *Recurrence* – zdają się być The Railway Children z Manchesteru. Osobnym rozdziałem – jeśli chodzi o wpływy amerykańskie – są zespoły, w których pierwszoplanowymi postaciami są rozśpiewane blondynki, czy The Primitives, The Darling Buds i Transvision Vamp. Tu już mamy do czynienia z czystym gitarowym popem, stworzonym pod patronatem Blondie, ale także i The Pretenders, i The Cramps.

Wierność rodzimej tradycji – od The Who i The Kinks po Buzzcocks – manifestują natomiast nagrania nie istniejących już The Housemartins oraz The Wedding Present, The Wonder Stuff i The Soup Dragons. Do klimatu tzw. gotyckiego rocka wciąż jeszcze nawiązują Gene Loves Jezebel, The Mission i Fields Of The Nephilim – z tego towarzystwa wypisał się zdecydowanie The Cult, który płytą *Electric* zgłosił akces do klubu hard-rockowego. Najrzadziej sięga się w bezpośredni sposób do twórczości The Rolling Stones. Jak wspomniałem, uczynili to bracia Reid na *Darklands*, a także – The Seers z Bristolu, chwilami The Weather Prophets na drugim albumie *Judges, Juries And Horsemen*, choć w bardzo eklektycznej muzyce tych ostatnich można znaleźć ślady The Doors, Hendrixa oraz (a jednak!) The Jesus And Mary Chain, których wpływu na współczesny brytyjski rock nie można przecenić. Jakże niegdyś świetnie prosperujący, a dziś zupełnie zaniedbany angielski folk rock stara się – ze sporym powodzeniem – wrócić do łask dzięki Julianne Regan i jej grupie All About Eve.

Nie sposób wymienić wszystkich – w artykule można jedynie wskazać na pewne tropy, łączące dzisiejszych wykonawców z przeszłością. Jedne są wyraźne, inne zatarte i nierzadko splątane. Świadczy to o wielkiej żywotności nowej edycji starego, dobrego gitarowego rocka – a również i o fakcie, iż wciąż znajduje się w fazie krystalizacji, burzliwej stylistycznej syntezy, której finalnego efektu nie sposób przewidzieć.

Cenne jest to, że młode zespoły wchodzą na scenę bez kompleksów, odżegnują się od formułowania manifestów i programów – nazbyt wiele ich było w ciągu minionych 10 lat – są doskonale przygotowane teoretycznie i warsztatowo. A przede wszystkim – pragną dostarczyć ludziom dobrej rozrywki, sami się przy tym niezgorzej bawiąc. Ale...

Rock – tak jak każda inna gałąź kultury masowej – rządzi się pewnymi prawami. Na wyobraźnię odbiorców działają przede wszystkim postacie barwne, elektryzujące tłumy samą swoją obecnością, opisywane z detalami w popularnych popołudniówkach. Na dzisiejszą popularność gitarowego rocka wpłynęły nie tylko osiągnięcia Sonic Youth czy The Jesus And Mary Chain, ale także gwiazdy wyłaniające się z zespołów formatu U2 (Bono), The Police (Sting), The Smiths (Morrissey), czy nawet Big Country (Stuart Adamson). Ich brak wśród nowo przybyłych, uporczywe unikanie gestów budujących image, dążenie do „zwyczajności" mogą okazać się słabością, gdy opadnie zainteresowanie publiczności. A stanie się to z pewnością w chwili, kiedy nowość przestanie być nowością. Niebezpieczeństwo jest tym większe, że styl ten wciąż jeszcze jest domeną niezależnych firm – Blast First, Homestead, SST, Kitchenware, Creation, Beggars Banquet, Reception, 4AD i kilkunastu innych. Dzisiaj są one górą, jutro jednak w tych na ogół małych wytwórniach jest zwykle niewiadomą. Szkoda byłoby gdyby nagle zniknęło tylu utalentowanych młodych ludzi i tyle dobrej muzyki. Czas zeskoczyć z karuzeli lub zatrzymać jej bieg, by znowu nie doszły do głosu uzbrojone w syntezatory kukiełki.

JERZY A. RZEWUSKI

MUZYCZNE KSIĄŻKI

BIOGRAFIE c.d.

GENESIS

O zespole tym w latach 80. napisano kilkanaście lepszych i gorszych pozycji książkowych, spośród których naszym zdaniem warto poświęcić większą uwagę następującym tytułom:

I KNOW WHAT I LIKE
(1980, Omnibus Press)
Autor: Armando Gallo

Gallo to włoski dziennikarz i fotografik na stałe mieszkający w Nowym Jorku. Już od wielu lat jest on bliskim przyjacielem i zagorzałym fanem zespołu. Trudno więc dziwić się, że „popełnił" aż 4 książki związane z działalnością Genesis lub byłych członków grupy. Wśród nich najważniejszą jest bez wątpienia praca *I Know What I Like*, pierwotnie opublikowana pod tytułem *The Evolution Of A Rock Band*. Zawiera ona szczegółową biografię zespołu, od początków w Charterhouse do LP *Duke*, bogato ilustrowaną znakomitymi zdjęciami autora zrobionymi podczas koncertów, prób, podróży. Uzupełnieniem są monografie poszczególnych muzyków i skrócona dyskografia.

FROM ONE FAN TO ANOTHER
(1984, Omnibus Press)
Autor: Armando Gallo

Ta książka Gallo przeznaczona jest głównie dla fanów, którzy o Genesis wiedzą już wszystko. Dlaczego? Jest to bowiem historia grupy opowiedziana z wykorzystaniem prawie wyłącznie wspaniałych zdjęć. Znakomite uzupełnienie poprzedniej pracy tego autora.

THE BOOK OF GENESIS
(1984, Sidgwick And Jackson)
Autor: Hugh Fielder

Muzycy Genesis sami tu opowiadają o swej przeszłości. Brytyjski dziennikarz Hugh Filder spędził z nimi sporo czasu, często biorąc udział w trasach koncertowych grupy. Wówczas to członkowie zespołu udzielili mu wielu wywiadów, które następnie zostały zebrane w tej właśnie książce. Tak powstała pasjonująca lektura, odsłaniająca kulisy wielu wewnętrznych tajemnic Genesis.

TURN IT ON AGAIN
(1983, Omnibus Press)
Autorzy: Geoff Parkyn, Steve Clarke

Pozycję tę należy gorąco polecić wszystkim zainteresowanym szczegółową dyskografią zespołu. Znaleźć tu można bowiem wszystkie informacje o nagraniowym dorobku Genesis i poszczególnych muzyków grupy. Oprócz płyt oficjalnych obszernie przedstawiono także bootlegi i nieoficjalnie wydane taśmy. Przy niemal każdej notce o danej płycie znajdziemy reprodukcję jej okładki.

GABRIEL, COLLINS AND BEYOND
(1984, Sidgwick And Jackson)
Autorzy: Philip Kamin, Peter Goddard

To wybór wywiadów przeprowadzonych z zespołem przez Kamina, uzupełniony serwisem zdjęciowym Goddarda. Na uwagę zasługują przede wszystkim znakomite zdjęcia z solowych występów Gabriela oraz fotograficzne wspomnienie ze zjednoczeniowego koncertu Genesis w październiku 1982.



PETER GABRIEL

Były lider Genesis długo musiał czekać, by zaczęto traktować go jako w pełni dojrzałego, samodzielnie działającego artystę. Dlatego też pierwsza książka jemu poświęcona ukazała się dopiero w 1986 r., a więc już po wydaniu LP *So*. Ale lepiej późno niż wcale, zwłaszcza że Gabriel ma szczęście do naprawdę dobrych wydawnictw książkowych.

PETER GABRIEL
(1986, Omnibus Press)
Autor: Armando Gallo

Kto mógłby być tym pierwszym autorem, przybliżającym fanom osobowość i muzykę Gabriela, jak nie jego serdeczny przyjaciel Armando Gallo? Jego książka to właściwie album zawierający rewelacyjny zestaw kolorowych zdjęć Petera z najważniejszych okresów w jego życiu, wzbogacony o kalendarium systematyzujące przebieg jego artystycznej kariery. Dokładnego omówienia doczekał się LP *So* – geneza jego powstania, promocja, analiza tekstów utworów słowami ich twórcy. Dobra rzecz!

PETER GABRIEL – AN AUTHORIZED BIOGRAPHY
(1987, Sidgwick And Jackson)
Autor: Spencer Bright

Ta praca ma nieco inny charakter. Bardzo elegancko wydana, oczywiście w twardej oprawie, jest szczegółową biografią i socjologiczno-psychologicznym studium zjawiska o nazwisku Peter Gabriel. Książka ukazuje nam go jako wrażliwego człowieka, muzyka, męża i ojca. Udowadnia, że nie jest to ktoś ukrywający się za tajemniczą maską, jak w czasach Genesis, ale że jest to normalny człowiek tworzący wspaniałą muzykę. Uzupełnienie części biograficznej stanowi skrócona dyskografia, a jedynym minusem *Peter Gabriel – An Authorized Biography* jest stosunkowo wysoka cena. **(pk)**

MARILLION

Mimo stosunkowo krótkiego stażu zespół ten doczekał się aż 3 książek na swój temat. Co ciekawe, każda kolejna pozycja była znacznie lepsza i droższa od poprzedniej.

MARILLION IN WORDS AND PICTURES – HE KNOWS, YOU KNOW
(1985, Bobcat Books)
Autor: Carol Clerk

Bardzo ogólnikowo przedstawiona historia zespołu, uzupełniona skróconą dyskografią. Nie warto zawracać sobie nią głowy.

MARILLION – THE SCRIPT
(1987, Omnibus Press)
Autor: Clive Gifford

To już duży krok naprzód. Autor tej biografii koncentruje się głównie na początkowym okresie działalności zespołu, czyli do wydania *Script For...* (połowa objętości książki). Bogatą faktografię uzupełniają interesujące wypowiedzi muzyków, szczegółowa dyskografia i wideografia, a także znakomite kolorowe zdjęcia. Szkoda tylko, że całość kończy się na roku 1985, czyli tuż po wydaniu *Misplaced Childhood*.



MARKET SQUARE HEROS – THE AUTHORIZED STORY OF MARILLION
(1987, Sidgwick And Jackson)
Autor: Mick Wall

Jest to bezsprzecznie najlepsza książka o zespole. Jej autorem jest dziennikarz tygodnika Kerrang!, a jednocześnie gorący zwolennik grupy i jej muzyki. Obszernie i drobiazgowo opisuje historię Marillion, czyniąc to z polotem i dużą dawką humoru. Znajdziemy tu praktycznie wszystkie informacje mogące zainteresować fana zespołu. Fragmenty wywiadów z muzykami pozwalają poznać codzienne problemy członków popularnej grupy rockowej, a zdjęcia udowadniają, iż nawet Fish był kiedyś szczupłym facetem (gdy miał 5 lat). **(pk)**

PINK FLOYD

To zaskakujące, ale jeden z najważniejszych zespołów w historii rocka doczekał się zaledwie 3 sensownych opracowań na swój temat, ale wzajemnie znakomicie uzupełniają się.

PINK FLOYD: A VISUAL DOCUMENTARY
(1988, Omnibus Press)
Autor: Miles

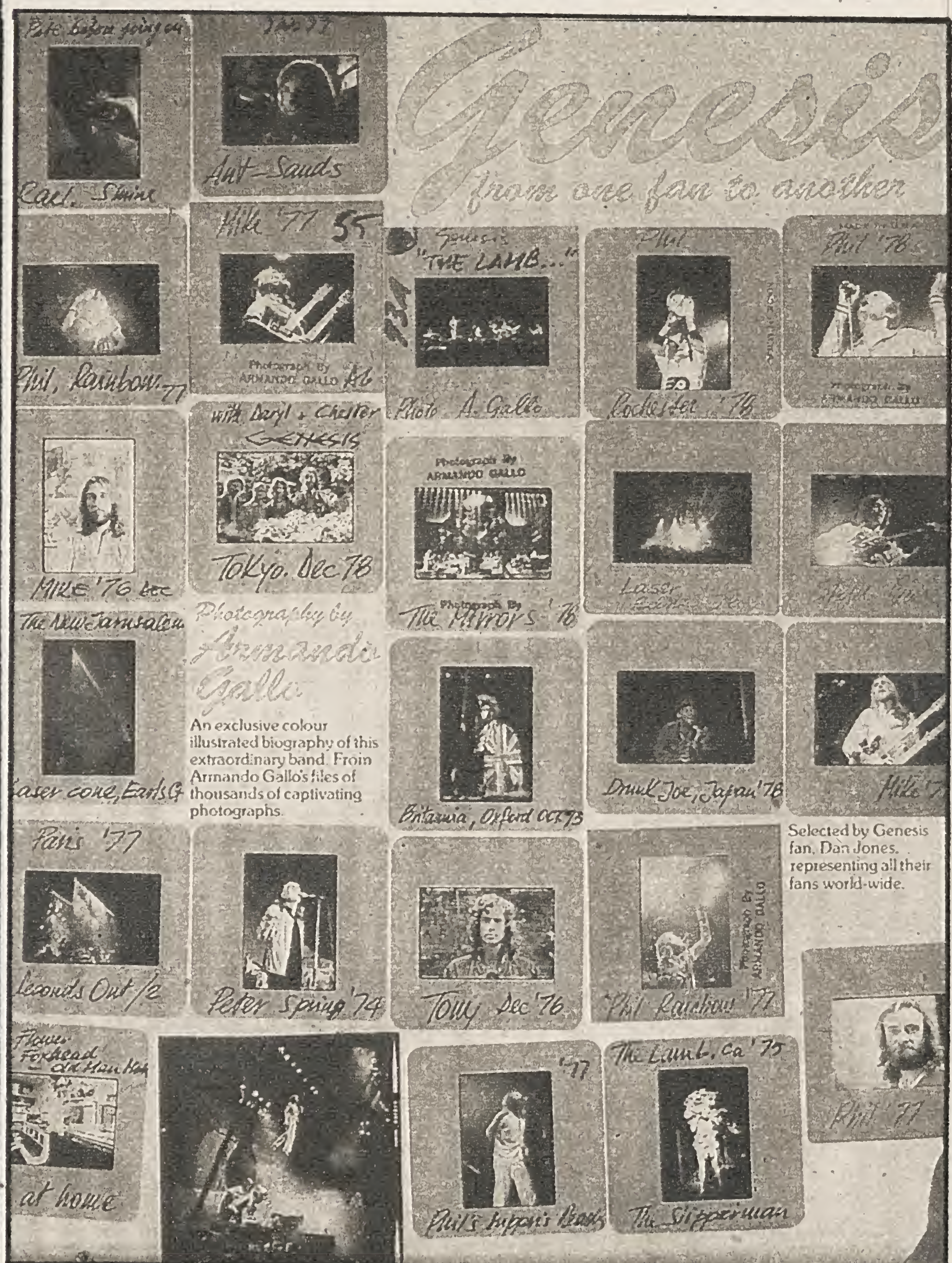


A Visual Documentary to jakby seria książek wydawanych przez oficynę Omnibus Press, poświęconych różnym zespołom, przedstawiająca w formie kalendarium ich kariery oraz działalność nagraniową. Niemal dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, możemy prześledzić poczynania danego zespołu od powstania do roku wydania książki.

Tak też jest w przypadku pracy poświęconej Pink Floydom, wznowionej i uzupełnionej w ub. roku. Dokładnie dzięki niej śledzimy poczynania zespołu aż do momentu wydania LP *A Momentary Lapse Of Reason*, dowiadujemy się gdzie i kiedy koncertowali, odbywali próby, nagrywali płyty. Znakomicie uzupełniają ten chronologiczny zapis historii P.F. liczne wypowiedzi muzyków, ich kolorowe zdjęcia, reprodukcje okładek. Jest to pozycja dla fanów pragnących otrzymać w skondensowanej formie drobiazgową biografię grupy, ale pozbawioną opisu pseudoafer i naciąganych sensacji z życia muzyków.

ANOTHER BRICK – THE ILLUSTRATED PINK FLOYD STORY
(1984, Omnibus Press)
Autor: Miles

O serii *The Illustrated Disco/Biography* wydawanej również przez Om-



CO CZYTAĆ?



nibus Press pisaliśmy już szerzej w MM 10/88. Przypomnijmy więc, że na kolejnych stronach tej mini-książeczki znajdziemy kompletne dane (tytuł, numer, data wydania, tytuły utworów, kompozytorzy, producent, inżynier nagrań, studio) poszczególnych płyt, zarówno singli jak i longplayów, w tym wypadku Pink Floydów, wydanych na rynku amerykańskim i brytyjskim. Osobne miejsce poświęcono solowym płytom muzyków grupy, a także wielu bootlegom z nagraniami zespołu. Uwzględniono też longplaye innych wykonawców, których producentami byli muzycy P.F. Informacje o kolejnych pozycjach dyskograficznych przeplatane są szczegółami z biografii Floydów, znalazło się również miejsce na kilka ich zdjęć. **(pk)**

BRICKS IN THE WALL
(1987, Shapolska Publishing)
Autor: Karl Dallas

Dallas to trochę dziennikarz, trochę pisarz. Napisał on dobrą książkę, która jest bardziej socjologiczną analizą kariery zespołu, niż szablonową biografią. Każdy rozdział dotyczy różnych aspektów działalności P.F. – singli, longplayów, solowych poczynań muzyków itp. Czyta się to dobrze, ale praca ta przeznaczona jest dla osób dobrze znających historię grupy, bowiem trudno na jej podstawie prześledzić jej dzieje rok za rokiem. Ale jest to w tym przypadku raczej zaletą, niż wadą. Razi nieco jednak brak krytycyzmu autora w stosunku do zespołu, przez co muzycy P.F. jawią się nam jako wybitni instrumentaliści i w ogóle są naj, naj, naj. Jednocześnie dość marginalnie potraktowano postać Syda Barretta. Niemniej książkę można potraktować jako dobre uzupełnienie wymienionych wyżej pozycji: czysto biograficznej i dyskograficznej. **(ts)**

THE ROLLING STONES

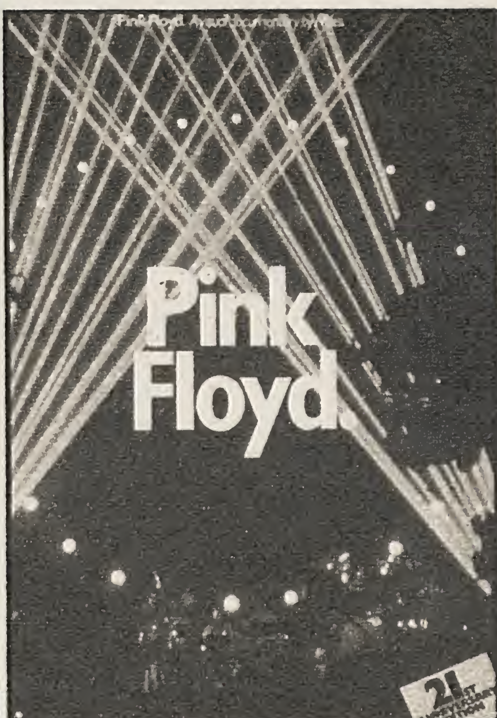
Uff!! Czy z blisko 200 książek o Stonesach, jakie ukazały się na świecie, można wybrać kilka bez wątpienia najlepszych i wartych wydania kilku(nastu) dolarów? Trudne zadanie, ale spróbować można. Oto nasze typy:

THE ROLLING STONES
(1983, A Rolling Stone Press/Doubleday)
Autor: Robert Palmer

Książka ta wyszła spod pióra dziennikarza, który był głównym rockowym recenzentem szacownego amerykańskiego *The New York Times*. Szczegółowo i ciekawie przedstawia 20 lat działalności zespołu, od jego bluesowych początków po triumfalny come back w latach 80. Wartość tej publikacji wzmacnia dodatkowo 200 znakomitych zdjęć czołowych fotografików.

THE STONES
(1984, Elm Tree Books)
Autor: Philip Norman

Równie ciekawa, choć nieco bardziej dziennikarsko napisana książka, nie stroniąca od pokazywania wszelkich kontrowersji i skandali towarzyszących działalności tej największej rock'n'rollowej orkiestry świata. Philip Norman napisał wcześniej kontrowersyjną i skandalizującą rzecz o Beatlesach (p. MM 2/89), w przypadku R.S. posłużył się podobnym schematem. Ale czyta się to znakomicie. Jednakże znający dobrze dzieje grupy nie znajdą tu nic nowego i rewelacyjnego. W USA książka ukazała się jako *Symphaty For The Devil*.



THE ROLLING STONES – THE FIRST TWENTY YEARS
(1981, Thames And Hudson)
Autor: David Dalton

Praca ta ustępuje powyższym zarówno warstwą językową, jak i zawartością faktograficzną, niemniej dla początkujących jest w sam raz.

DANCE WITH THE DEVIL – THE ROLLING STONES AND THEIR TIMES
(1984, Random House)
Autor: Stanley Booth

To bardzo osobista i subiektywna historia R.S. obejmująca wyłącznie lata 60. Booth towarzyszył zespołowi w czasie jego amerykańskiego tournée w 1969 r., zakończonego morderstwem fana grupy podczas koncertu w Altamont. W wynurzeniach autora opartych na wspomnienia z tej właśnie trasy koncertowej, Stonesi są raczej pretekstem do pokazania atmosfery końca lat 60., przesyconej narkotykami i seksem. Najciekawsze są te wątki, w których autor pokazuje jak w tym wszystkim mieścił się zespół. Dobra lektura uzupełniająca.

THE ROLLING STONES A-Z
(1983, Omnibus Press)
Autorzy: Sue Weiner, Lisa Howard.

W tej mini-encyklopedii znajdują się wszystkie podstawowe dane o R.S. Trzy tysiące ułożonych w porządku alfabetycznym haseł zawiera informacje o wszystkich muzykach, jacy przewinęli się przez zespół, ich rodzinach, kobietach, przyjaciołach, współpracownikach. Wymienione i szczegółowo omówione są wszystkie utwory zespołu, jego płyty (duże, małe, średnie), filmy, sesje nagraniowe, występy i trasy koncertowe, solowe dokonania itp. itd. Całość okraszona została dużą ilością czarno--białych zdjęć, z których wiele nie było wcześniej publikowanych. Dla każdego fana R.S. ta książka jest niezwykle cenna.

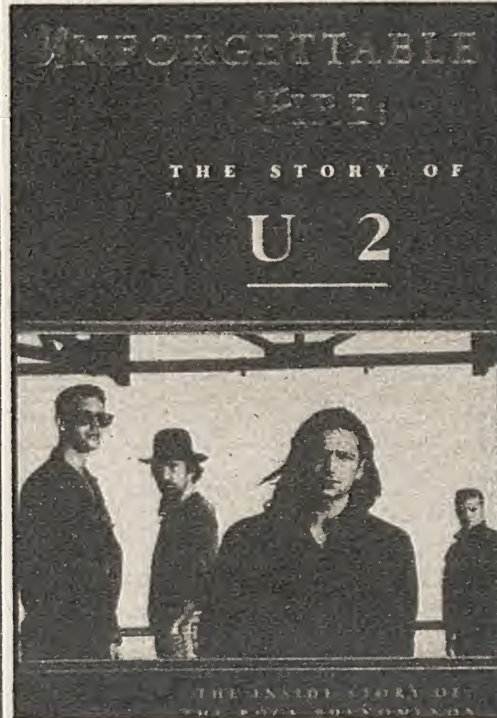
HEART OF STONES: THE DEFINITIVE ROLLING STONES DISCOGRAPHY 1962–1983
(1985, Pierian Press)
Autor: Felix Aeppli

Ta książka to prawdziwa perełka uzupełniająca dane o R.S., w pełni kompletna dyskografia zespołu opracowana przez szwajcarskiego fana grupy. Jest tu dosłownie wszystko, co Stonesi nagrali w okresie ponad 20 lat: wszystkie ich sesje nagraniowe, płyty legalne i nielegalne, wszystkie koncerty, filmy i dziesiątki innych związanych z R.S. danych. To wzór dla wszystkich, którzy chcą wiedzieć, co to jest dyskografia na najwyższym poziomie.

Spośród książek poświęconych poszczególnym członkom R.S. warto wymienić: o Brianie Jonesie – *Death Of A Rolling Stone – The Brian Jones Story* (1983, Sidgwick And Jackson), autor: Mandy Aftel, o Micku Jaggerze – *Satisfaction: The Story Of Mick Jagger* (1984, Proteus), autor: John Aldridge, *His Satanic Majestry Mick Jagger* (1985, Holt, Rinehart And Wintson), autor: John Blake, o Keithie Richardsie – *Keith Richards: Life As A Rolling Stone* (1982, Dolphin/Doubleday), autor: Barbara Charone. **(ba/ts)**

BRUCE SPRINGSTEEN

W karierze Springsteena po latach tłustych przychodzą trochę chudsze. Odwrotnie jest w przypadku książek poświęconych jego karierze i muzyce. Ostatnio niemal rokrocznie ukazuje się nowa praca. Niemniej na wyróżnienie zasługuje tylko kilka.



BORN TO RUN: THE BRUCE SPRINGSTEEN STORY
(1981, Omnibus Press)
Autor: Dave Marsh

GLORY DAYS: BRUCE SPRINGSTEEN IN THE 1980's
(1987, Pantheon Books)
Autor: Dave Marsh

Oto pełna i niezwykle frapująca biografia Bossa w postaci dwóch książek napisanych przez amerykańskiego dziennikarza Dave'a Marsha. To jedyny na świecie żurnalista, który dzięki temu, iż od wielu lat jest bliskim przyjacielem Bruce'a i jego menażera Jona Landaua, może obserwować karierę Szefa z bliska i ma dostęp do faktów, jakich nikt inny nie zna. Co ważniejsze, potrafi je znakomicie sprzedać. W *Born To Run* możemy więc dokładnie prześledzić losy Springsteena do roku 1980, a *Glory Days* to jakby ciąg dalszy, opisujący historię Bossa w latach późniejszych. Takie spojrzenie na karierę Bruce'a od wewnątrz jest niezwykle cenne i pozwala zrozumieć wiele zdarzeń związanych z jego artystyczną i prywatną biografią. Obie książki momentami są nieco przegadane, ale tworzą w sumie podstawę dla każdego interesującego się muzyką Springsteena.

BRUCE SPRINGSTEEN
(1986 Omnibus Press)
Autor: Peter Gambaccini

Dość wszechstronna biografia Bossa, opisująca jego karierę od czasów w New Jersey po tournée promujące LP *Born In The U.S.A.* Znajdziemy tu wiele interesujących faktów i znakomitych zdjęć, choć w sumie jest to jednak dość sztampowa biografia.

BRUCE SPRINGSTEEN: HERE AND NOW
(1988, Sidgwick And Jackson)
Autor: Craig MacInnis

Książka napisana przez fana i dlatego też pokazująca obraz Bossa z jeszcze innej strony. Znajdziemy tu sporo starych, mało lub w ogóle nieznanych zdjęć, dużo ciekawych szczegółów. Ponieważ całość zrobiona jest dobrze, a rzecz napisana jest w sposób przystępny i dość łatwy, można po tę publikację sięgnąć bez oporów.

BRUCE SPRINGSTEEN: BORN IN THE U.S.A.
(1986, Sidgwick And Jackson)
Autor: Robert Hilburn

Jeśli ktoś lubi Bruce'a i ładnie wydane książki, oto prezent w sam raz. Luksusowe wydanie, twarda oprawa, znakomity papier, bardzo dobre jakościowo zdjęcia. Autor jest krytykiem muzycznym pisma *Los Angeles Times*, pióro ma swobodne, ale cała książka nie obfituje w fakty i szczegóły. Niemniej na półce ładnie wygląda. **(ts)**

Przeczytali i opisali:
BOGDAN AUGUSTYŃSKI
PIOTR KOSIŃSKI
TOMASZ SŁOŃ

Opracowanie całości:
TOMASZ SŁOŃ



brytyjscy premierzy) to raczej jeszcze doskonalsza synteza eklektyzmu The Clash i rytmicznej „czarnej" muzyki. Jones zdecydował się wreszcie mocniej wykorzystać swą gitarę (choć prawdziwą solówkę można usłyszeć tylko w *Beyond The Pale)*, a niezwykle dopieszczona produkcja, w której użyto najnowocześniejszej technologii komputerowej, miała ułatwić i uprzyjemnić słuchanie płyty. Jednak obsesja na punkcie rytmu i nazbyt wycyzelowana produkcja pozbawiły ją sporej dozy spontaniczności i radości, emanujących z dotychczasowych nagrań. Nie dotyczy to właściwie tylko dwóch przebojowych, znakomitych nagrań: *V.Thirteen i C'mon Every Beatbox*. Niemniej album szybko stał się „złotym", co w dużym stopniu obaliło wątpliwości Jonesa dotyczące przyjęcia muzyki B.A.D.

Nie udało się jedynie przekonać macierzystej wytwórni CBS, która po prostu nie wierzyła w zespół, a co za tym idzie – nie wspierała finansowo promocji. Swe sukcesy grupa zawdzięcza więc praktycznie tylko sobie, swojej muzyce i ogromnej liczbie koncertów, które zjednywały im nowych fanów. Inne problemy mają w USA. Tamtejsze radiostacje niezbyt chętnie grają ich płyty, ponieważ – jak wyjaśnia Jones – *jesteśmy zbyt czarni, jak dla rozgłośni grających „białą" muzykę, a zbyt biali dla stacji murzyńskich.*

DRUGA TWARZ MICKA J.

Mick Jones jest już dziś częścią rockowej historii, a dla wielu – wręcz mitologii. Oczywiście, dzięki The Clash. Ale w ciągu 5 lat, jakie minęły od czasu opuszczenia tego zespołu udowodnił, że nie należy przedwcześnie umieszczać go w galerii Postaci, Których Blask Już Minął. Dokonania stworzonej przez niego grupy Big Audio Dynamite dowodzą, iż jest to również ważny etap w historii współczesnego rock'n'rolla. I co ważniejsze – etap jeszcze nie zakończony.

Rok 1983. We wrześniu ukazał się lakoniczny komunikat biura reprezentującego interesy grupy The Clash, w którym m.in. można było przeczytać: *Joe Strummer i Paul Simonon zdecydowali, że Mick Jones odszedł od oryginalnej idei The Clash.* Był to oczywiście pretekst, co Jones lakonicznie skomentował: *To nie prawda... A w przyszłości będą podążał w tym samym kierunku.* Niemniej kopniaka, jakiego dostał od najbliższych kumpli, wręcz przyjaciół, odczuł boleśnie. Lekarstwo mogło być tylko jedno – szybko wziąć się do pracy i zorganizować własny zespół. Już miesiąc później rozpoczął kompletowanie grupy, którą nazwał Big Audio Dynamite. Po kilku próbach wyruszyli w trasę po Anglii, grając w pierwszej części koncertów The Alarm. Ale nie wszystko jeszcze było do końca dopracowane. Jones postanowił więc zawiesić dalszą działalność. Chciał dokładnie przemyśleć koncepcję swojego zespołu.

Jeszcze w czasach The Clash zafascynowała go nowa murzyńska muzyka, grana głównie w nowojorskim Bronxie. Mieszanka funky, rapu i hip-hopu, z wyeksponowaną rolą nieco tajemniczego urządzenia zwanego beatbox. *Gdy po raz pierwszy wszedłem do jednego z klubów w Nowym Jorku* – wspomina – *pomyślałem sobie: Boże, beatbox, to przecież coś dla mnie.* Próbował swą nową muzyczną fascynację wprowadzić do nagrań The Clash, z niezłym nawet efektem *(The Magnificent Seven, Radio Clash* czy *Rock The Cashbah).* Ale jego dążenie do skierowania zespołu w bardziej „taneczną" stronę nie spotkało się ze zrozumieniem pozostałych muzyków. *Mówiłem im* – opowiadał później – *chodźcie, zatańczymy. A oni na to: „Nie, walczymy dalej".*

Tworząc B.A.D. miał już wolną rękę. Skład zespołu ustalił się ostatecznie w 1985 r., a najważniejszą w nim postacią – obok Micka – stał się czarnoskóry Don Letts. Niegdyś DJ w klubie Roxy, jako jeden z pierwszych grał londyńskim punkom reggae, później wziął się za realizację wideoclipów i szybko stał się cenionym reżyserem. Rzucił jednak i to zajęcie, a to w wyniku spotkania z Jonesem. *On kochał heavy metal, hip-hop, a ja The Clash* – wyjaśnia. Dołączył do B.A.D., gdzie odpowiedzialny jest głównie za efekty specjalne, sporo również komponuje, pisze także część tekstów.

Latem 1985 r. zespół w ciągu trzech tygodni nagrywa dla CBS debiutancki LP *This Is B.A.D.* Wydany przed świętami Bożego Narodzenia, nie miał większych szans na sukces, ale zebrał niezwykle pochlebne recenzje, a singlowy *The Bottom Line* często grany był w tanecznych klubach... Nowego Jorku. Ale dla Jonesa ważniejsze było coś innego – wydany tydzień później kolejny longplay The Clash *Cut The Crap* całkowicie przepadł, zmiażdżony przez krytyków, nie kupowany przez fanów. W tym kontekście umiarkowany sukces płytowego debiutu B.A.D. nabierał cech słodkiej zemsty za kopniaka sprzed lat.

Co spowodowało, iż *This Is B.A.D.* zyskał tak ciepłe i przychylne opinie? Najtrafniej rzecz ujął dziennikarz NME pisząc, że *brzmienie, z jakim przybył zespół jest logiczną kontynuacją punktu, na którym The Clash zatrzymali się robiąc „Sandinistę".* Dzięki temu B.A.D. stał się jakby brytyjskim odpowiednikiem wykonawców ze stajni amerykańskiej wytwórni Def Jam, ale proponował muzykę mniej agresywną, bogatszą i bardziej urozmaiconą. Jones And Co. z ogromną łatwością poruszali się na obszarze wytyczonym przez punk, hip-hop i reggae, proponując własną, niezwykle wybuchową mieszankę taneczną, choć daleką od komercyjnych propozycji rodem ze świata pop. Każdy niemal utwór składał się z rytmicznego szkieletu, na którym Jones budował – za pomocą głosu, kilku typowych instrumentów oraz różnych efektów specjalnych (fragmenty zapowiedzi radiowych, dialogów filmowych, przypadkowych rozmów) – właściwą atmosferę, niezwykle bogatą i urozmaiconą, choć na *This Is B.A.D.* jeszcze nie zawsze do końca dopracowaną.

Jones nie był jeszcze pewien, czy jego nowa propozycja – znacznie wyprzedzająca wówczas wielką popularność hip-hopu i rapu – zostanie dobrze przyjęta i zrozumiana. *Nie wiem, czy ludzie są przygotowani do odbioru takiej muzyki, jak nasza. Jest to bowiem coś nowego, choć przecież nie coś zupełnie nowego. Bierzemy pewne idee z muzyki amerykańskiej, trochę z reggae (zwłaszcza bas), dokładamy kilka pomysłów z filmowych soundtracków. Staramy się stworzyć muzykę do naszego własnego filmu, przynajmniej ja tak to sobie wyobrażam.*

Drugi album miał być prostszy w swej muzycznej formie i lepiej wyprodukowany. Ale zanim jeszcze płyta ukazała się, prasa ujawniła małą sensację. Oto dwaj niedawni antagoniści, Mr Strummer i Mr Jones pogodzili się i, co więcej, wspólnie pracują nad kolejną płytą B.A.D.!!! Ostatecznie okazało się, iż Stummer jest współproducentem LP *Upping St., No 10* (październik 1986, CBS), a także współautorem 5 nagrań. Ale bynajmniej nie był to muzyczny powrót do czasów The Clash. *Upping St., No 10* (tytuł ten jest przewrotnym odwróceniem adresu, pod którym rezydują

B.A.D., mimo „walczącej" przeszłości lidera, nie są zespołem politycznym, w swych tekstach nie poruszają w ogóle tematów dotyczących wielkiej i małej polityki. *To nie ma sensu* – twierdzi Mick. *W czasach The Clash wciąż próbowaliśmy zmienić system, ale było to walenie głową o mur. Jako Big Audio Dynamite staramy się dopasować do czasów, w których przyszło nam żyć.*

Trzeci album *Tighten Up, Vol.88* (czerwiec 1988, CBS) to powrót do źródeł, a także lekki zwrot w kierunku prostoty i stylistycznego urozmaicenia muzyki zespołu. Poszczególne utwory nagrane zostały w wypróbowany już nieraz, nieco staromodny sposób, a cała płyta jest jakby zbiorem sentymentalnych wspomnień muzycznych dorosłego, dojrzałego człowieka, jakim jest dziś Mick Jones. Znajdziemy więc i reminiscencje z Little Richarda *(Esquerita)*, Everly Brothers *(Hip Neck And Thigh)*, Johna Lennona *(Funny Names)*, popu lat 60. *(Other 99)*, muzyki country *(The Battle Of All Saints Road)*, czy – oczywiście! – The Clash *(Applecart)*, niemniej nie ma najmniejszej wątpliwości, że gra Big Audio Dynamite. Równocześnie grupa zrezygnowała z nowoczesnej technologii nagraniowej, a płyta zrealizowana została właściwie „na żywo".

Jej kwintesencją jest utwór *Just Play Music*, swego rodzaju artystyczny program Jonesa i B.A.D. W tych trzech słowach zawarte jest wszystko: po prostu grać dobrą muzykę. Mick: *Staramy się robić muzykę dla ludzi, a nie dla miejsca na liście przebojów, czy dla dziennikarzy. Chcemy jednak przekazać słuchaczowi pewien rodzaj wrażeń, a nie tylko hasło: zatańczmy. Być może mierzymy zbyt wysoko, być może wciąż jesteśmy naiwnymi idiotami czy idealistycznymi głupcami. Tworzymy jednak muzykę, którą lubimy. Myślę jednak, że wciąż mamy ludziom coś do powiedzenia. A ja nadal jestem rockerem. Chcę grać muzykę do tańca, ale taką, w której jest miejsce na moją gitarę. Lubię rock'n' roll, to oczywiste.*

Tak trzymać. Just play that music.

TOMASZ SŁOŃ



BIG AUDIO DYNAMITE

BON • JOVI

1.

John Bongiovi, znany pod swym estradowym pseudonimem Jon Bon Jovi, ma 27 lat i jest bardzo przystojny.

Dziennikarka „Rolling Stone'a" napisała o nim z ironią, że ma wspanialsze włosy w dzisiejszym rock'n'rollu. Zapuścił je jako nastolatek, na złość swemu ojcu – z zawodu... fryzjerowi. Teraz ojciec robi mu fryzury, które mogą budzić zazdrość najefektowniejszych fotomodelek.

Zresztą Bongiovi-junior zachowuje się przed kamerami niczym fotomodelka. Przyjmuje pozy kociaka, pokazuje swój owłosiony tors i... jest dziewczęco ładny, śle zabójcze spojrzenia. Jest w tym wszystkim jakiś ślad perwersji. Coś, co bywa przydatne w nowoczesnej reklamie. Nie ma w tym nic z wybryku, wygłupu.

Po prostu Jon Bon Jovi stara się reklamować jak najlepiej, bo chce osiągnąć jak najwięcej.

2.

Słowa: Bon Jovi mogą być synonimem sukcesu.

John Bongiovi, chłopak z włoskiej rodziny z Sayreville w amerykańskim stanie New Jersey, zrobił jedną z najwspanialszych karier estradowych ostatniego dziesięciolecia.

W 1980 r., tuż po szkole średniej, trafił jako rockowy muzyk-amator (bardziej wokalista niż gitarzysta) do znanego, nowojorskiego studia nagraniowego Power Station. Stało się to dzięki rodzinnym koneksjom: był spokrewniony z właścicielem studia, Tonym Bongiovi.

W 1982 r. dokonał tam swych pierwszych nagrań Bon Jovi, i podpisał kontrakt z koncernem płytowym Polygram.

W początku 1984 r. ukazał się debiutancki longplay grupy (tytuł brzmiał również *Bon Jovi*). Zamieszczone na tej płycie *Runaway* znów zrobiło furorę; tym razem w całych Stanach Zjednoczonych. Longplay sprzedawał się nieźle, a zespół występował dużo i z powodzeniem; tyle, że w skromnej roli – typowej dla kandydatów na rockowe gwiazdy: otwierał koncerty takich sław jak ZZ Top czy Scorpions.

W 1985 r. wyszedł drugi longplay, *7800° Fahrenheit*, i szybko zyskał miano Złotej Płyty.

W 1986 r. John Bongiovi i jego muzycy zapewnili już sobie gwiazdorski status. Wydany jesienią longplay *Slippery When Wet*, poparty odpowiednią reklamą i świetnymi koncertami, odniósł wielki sukces na północnoamerykańskim rynku. W ciągu kilku miesięcy rozszedł się w przeszło 5 milionach egzemplarzy (i do tej pory utrzymuje się w pierwszej setce najchętniej kupowanych płyt w USA). Na fali powodzenia *Slippery When Wet* grupa trafiła do czołówki światowego rocka.

Ostatnio Bongiovi znów popisał się w swoim stylu. Kolejny longplay jego zespołu, *New Jersey*, rzucony na rynek latem 1988 r., również wstrząsnął show businessem i okazał się wyjątkowym sukcesem komercyjnym; wybrane z niego piosenki – *Bad Medicine* i *Born To Be My Baby* – zdobyły ogromną popularność jako single i wideoclipy.

Od momentu wydania do chwili obecnej *New Jersey* należy do najlepiej sprzedawanych płyt w Stanach (w styczniu był w pierwszej piątce). W Europie wzbudził o wiele mniejsze zaintresowanie. Ale to nie powód do zmartwienia: warunkiem wielkiej kariery jest mocna pozycja na amerykańskim rynku.

3.

Autorzy z anglosaskich pism rockowych bez wahania zaliczają zespół Bon Jovi do heavy metalu. Chyba słusznie, lecz trzeba zaznaczyć, że chodzi tu o najbardziej komercyjną odmianę tego stylu. O tak zwany soft metal.

Komercyjny „metal" ma amerykańskie początki, jego prekursorami były w latach siedemdziesiątych grupy w rodzaju REO Speedwagon i Montrose (z wokalistą Sammym Hagarem – dziś Van Halen).



Także obecnie pozostaje amerykańską specjalnością, a może raczej należy do specyfiki tamtejszego rynku, co z tak dobrym skutkiem wziął pod uwagę brytyjski zespół Def Leppard.

Komercyjny heavy metal polega zazwyczaj na muzyce bardziej melodyjnej i konwecjonalnej. Na szczególnej „schizofrenii": w nagraniach jest to repertuar łatwy i wygładzony, a na koncertach robi się „metalowo" głośny i ekspresyjny.

Pojęcie rockowej komercji bywa dość nieostre. W heavy metalu zwykło się pomawiać o komercjalizację wszystkie grupy, których utwory dają się zanucić. Ale przypadek Bon Jovi – podobnie jak Motley Crüe czy Quiet Riot – nie budzi wątpliwości. To muzyka, która przede wszystkim ma się świetnie sprzedawać.

Bongiovi komponuje z myślą o przeboju (zazwyczaj z cudzą pomocą, najczęściej – muzyków swego zespołu). Do tego ma odpowiedni głos. Na tyle, na ile trzeba charakterystyczny. Na tyle, na ile trzeba podobny do wokalistów, których szeroka publiczność słucha najchętniej.

Nie ma co się rozwodzić nad repertuarem Bon Jovi. Początkowo był on mieszanką zgoła obiegowych, bliskich pop-music melodii *(Runaway, Love Lies)* i szablonowych kompozycji rockowych *(Roulette, Breakout)*. Miał dopracowane, urozmaicone aranżacje; niekiedy z „popowymi" naleciałościami, prawie zawsze z mniej lub bardziej wyraźnymi odniesieniami do heavy metalu.

Później nastąpiły nieznaczne korekty i uzupełnienia. Na płycie *7800° Fahrenheit* zespół wypadał czasami bardziej ekspresyjnie *(In And Out Of Love)* i całkiem „metalowo" *(King Of The Mountain)*. Longplay *Slippery When Wet* o tyle różnił się od poprzednich, że pojawiły się utwory wybitnie koncertowe: z mocno zaznaczonym, prostym rytmem tanecznym, z refrenami świetnie nadającymi się do wspólnego śpiewania z publicznością, z ostrzejszym, jakby pozbawionym studyjnego szlifu brzmieniem *(Let It Rock, Raise Your Hands)*.

Najnowsza płyta, *New Jersey*, zawiera największą dawkę heavy metalu i jest najbardziej efektowna. Są tu utwory będące bodaj największym osiągnięciem Bongioviego – jak *Lay Your Hands On Me* z finałem zbliżonym do gospels. Ale przede wszystkim rzucił on na szalę wszystkie swe dotychczasowe „patenty" i zrobił to z nowym wigorem. Recenzent pisma „Music Week" napisał dyplomatycznie: *Ci, którzy szukają głębszych przeżyć, mogą być rozczarowani.*

Tacy jednak raczej nie sięgają po płyty Bon Jovi.

4.

John Bongiovi (lub – jak kto woli – Jon Bon Jovi) studiuje podręczniki dla businessmenów i interesuje się każdym drobiazgiem, związanym z własną kariera.

W karierze grupy Bon Jovi wszystko jest przemyślane do najdrobniejszego szczegółu.

Zespół ubiera się kolorowo, wygląda sympatycznie i zdecydowanie odcina się od typowych grup „metalowych" upozowanych na jaskiniowców XX wieku. Bon Jovi ma image, który pozwala mu być idolem przeciętnych, amerykańskich dziewcząt. Jest po prostu ładny. Zarazem stara się być kimś, z kim może się personifikować męska część publiczności; równym chłopakiem z New Jersey. Jakby tego było mało – nie chce narażać się rodzicom swych młodych wielbicieli. Tytuł płyty *Slippery When Wet*, o ewidentnej aluzji erotycznej *(śliski, kiedy mokry)*, ma od razu dowcipne, niewinne wyjaśnienie; na wewnętrznej kopercie znalazło się zdjęcie, które przedstawia muzyków Bon Jovi w luksusowych kabrioletach, mytych przez piękne dziewczyny.

pojawia się w nich coś bezdyskusyjnie rockowego, niczym odpowiednia przyprawa. W przypadku pierwszej płyty była to odrobina „demoralizacji". Bongiovi nie tylko żegnał się z okłamującą go dziewczyną *(Breakout)* i *pełen pożądania, z płonącym sercem* czekał na nową miłość *(Burning For Love)*, ale też śpiewał o puszczających się młodych dziewczętach *(Get Ready)*. W repertuarze *7800° Fahrenheit* znalazł się swego rodzaju młodzieżowy hymn – oskarżenie społeczeństwa, które pozbawia wzniosłych złudzeń *(To The Fire)*. *Slippery When Wet* to znów złe kobiety *(You Give A Love Bad Name)* i dobra miłość, bo przecież *nic nie ma bez miłości (Without Love)*; lecz są tu także proste wyznania muzyka wędrującego po świecie i – zawsze atrakcyjna – atmosfera *Swobodnego jeźdźca: Jestem kowbojem, jadę na stalowym koniu (Wanted Dead Or Alive)*.

Na najnowszej płycie Bongiovi śpiewa: *jestem wojownikiem, jestem poetą, jestem kaznodzieją (Lay Your Hands On Me)*. Jednak naprawdę nie zmienił się. Nadal wyśpiewuje sentymentalne banały, zapewnia: *ukradnę dla ciebie słońce z nieba (I'll Be There For You)*. Nadal dba o dyskretny ślad tak koniecznej w rocku naiwności i przekory: wierzy w trwałość męskiej przyjaźni *(Blood On Blood)* i kpi z tradycyjnej moralności w imię uczucia *(Living In Sin)*.

Bongiovi ceni sobie fachowość. Od 1985 r. tworzy część swych piosenek z pomocą Desmonda Childa – uznanego twórcy muzyki rozrywkowej, który wspomagał swymi pomysłami Kiss i Aerosmith. Tak powstały największe przeboje Bon Jovi – *You Give Love A Bad Name* czy *Born To Be My Baby*.

Bongiovi nie ogląda się na przelotne mody. Po prostu trzyma rękę na rockowym pulsie. Jego zespół brzmi coraz cięzej i agresywniej, bo ciągle rośnie popularność heavy metalu. Obserwowany ostatnio zwrot w stronę hard rocka z przełomu lat 60. i 70. także znalazł swe odzwierciedlenie w repertuarze *New Jersey (Homebound Train)*.

Po niebywałym sukcesie płyty Bruce'a Springsteena *Born In The USA* – z 1985 r. – Bongiovi nawiązał w kilku utworach do jego muzyki i piosenkowego „małego realizmu" (np. *Wild In The Streets*). Oczywiście, tylko pod kątem przeboju. Duch Springsteena unosi się również nad niektórymi piosenkami z *New Jersey*; Bongiovi i Child poku-

BON·JOVI

sili sie nawet o swego rodzaju pastisz – o własne, pogodne *Glory Days (Blood On Blood)*.

Właściwie to delikatna sprawa. Bongiovi jest krajanem Springsteena, obaj pochodza z tego samego stanu. A przy tym Springsteen bywa uwazany od lat za uosobienie rocka z New Jersey. Można wiec tytuł najnowszego longplaya Bon Jovi jest wyzwaniem?

5.

Czytam wynurzenia muzykow Bon Jovi, opublikowane przez „Creem" i „Rolling Stone". Wynika z nich, że sa całkowicie przekonani do swej komercyjnej konwencji.

Dlaczego mielibyśmy eksperymentowac? To byłoby samolubne – mówi pianista zespołu, David Bryan. A na cierpkie uwagi na temat stylu grupy odpowiada: *Może dla krytyków to banał, ale nie dla dzieciakow...*

Nie chcemy przynudzac – dodaje gitarzysta Richie Sambora – *Nie bedziemy mówili o polityce, o takich sprawach.*

Zdaniem grupy dzisiejsza publicznośc chce słuchac tylko muzyki, ktora jest *porywajaca, głośna i zabawna.*

A sam Bongiovi? Zwierza się: *Nigdy nie bede zadowolony. Nie wystarcza mi, że mam na jedynce longplay, singel, compact disc, wideo; że wszystkie moje koncerty były wyprzedane; że latam własnym samolotem i że moge kupić duża posiadłosc, jeśli tylko na to mam ochote. W przyszłym roku chce byc lepszy. Chce nagrac jeszcze lepsza płyte. Chce dac wiecej koncertow. Chce moc kupic dwa domy zamiast jednego.*

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

PS. Zespoł Bon Jovi od poczatku istnienia wystepuje w składzie: Jon Bon Jovi (śpiew, gitara), David Bryan (poczatkowo pod własnym nazwiskiem: Roshbaum; instrumenty klawiszowe), Richie Sambora (gitara), Alec John Such (gitara basowa), Tico Torres (perskusja). Wszystkie płyty grupy ukazały sie w Stanach Zjednoczonych pod etykieta Mercury, a w Europie – Vertigo.




BON JOVI
BON JOVI
BON JOVI
JOVI

Wysoki, postawny mężczyzna w okularach budzi zaufanie. Nie wygląda ani na malarza, ani na poetę, choć zasiadał za sztalugami i ułożył tyle wierszy, że wystarczyło ich na trzy tomiki. 35-letni Lech Majewski jest reżyserem filmowym, który po ukończeniu Łódzkiej Szkoły Filmowej (1978) zadebiutował bardzo plastycznym filmem *Rycerz* z Danielem Olbrychskim w roli głównej. Ponoć obrazem tym w Polsce zainteresowała się tylko Agnieszka Holland i dzięki jej stanowczości Majewski został pasowany na reżysera. Wyjechał z kraju w 1980 r. i po raz pierwszy odwiedził go w grudniu 1988 r. na zaproszenie DKF „Kwant". Przywiózł dwa swoje filmy – *The Flight Of The Spruce Goose* oraz jeszcze ciepłą kopię obrazu *The Prisoner Of Rio*. Kiedy rozmawialiśmy, w jego rodzinnych Katowicach i w Warszawie, film o życiu i perypetiach uczestnika napadu stulecia, Ronnie Biggsa, rozpoczął swój żywot w brytyjskich kinach udanym debiutem. Tylko kilkaset osób widziało *The Prisoner Of Rio* w Warszawie i, co uważam na zabawne, było sporo takich, którzy „liczyli na coś więcej". Plastyczne zdjęcia z karnawałowego Rio, wartka, przypominająca kryminał akcja, świetne dialogi oraz niezłe aktorstwo, tudzież problem prawa, jego zasięgu i środków jakimi się posługuje, stanowią trudne do zanegowania atuty tego niezłego filmu. Oto fragmenty moich spotkań z Lechem Majewskim, który zawsze odpowiada spokojnie, rzeczowo, posługując się zręcznie niskim głosem o ciepłej barwie.



LECH MAJEWSKI W KLUBIE „KWANT" Fot. MONIKA DZIERAN

Pan Bóg na planie

Reżyser LECH MAJEWSKI o Gerry Raffertym, filmach i...
Słucha i notuje Romek Rogowiecki

– Na niedawnej premierze *Prisoner Of Rio* w Londynie narzeczona Biggsa, który nie mógł opuścić Brazylii, pokazała się w towarzystwie lidera grupy The Mission, Wayne Husseya. Czy jest to również Twój znajomy?

– Nie. The Mission, będąc w Brazylii, odwiedzili Biggsa, który jest tam szalenie lubianą postacią. Takie wizyty stały się chyba dla angielskich zespołów ważnym punktem pobytu w Rio. Tak przecież zrobili wcześniej muzycy z The Sex Pistols. Jak wiadomo, Biggs nagrał nawet z nimi single. Prywatnie jednak powiedział mi, że Pistolsi, na koniec pobytu w Rio, zwyczajnie go okradli. Jeżeli pamiętamy, że Biggs to nieuchwytny złodziej z napadu stulecia, taki czyn nabiera szczególnego wymiaru. Wracając do znajomych-muzyków, to łączą mnie więzy przyjaźni z Gerry Raffertym. Pamiętam nasze spotkanie w Londynie, kiedy siedzieliśmy w parku i rozmawialiśmy o życiu w kontekście filmu „The Flight Of The Spruce Goose". W pewnym momencie Gerry zaproponował, żebyśmy poszli do pubu, wypili tam parę drinków i pogadali. Ja mu odpowiedziałem, że nie musimy iść do pubu, skoro tak miło nam się rozmawia w parku. Możemy tutaj coś zrobić. On się zdumiał, ale kupiliśmy jakąś butelkę i razem siedząc w parku, piliśmy i rozmawialiśmy o życiu. Tak bardzo go to zafascynowało, że napisał o tym piosenkę, którą umieścił na kolejnej płycie.

– Rozumiem, że w ten sposób wynegocjowałeś prawa do użycia jego przeboju *Baker Street* w filmie *Spruce Goose*.

– Sama historia tej piosenki jest zupełnie niebywała i Gerry mi ją opowiedział. Był wtedy bez grosza i żył kątem u kolegi właśnie na Baker Street. Ten kolega ciągle opowiadał mu jakieś historie, że kupi sobie trochę lądu, znaczy ziemi, że zbuduje sobie na niej farmę, itd. I właśnie z tej tęsknoty za innym życiem powstała ta piosenka, która nagle Gerry'emu dała ogromny sukces w Stanach i wielkie pieniądze. Zresztą ten sukces go wystraszył. Zupełnie nie był na to przygotowany. Zaraz potem wycofał się, kupił sobie farmę w Anglii, ma tam studio i nagrywa sobie różne rzeczy z przyjaciółmi. Od tej pory unika też życia publicznego.

– Rafferty pozostał na uboczu. A czy Ty powoli stajesz się trybikiem wielkiej machiny przemysłu filmowego?

– Prawdę mówiąc zaczynam coraz lepiej rozumieć Rafferty'ego. Jest to niebywale idiotyczny świat, jeśli się w niego wkroczy na takiej powierzchownej zasadzie. Oczywiście reżyser ma trochę inne obowiązki niż piosenkarz.

– Czas na sakramentalne pytanie – co z Twoją karierą? Czy zamierzasz ją zrobić, a może już zrobiłeś?

– Trochę mnie nudzi taki ton pytania, czy ja chciałem zrobić karierę, czy nie. Ja chciałem zrobić filmy. Filmy, które są oglądane przez ludzi. Chciałem też rozwinąć swój warsztat pracy. Stany Zjednoczone są głównym rynkiem i centrum produkcji filmowej, ale to wcale nie znaczy, że tam się robi najlepsze filmy czy najwartościowsze. Dla mnie fakt, że mogłem tam zrobić film było kuszącym przeżyciem i jestem z tego bardzo zadowolony. Amerykanie twierdzą, że ja mam wrażliwość słowiańską, a na tak dużym rynku, gdzie jest tyle różnych zapotrzebowań jakoś znajduję sobie miejsce. Filmy z szybką akcją należą do grupy action /adventure movies, a moje filmy podpadają bardziej pod coś, co oni nazywają kinem autorskim.

– Wydaje mi się, że wybitny filmowiec ma swoje obsesje, z którymi nosi się latami zanim trafią one na ekran. A kiedy to już nastąpi, z reguły krytycy i publiczność odwracają się od takiego dzieła życia plecami. Przykładem jest tu chociażby Polański i jego *Piraci*. Dlaczego tak się dzieje?

– Praca nad filmem jest bardzo skomplikowana. Najlepiej chyba będzie zacytować Michaela Housemana, który mówi, że w pracy nad filmem potrzebna jest obecność Pana Boga. Tylko, że pan Bóg na pewne plany przychodzi, a na inne nie. Nie ma więc recepty na zrobienie ani dobrego, ani kasowego filmu. Bardzo trudno jest zrobić taki film jak „Godfather", który zyskał akceptację wszystkich i stanowi przykład szekspirowskiego filmu, odpowiadającego na wszystkie pytania. Mam też własne obsesje i może kiedyś przyjdzie taki czas, że dojdzie do ich realizacji.

– *Prisoner Of Rio*, Twój nowy film, opowiada o próbie porwania przez Scotland Yard nieuchwytnego Ronnie Biggsa. Mam jednak wrażenie, że prawdziwym bohaterem tego obrazu jest Rio de Janeiro, miasto zapewne niepowtarzalne.

– Nie wiem dlaczego, ale zawsze fascynowało mnie Rio de Janeiro. Dorastałem w Katowicach, mieście czarno-białym, tamto więc wydawało mi się krawędzią świata. To była abstrakcja, sen, marzenie. Kiedy więc w biurze Housemana pojawił się brazylijski producent Juliusz Kossakowski, który nie mówił ani słowa po polsku i zaproponował mi zrobienie filmu na inny temat, ja, widząc na wizytówce, że jest to człowiek z Rio, natychmiast powiedziałem mu, że lepiej będzie zapomnieć o jego propozycji i zwyczajnie zrobić film w Rio. Uznałem, że jedyną uczciwą perspektywą, jaką mogłem wtedy zaproponować, jest perspektywa obcokrajowca i natychmiast skojarzyło mi się to z tym zbiegłym Anglikiem. On jest emigrantem, ja jestem emigrantem, więc powinno być między nami pewne pokrewieństwo dusz. Kiedy jednak rozpoczęły się rozmowy z Biggsem okazało się, że jest do niego spora kolejka. Prawa do robienia o nim filmu chcieli kupić Julio Iglesias, Priscilla Presley, nawet sam Pele. Negocjacje finansowe i inne wymagały więc sporo czasu. Pamiętam, że gdy wreszcie mnie przyjął miał obok dwóch „goryli", okazało się bowiem, że przy udanym porwaniu Biggsa na Barbados, pięciu komandosów brytyjskich przedstawiło mu się jako ekipa filmowa kręcąca kolejny odcinek Bonda zatytułowany „Moonraker". Zaproponowano mu, ze dobre pieniądze scenkę, w której on gna motorówką przez zatokę Guanabara... wtedy właśnie porwano go na Barbados. Na szczęście główny sędzia Barbadosu uznał, że było to nielegalne uprowadzenie i zdecydował się oddać Biggsa władzom brazylijskim. W Rio czekał już na niego jego 7-letni syn i blisko 400 000 ludzi. To powitanie przerodziło się w karnawał, a Biggs wysiadł z samolotu i ucałował ziemię, za co Brazylijczycy bardzo go kochają. Teraz z okazji premiery filmu w Londynie jego syn przywiózł list do królowej z prośbą o ułaskawienie i o ile mi wiadomo parlament będzie ją rozpatrywał. Plotki mówią jednak, że Anglicy go nie ułaskawią. Biggs natomiast czuje się pokrzywdzony, bo za napad bez użycia broni dostał 30 lat więzienia, a teraz czyta w prasie, że gwałciciel lub morderca może dostać od 7 do 12 lat.

– Jesteś w kraju blisko miesiąc. Co sądzisz o tym, co dzieje się w naszym kinie. Jak odbierasz ostatnie sukcesy Krzysztofa Kieślowskiego.

– Uważam, że jest to wspaniałe, że film Kieślowskiego, który na Zachodzie egzystuje pod różnymi tytułami, film, którego na nieszczęście nie widziałem, bo nigdzie go tu nie grają, otrzymał takie wyróżnienie jak Felix. Ponieważ kino obecnie jest troszeczkę nijakie i powszechnie mówi się o jego upadku, to tym lepiej, że ten wstrząs, a wiem, że „Krótki film o zabijaniu" zrobił na ludziach wielkie wrażenie, przychodzi od człowieka, który robi filmy tutaj. Niestety nie widziałem zbyt wielu nowych polskich filmów, ale słyszałem o próbie robienia kina komercyjnego i w tym wypadku film Kieślowskiego jest bardzo dobrym zastrzykiem dla kina autorskiego, kina myślącego.

– Zaczęliśmy od muzyki i na koniec do niej powróćmy. Co sądzisz o obsadzaniu gwiazdorów rocka typu Jagger, Bowie czy Sting w głównych rolach filmowych. Czy obecność Phila Collinsa w konkurencyjnym dla Ciebie tematycznie filmie *Buster* nie zabierze publiczności obrazowi *Prisoner Of Rio*.

– Pojawienie się jednocześnie na ekranach „Bustera" i „Prisoner Of Rio", filmów o dwóch uczestnikach napadu stulecia, to czysta telepatia. Może będzie to początek nowego trendu we współczesnym kinie (króciutki chichot). *„Buster" już wszedł na ekrany w Ameryce i, z tego co wiem, poniósł klęskę. Nie pomógł Phil Collins i nie obawiam się tej konkurencji. A co do występów gwiazd rocka w filmach to są to z reguły nieudane przedsięwzięcia, bo publiczność woli oglądać ich na scenie, a nie w kinie. Oczywiście bywają wyjątki.*

PINK FLOYD

—post scriptum—



Jest wiosna 1967 roku, za kilka miesięcy rozpocznie się legendarne lato miłości. W stolicy Wielkiej Brytanii, przy Abbey Road, w studiach wytwórni płytowej EMI powstają jednocześnie dwie płyty. Autorem pierwszej jest grupa The Beatles, a jej nazwa będzie brzmieć *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*, drugiej kultowy zespół londyńskiego undergroundu Pink Floyd, który swój debiutancki album nazwie *The Piper At The Gates Of Down*. Ile istnieje płyt, o których można powiedzieć, że stały się dokumentem swoich czasów, lepszym niż nie jedna relacja, książka czy film? Z pewnością te dwa wówczas stworzone albumy są wśród nich.

DWA SZCZYTY
Z RÓŻNĄ PERSPEKTYWĄ

Druga połowa lat 60. była szczególnym okresem dla zachodniego, młodego pokolenia. Rodziła się nowa świadomość zakładająca potrzebę powiedzenia czegoś więcej niż *I Want To Hold Your Hand*. Jeff Nuttall, dziennikarz czasopisma „Bomb Culture" w swoim eseju poświęconym subkulturom napisał: *Na pewno można stwierdzić, że underground powstawał wszędzie całkowicie spontanicznie.* Underground (podziemie) stał się ogólnym terminem określającym ruch młodych manifestujący się w postawach, muzyce, komiksach, sztuce. Na pierwszy plan zostały wysunięte i w nowy sposób naświetlone tematy wcześniej uznawane za tabu – seks, polityka, narkotyki. W odróżnieniu od amerykańskiego, angielski underground osiągnął najciekawsze rezultaty na polu kultury i sztuki. Walka polityczna była bowiem prowadzona przez związki zawodowe, partie polityczne czy parlament. Najszybciej nowe myślenie przeniknęło na wyższe uczelnie.

W 1967 roku grupę Pink Floyd tworzyło czterech biednych studentów, którym przewodził 21-letni Syd Barrett. To właśnie przez pryzmat jego działalności należy rozpatrywać dokonania zespołu w tym czasie. Jego twórczość z okresu współpracy z grupą i krótkotrwałej solowej kariery nie zawsze była rozumiana, a częściej uznawano ją za bezsensowne dziwactwo. Struktura kompozycji Barretta była czymś zupełnie nowym w muzyce rockowej. Był to rodzaj kolaży, w których przeplatały się improwizacje z bajkowymi folkowymi miniaturami, pop-artowskie wstawki (dźwięki zabawek, dzwonków etc.) z kosmicznymi podróżami czy wreszcie czyste popowe numery. Wprowadził również nowe tematy do tekstów, często biorąc inspirację z powieści Tolkiena, choć z drugiej strony nie przeszkadzało mu to w naturalny sposób przejść ze świata baśni do psychologicznych obserwacji. Nowatorstwo Barretta można przyrównać do roli jaką odegrał w rozszerzaniu rockowej poetyki Jim Morrison. Mimo że ich wiersze stanowiły zupełnie inny rodzaj imaginacji, to łączyło je dążenie do samounicestwienia. Doprowadziło to Syda Barretta do izolacji i obłędu, a Jim Morrison poszedł jeszcze dalej. Z pewnością obaj psychodeliczną stronę rocka zabarwili w sposób, w jaki nikt tego nie dokonał przed nimi, ani po nich.

Syd Barrett napisał osiem z jedenastu kompozycji, jakie znalazły się ną *The Piper...*, a był jeszcze współautorem dwóch. Również projekt okładki wraz z umieszczonym na jej odwrocie rysunkiem (psychoanalitycy mogliby powiedzieć wiele interesującego o nim) były jego dziełem. Tak jak większość geniuszy Barrett robił wrażenie, że został sprowadzony na ziemię celem wypełnienia ważnej misji znanej tylko jemu i temu, który go wysłał. Jego piosenki jakby powstawały w innym systemie, gdyż nie można praktycznie znaleźć dla nich źródeł. Nie jest wykluczone, że niektóre z nich były produktem odmiennych stanów świadomości, bowiem ich autor już wówczas eksperymentował z LSD i innymi halucynogenami. Utwory na płycie robią wrażenie rock'n'rollowego szaleństwa ze względu na ich strukturę, tematykę i rozmieszczenie na płycie, mające istotne znaczenie w stworzonej przez autora dźwiękowej imaginacji. Decyzja o wkroczeniu do świata fantazji Barretta zależy już tylko od samych słuchaczy, gdyż wymaga to pewnego wysiłku szczególnie, jeśli poznawanie twórczości Pink Floydów nie rozpoczyna się od tego albumu. istotnym elementem muzyki Barretta był jego styl grania na gitarze – nerwowy, przeplatany nagłymi przerwami i umiejętnie wkomponowanymi fałszami. Ten wynalazek został dostrzeżony i wykorzystany dopiero wiele lat później przez muzyków nowofalowych. Brzmienie gitary ustawiał tak, by wydobyć kanonadę tępych dźwięków.

Mimo że następny album Pink Floyd nawiązuje do swojego poprzednika, a na innych krążkach można odnaleźć elementy zaczerpnięte z debiutanckiego longplaya (*Interstellar Overdrive* stał się wzorcem dla późniejszych kosmicznych medytacji), to stanowił on oderwaną całość zarówno w twórczości zespołu, jak i innych dokonań w muzyce rockowej. Chociaż *The Piper...* był jednym z najbłyskotliwszych debiutów w historii muzyki rockowej, to jego wpływ nie był zbyt wielki. Syd Barrett był zbyt dużą indywidualnością by stanąć na czele jakiegoś nurtu i praktycznie nie miał naśladowców jako kompozytor. Sam Barrett nie zdołał już nigdy osiągnąć takiego artystycznego zrywu, jak na tym albumie i w końcu ogarnięty szaleństwem popadł, przynajmniej u nas, w zapomnienie.



Minęło dwanaście lat, Pink Floyd stał się największą instytucją rocka i kultem samym w sobie. Od czasów wydania *Dark Side Of The Moon* (autentyczne arcydzieło) nie pojawili się więksi „artyści" w oddziale masowej zabawy. Po odejściu Syda Barretta grupa poświęciła się rozpracowaniu wcesnej koncepcji i przystosowaniu jej do gustów szerokiego odbiorcy. Teksty Rogera Watersa utraciły mistyczność i poetyczną stylizację wierszy „zwariowanego diamentu". W zamian za to Pink Floyd stał się najważniejszym przedstawicielem „wysokostechnologizowanego rocka" i sprzedawał swoje produkty jak świeże bułeczki.

Album *The Wall* stał się najbardziej monumentalnym dziełem w historii zespołu. Był to magnum opus Rogera Watersa, które dokładnie pokazało jego wady, jak i zalety. Niestety, zawarta w nim krytyka otaczającego nas świata wypadła zbyt ogólnikowo i momentami wręcz banalnie. Tak to przeważnie bywa, jeśli mówi się o rzeczach, na które patrzy się z dystansu. O wiele bardziej przekonująco wypadają teksty, w których autor opisuje to, co mu sprawia przyjemność niż to, co go męczy, szczególnie, jeśli od lat znajduje się w pozycji człowieka nie zmuszonego do myślenia o swojej egzystencji. Waters odbiera świat jako ciągłą agresję, której jakby nie umiał się przeciwstawić. On śpiewa o ciężkich przeżyciach w sposób przypominający pusto-moralizatorski hippiesowski bełkot. Niech mi wybaczą wszyscy fani Floydów, lecz dla mnie pierwszy przebój grupy *Arnold Layne*, ze swoimi trzema wierszami był bardziej zaangażowany niż płyty *Animals* i *The Wall* razem wzięte. Nie podważam szczerości wypowiedzi Watersa, lecz *Ściana* zbyt często popada w megalomanię. Album ten dość szybko stał się czymś więcej niż dwoma zwykłymi płytami. Jego prezentacja koncertowa i filmowa mutacja pokazały, że grupa już dawno utraciła powiązanie z rockowymi korzeniami i przerodziła się w czystą ekstrawagancję mającą wiele wspólnego ze spektaklami Cecila B. De Mille'a.

Jak wiadomo Roger Waters nie jest już członkiem zespołu, lecz statek dowodzony obecnie przez Davida Gilmoura nie zmienił swojej marszruty. Waters ma jeszcze dużo czasu, by rozmyślać i opłakiwać grzechy ludzkości i jestem pewien, że stworzy coś jeszcze większego i bardziej monumentalnego od *The Wall*.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



MINIMAL COMPACT

MINIMAL COMPACT-ZAMKNIĘTY ROZDZIAŁ

6 singli i 7 albumów to płytowy dorobek siedmioletniej działalności Minimal Compact, zespołu który przestał istnieć pod koniec ubiegłego roku.

Lider grupy, Samy Birnbach tak wyjaśnia swoją decyzję: *„Siedem wspólnie spędzonych lat to wystarczający okres. Logiczne jest to, że każdy z nas chce pójść własną drogą. Myślę, że Minimal Compact powiedział wszystko co miał do powiedzenia. Był jednym z prekursorów trendu, który dopiero teraz zdobywa powodzenie, a nazywany jest World Music, czyli połączenie i wymieszanie różnych muzycznych kultur. Cóż, myśmy takie rzeczy robili już w 1982 roku!*

Minimal Compact rzeczywiście był jednym z pierwszych zespołów, dla których muzyka rockowa nie ograniczała się do anglosaskich wzorców. Nic w tym dziwnego, skoro Birnbach, gitarzysta Barry Sakharof i basistka Malka Spiegel pod koniec lat 70. utworzyli w Izraelu pierwszą tamtejszą punkową formację. Okazało się, że muzyka etniczna Bliskiego Wschodu doskonale się łączy z rockiem, tworząc niezwykłą kulturową mieszankę. Niedocenieni w rodzinnych stronach, przenieśli się do Holandii. Tam zupełnie przypadkowo spotkali Marca Hollandera, właściciela mieszczącej się w Brukseli firmy płytowej Crammed Discs. To właśnie on, po wysłuchaniu 2 próbnych nagrań, zaprosił Minimal Compact do studia nagraniowego. Kilka miesięcy później, latem 1982 r. ukazał się pierwszy mini-album zespołu. Ówczesna muzyka zespołu podążała jakby w dwóch kierunkach. Z jednej strony widoczne były wyraźne wpływy brzmienia spod znaku Factory – Joy Division, Section 25, Names, a z drugiej – treść orientalna, nadająca muzyce rytm i tajemniczość. Po dołączeniu do składu holenderskiego perkusisty Maxa Frankena Minimal Compact dał się poznać jako zespół koncertowy. Pierwsze europejskie tournée związane było z wydaniem drugiej płyty długogrającej, *One By One* (wiosna '83). Jeszcze w tym samym roku do grupy dołączył gitarzysta Rami Fortis, który grał z pozostałymi muzykami jeszcze w Izraelu. Z czasem Minimal Compact stał się sztandarowym zespołem Crammed Discs.

Wytwórnia Hollandera jest europejskim centrum World Music, gromadząc wykonawców z różnych stron świata. Najbardziej spektakularnym osiągnięciem tej firmy była, i jest nadal, seria płyt o wspólnym tytule *Made To Measure*. Składają się na nią albumy z muzyką głównie instrumentalną stanowiącą realne lub wymyślone ścieżki dźwiękowe do filmów, przedstawień teatralnych i baletów. Nagranie Minimal Compact *Pieces Of Nothing* znalazło się na *Made To Measure Vol. 1*, zaś dziewiąta płyta z tej serii w całości została nagrana przez izraelski zespół. Album *Lowlands Flight*, wydany na początku 1987 r., okazał się najmniej typowym, ale chyba najciekawszym z dotychczasowych. Jednak największy komercyjny sukces miał miejsce 3 lata wcześniej. Był nim singel z nagraniem *Next One Is Real*, cieszący się olbrzymią popularnością na kontynencie, a także w USA. Wspomniany utwór pochodził z albumu *Deadly Weapons*, którego producentami byli członkowie słynnej amerykańskiej formacji Tuxedomoon. Współpraca obu zespołów najpełniej została przedstawiona na składankowej płycie *Fuck Your Dreams, This Is Heaven*, stanowiącej ścieżkę dźwiękową do filmu dedykowanego Sydowi Barrettowi. Członkowie Minimal Compact uczestniczyli w nagraniu 4 utworów: wersji słynnych przebojów The Yardbirds *(Still I'm Sad)*, Syda Barretta *(Late Night)* i Patti Smith *(Dancing Barefoot)*; wraz z Niki Mono napisali utwór *Marathon* – temat przewodni filmu.

Popularność Minimal Compact ograniczała się jednak tylko do europejskiego kontynentu. Mimo kilku prób, zespołowi nigdy nie udało się wejść ani na rynek angielski, ani amerykański. Jedyny (!) koncert w Wielkiej Brytanii odbył się w 1985 r., podczas przeglądu ICA Rock Week. Brytyjska krytyka, niezbyt przychylna działaniom Hollandera, zignorowała także Minimal Compact. Jednak w pełni zespół rekompensował to powodzeniem na kontynencie, a zwłaszcza we Francji i krajach Beneluksu (wystąpił także w Polsce podczas

SAVAGE REPUBLIC

Formuła World Music narodziła się w USA. Tam gdzie krzyżują się losy emigrantów z różnych stron świata, powstaje mieszanka najróżniejszych, także muzycznych kultur.

W Los Angeles działa wytwórnia specjalizująca się w tego typu muzyce – Nate Starkman And Son. Współpracuje z nią kilka zespołów, m.in. White Glove Test, Drowning Pool, The Party Boys, Dark Art, Red Temple Spirit, Human Hands i Shiva Burlesque. Firmę powołali do życia Phil Drucker, bardziej znany jako Jackson Del Rey, oraz Bruce Licher, członkowie zespołu Savage Republic – legendy amerykańskiego rockowego podziemia. Phil Drucker: *Na początku działalności zarówno Swans, jak i Sonic Youth wzorowali się właśnie na nas. Michael Gira redagował w Los Angeles własne muzyczne pismo. W jednym z numerów zamieścił duży materiał o Savage Republic. Kiedy z nami rozmawiał był wyraźnie zafascynowany tym co robimy. Natomiast członkowie Sonic Youth do końca życia mogą odżegnywać się od nas, ale i tak nic im to nie pomoże. Kiedy ukazał się nasz debiutancki album „Tragic Figures", Sonic Youth diametralnie zmienił styl. Zespół poszedł w tym samym kierunku co my parę miesięcy wcześniej.*

Początki historii Savage Republic sięgają roku 1981, kiedy czterech szkolnych kolegów, wśród nich Drucker i Licher, założyło dla żartu zespół rockowy. Początkowo grali w barach i na studenckich zabawach, ale nikt nie przyjmował ich serio. Utwory nie miały struktury piosenek, były raczej totalnym brzmieniowym eksperymentem. Drucker: *Jako nastolatek zupełnie nie interesowałem się muzyką pop ani rockiem. W końcu wylądowałem w szkole plastycznej, gdzie szybko zorientowałem się, że nienawidzę malowania. Jedynym rozsądnym wyjściem było więc... zajęcie się muzyką.*

Pierwszy album Savage Republic, *Tragic Figures*, miał olbrzymi wpływ na zmianę sposobu myślenia wielu wówczas początkujących amerykańskich formacji. Specyficzny rytm oraz elementy arabskiej muzyki ludowej tworzyły brzmienie dotychczas zupełnie nieznane. Jednak po nagraniu pierwszej płyty Drucker odszedł. Nie chciał zgodzić się na powiększenie składu i instrumentarium. Bez jego udziału powstały 2 kolejne albumy, *Ceremonial* i koncertowy *Live Trek 1985–86*. Użycie m.in. instrumentów dętych zmieniło brzmienie zespołu. W roku 1987 Drucker powrócił do zespołu. Usunął trąbki i nadał muzyce kierunek zapoczątkowany na debiutanckiej płycie.



W ubiegłym roku ukazał się czwarty album Savage Republic, *Jamahiriya*. Płyta fascynuje. Gatunek zawartej na nim muzyki jest niezwykle trudny do określenia. Właściwie są to różne, wymieszane ze sobą style z dominującym wpływem egzotycznego arabskiego brzmienia, tworzonego jednak jak najbardziej rockowymi środkami – gitary, rozbudowane instrumentarium perkusyjne, klawisze. *Jamahiriya* balansuje pomiędzy bombastycznym rock and rollem *(Viva La Rock'n'Roll)*, a motywami egzotycznymi *(Tabula Rasa, Moujahadeen)*. Raz jeszcze Drucker: *Penetrujemy różne kultury, zarówno od strony muzycznej, jak i słownej. Stąd na płycie między innymi kompozycja Mikisa Theodorakisa „Pios Den Mila Yia Ti Lambri". Niektórzy uważają nas za pro-arabski zespół. To, że płyta „Tragic Figures" ukazała się w czasie trwania irańskiej rewolucji nie świadczy wcale o naszej sympatii do Chomeiniego. Po prostu śledzimy to, co się dzieje na świecie i co ma wpływ na życie Ameryki.*

Skład Savage Republic jest płynny. Obecnie tworzą go: Jackson Del Rey, Bruce Licher, Thom Fuhrmann, Greg Grunke, Bradley Laner i Ethal Port.

MROCZNI NIEZALEŻNI

Redaguje PRZEMYSŁAW MROCZEK

z życia indian

To było do przewidzenia. Jedna z największych rewelacji ubiegłego roku, zespół House Of Love odchodzi od firmy Creation. Na początku roku podpisał kontrakt z wytwórnia Fontana, której nakładem jeszcze w tym roku wyda kolejny album ● Sportchestra! to formacja powołana do życia dla nagrania zaledwie jednej płyty, albumu *101 Songs About Sport*. Sportowe piosenki firmuje wytwórnia Agit-Prop oraz muzycy zespołów Hersey, Three Johns, Chumbawamba, Membranes i The Ex. ● W najnowszym wydaniu *Księgi Rekordów Guinnessa* znalazł się zespół Psychic TV. Od 2 lutego 1987 r. do 2 lutego 1988 r. wytwórnia Temple wydała 11 albumów tej grupy, zawierających nagrania koncertowe. Rekord będzie jeszcze bardziej wyśrubowany, gdyż Psychic TV zamierza wydać w sumie 23 koncertowe płyty. ● Protesty organizacji feministycznych towarzyszyły pierwszemu brytyjskiemu tournée zespołu Rapeman (Gwałciciel). Brytyjskie feministki żądały odwołania koncertów lub zmiany nazwy zespołu. Steve Albini skomentował to tak: *Ludzie protestują i jak zwykle nie wiedzą przeciw czemu. Nie zamierzam zmienić nazwy zespołu. Jest ona wyzwaniem dla tych, którzy nie umieją myśleć.* ● Robin Guthrie (Cocteau Twins) wyprodukował, a wytwórnia Third Mind wydała maxisingel nowego zespołu Heavenly Bodies (odwrócenie This Mortal Coil). Na płycie zatytułowanej *Rains On Me* grają byli muzyce Dead Can Dance, SPK i This Mortal Coil.

---

pierwszej edycji „Marchewki").

W roku 1985 światło dzienne ujrzał kolejny album, *Raging Souls*. Rolę producenta przejął Colin Newman, mąż Malki Spiegel, znany przede wszystkim jako lider jednego z najbardziej znaczących zespołów w historii nowej fali – Wire. Ostatnia studyjna płyta *The Figure One Cuts* powstała jesienią 1987 r. Pod względem studyjnej realizacji zdecydowanie górowała nad poprzednimi, w czym główna zasługa kolejnego producenta – Johna Fryera. Nadał on muzyce niezwykłą przestrzeń, tak charakterystyczną dla dokonań 4AD. Mniej na tym albumie elementów orientalnych, a więcej melodyki i łagodności. Późną jesienią ubiegłego roku wytwórnia Crammed Discs wydała ostatni album Minimal Compact. Płyta nagrana została na żywo, a nazywa się po prostu *Live*.

Dlaczego zespół zdecydował zakończyć swoją działalność właśnie płytą koncertową? Ponownie Samy Birnbach: *Ona pokazuje różne oblicza zespołu. Występując na żywo zawsze byliśmy bardziej dynamiczni niż w studiu. Album jest jak gdyby składanką typu Best Of, przedstawia materiał wybrany ze wszystkich naszych płyt. I ciekawostka – zamówienia na tę płytę są dwa razy większe niż na nasz poprzedni studyjny album. To naprawdę najlepsza pora, aby powiedzieć: Koniec!*

Znane są już solowe plany poszczególnych muzyków. Barry Sakharof i Rami Fortis założyli, na razie studyjny, zespół Foreign Affair. Pierwszy ich album *East On Fire* ukaże się jeszcze w tym półroczu. Malka Spiegel zamierza nagrać płytę solową, Max Franken na razie odpoczywa, zaś Samy Birnbach pracuje ze znanym w kręgach elektronicznej awangardy Benjaminem Lew. Obaj zamierzają skomponować muzykę do wierszy kilku znanych poetów, m.in. Boba Kaufmana, Paula Eluarda, Delmore Schwartza i Thomasa Hardy'ego. Teksty śpiewane będą w oryginalnych wersjach: po francuski, angielsku i niemiecku.

Minimal Compact – dyskografia

Single

Takes A Lifetime (83)
Next One Is Real (84)
My Will (85)
This Scent Of Love (85)
Immigrant Song (86)
Nil Nil (87)

Wszystkie wydane nakładem Crammed, z wyjątkiem ostatniego – *Materiali Sonori*

Albumy

Minimal Compact (83)
One By One (83)
Deadly Weapons (84)
Raging Souls (85)
Lowlands Flight (87)
The Figure One Cuts (87)
Live (88)



TWO NUNS AND A PACK MULE – Rapeman (Blast First)

Pierwszy album nowej formacji Steve'a Albini'ego, byłego lidera Big Black, który przez ostatni rok pracował głównie jako producent m.in. płyt The Pixies i Pussy Galore. Trio Rapeman (Albini plus byli muzycy Scratch Acid) jest przedsięwzięciem będącym logiczną kontynuacją muzyki poprzedniego zespołu. Mocna zarówno pod względem tekstu, jak i brzmienia muzyka niemal rozsadza ramy 12-calowej płyty. Albini był i pozostał geniuszem programowanego hałasu.



THE VERY BEST OF, 1965–1988 – Golden Earring (Arcade)

Zespół Golden Earring obchodził niedawno 25 rocznicę powstania. Z tej okazji holenderska firma Arcade wydała podwójny album, zawierający 30 największych przebojów słynnej formacji, która, mimo że najlepsze lata ma już poza sobą, nadal istnieje. Obok wczesnych nagrań z lat 60. na obu płytach znalazły się takie przeboje jak *Back Home*, *Radar Love*, *Ce Soir* i *Twilight Zone*.



MENDING WALL – Chalk Circle (Westpark Music)

Udany debiut kwartetu z Toronto. Mimo ciągotek w stronę U2, Chalk Circe tworzy dość oryginalną muzykę, opartą przede wszystkim na brzmieniu gitary i fortepianu. Przebojowym, motorycznym nagraniom przeciwstawione są akustyczne, balladowe utwory. Być może już wkrótce zespół straci niezależność, gdyż zainteresowana jest nim wytwórnia CBS.

JEST INTERES DO ZROBIENIA

W tym sezonie modne są stowarzyszenia. Grupują się więc ci, co są zwolennikami naturalnego karmienia i rodzenia, miłośnicy Mazurka Dąbrowskiego oraz ci, co wierzą w wyższą świadomość. Niezależnie od tego, czy życie spędza się teraz przy okrągłym czy kwadratowym stole, siedząc czy stojąc, dyskutując czy pracując (choć pracę ceni się nadal najmniej), poczucie stowarzyszeniowej więzi daje siłę i podstawę do wysuwania postulatów.

Na obrzeżach dziedzin, będących w polu zainteresowań „MM" także pojawiły się inicjatywy stowarzyszeniowe. Nowe i stare, ale zawsze idące z duchem czasu. Oto Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR ustami swego prezesa, Janusza Sławińskiego, postanowił oprotestować fakt, iż w warszawskiej Operetce odbyła się premiera dzieła Raymonda *Błękitna maska*. Wyciągnięto przy tej okazji argumenty wprost porażające swą pryncypialnością: Fred Raymond był ulubionym twórcą dostojników III Rzeszy, premiera *Błękitnej maski* odbyła się za czasów Hitlera w Szczecinie, a jej wznowienia – w okupowanej Warszawie i Łodzi.

Czy nie należy zatem dzisiaj wystawiać *Błękitnej maski* z powodów patriotycznych, czy też dlatego, by nie robić na niej podejrzanych interesów? Tak się bowiem składa, że to kiczowanie dziełko o bzdurnym libretcie nadal cieszy się popularnością na obszarze niemieckojęzycznym i już jeden polski teatr zbił wcześniej całkiem niezły interes jeżdżąc z *Błękitną maską* po zachodnioniemieckiej prowincji. Ważne są natomiast postulaty, jakie wyciąga przy tej okazji szefostwo ZAKR-u. Związek powinien być konsultantem teatrów muzycznych w Polsce, gdyż wiele dzieł własnych kompozytorów nie może doczekać się wystawienia a zamiast tego na afisz trafiają podejrzane politycznie i historycznie kicze.

To, że tzw. polski musical praktycznie nie istnieje, a znakomita większość dzieł rodzimych twórców jest muzycznie przestarzała, nie ma oczywiście tutaj najmniejszego znaczenia. Ważny jest własny interes, który można przy tej okazji załatwić.

Od paru miesięcy działa również Polskie Stowarzyszenie Estradowe, jedno z dzieci obecnego sezonu. Pragnie grupować artystów, menażerów i organizatorów życia estradowego, ale także techników, posiadaczy sprzętu akustycznego czy właścicieli prywatnych studiów nagraniowych i firm fonograficznych. Zapewne może ono odegrać istotną rolę, bowiem polskiemu życiu estradowemu przydałyby się generalne porządki. Czy nowe stowarzyszenie byłoby w stanie na przykład unormować sytuację zawodową impresariów i menażerów? Czy zajęłoby się statusem ludzi estrady, tak by zniknęły fikcyjne etaty i półoficjalne gaże, dzięki którym omija się obecne stawki wynagrodzeń?

Plany stowarzyszenia są jednak jeszcze bardziej ambitne. Pragnie stać się grupą nacisku dla firm fonograficznych, tak by w sposób równomierny i sprawiedliwy dostrzegały one interesy wszystkich członków, jak twierdzi prezes Zbigniew Adrjański. Brzmi to jak zapowiedź reglamentacji nagrań, tak by każdemu artyście przysługiwało prawo zrobienia na przykład jednej płyty rocznie. Innym pomysłem jest stworzenie ośrodka informacji komputerowej, który rozsądnie i sprawiedliwie rozdzielałby pracę wszystkim potrzebującym. Nie wiadomo jedynie, czy do komputera wprowadzono by również dane o tym, kto jest lepszy, kto gorszy, kogo publiczność chce oglądać, komu zaś należałoby płacić za to, by nigdy więcej już nie pojawił się na estradzie.

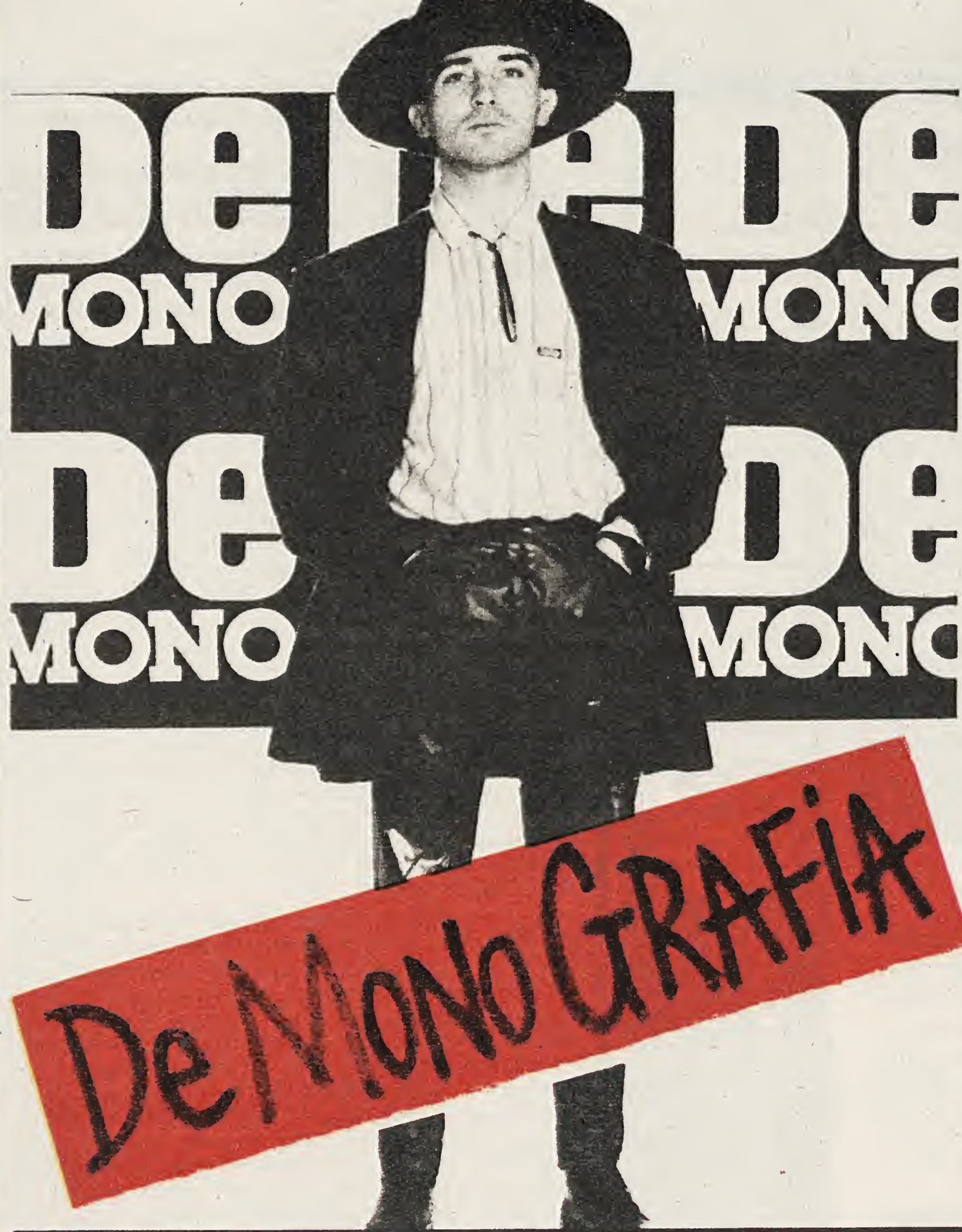
W kolejce po własne stowarzyszenie nie stanęli jak na razie muzycy rockowi. Może dlatego, że rock bywa sztuką, która z reguły idzie pod prąd społecznym modom i więcej w nim buntu oraz przekory niż dostosowania się do aktualnej sytuacji. A może po prostu polscy rockmani czują, że stworzenie własnej organizacji jest niemożliwe? Kto dziś pamięta, że z początkiem lat osiemdziesiątych zawiązała się już Federacja Muzyki Rockowej z Józefem Skrzekiem i Ireneuszem Dudkiem na czele?

Plany wówczas formułowane były bardzo ambitne. Mówiło się o promocji nowych grup, o wydawaniu własnego biuletynu i prowadzeniu warsztatów szkoleniowych, o patronacie nad festiwalami i konkursami, o współpracy z producentami sprzętu i fonografią. Zgłaszano konieczność uregulowania spraw socjalno-bytowych środowiska.

Czy którykolwiek z tych postulatów stał się dzisiaj nieaktualny? Jest to nadal lista spraw do rozwiązania, którymi nikt wszakże nie chce się zająć. Formułowano je w czasach, gdy rock w Polsce był jednym z najistotniejszych i najciekawszych zjawisk kulturowych, a ogromna ilość nowych zespołów napawała optymizmem i budziła nadzieję, że staniemy się rockową potęgą. Dziś jego kondycja jest znacznie słabsza, po wielu zespołach nie pozostały już nawet wspomnienia. Federacja nie istnieje i tylko problemy pozostały te same.

Czy znaczy to, że moda na stowarzyszenia jest bezsensowna? W dzisiejszych czasach nie znajdzie się nikt odważny, by odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. A może po prostu ma rację Kora, która niedawno w telewizji powiedziała, że nie ma gorszego i bardziej skłóconego środowiska niż muzycy. Może z wyjątkiem ich menażerów.

JOTEM



POLSKI

Swoją pierwszą płytę długogrającą rekomenduje zespół DE MONO.

Nikogo nie ma w domu

To piosenka, którą otwieramy nie tylko płytę, ale też wszystkie koncerty. Utrzymana w konwencji gitarowych przebojów z lat 60., opowiada historię, która może spotkać każdego chłopaka. Bohater piosenki ukrywa się nie tylko przed dziewczyną, z którą chce się rozstać, ale przede wszystkim unika kontaktu z poborową komisją. Aranżacja utworu kojarzyć się może z zespołem Pretenders.

Granice, granice

Mówią o miłości, której nigdy nie będzie. Jak można wyzwolić uczucie do czegoś nieznanego, do kogoś kogo nie mamy szansy poznać? Nie, to nie jest surrealistyczna wizja świata, to nasza rzeczywistość. Jak ważny to problem wystarczy wyobrazić sobie koncert w Pradze, na którym tę piosenkę bisowano dwa razy.

Afryka

To jeden z najstraszych naszych utworów, trochę przypominający ostatnie produkcje INXS. Motoryczna sekcja plus plamy gitar stwarzają, iż pomimo gorzkiej wymowy, kompozycja świetnie nadaje się do tańca. (Podobnie jak większość utworów na tej płycie).

Obrazy

Zaczynają się bardzo zabawnie, takim jazzowo-swingowym pochodem basu, wspartym saksofonem sopranowym. Cały utwór jest dość lekki i zwiewny. Perkusja, a także instrumenty perkusyjne nadają piosence specyficzny drive. *Obrazy* to dosłownie i w przenośni bardzo malarska piosenka. Tekst jej mówi o tym, że można inaczej spojrzeć na świat, dostrzegając obok szarości całą gamę innych kolorów. To piosenka o naszych nadziejach. Saksofon w ostatnich fragmentach przypomina klimaty z *Nothing Like The Sun.*

Za oknami wiatr szaleje

Piosenka opowiada o gorącej, namiętnej miłości, której poddaje się upalnej nocy para kochanków, wpadając przy tym w trans, coś na kształt tańca miłości. Muzycznie utwór bazuje na bluesowym temacie, choć w sumie nie jest to klasyczny bluesowy pochód. Staraliśmy się, ażeby brzmiał on bardziej nowocześnie. W pierwszej radiowej wersji tego utworu, dodaliśmy tło organowe oraz zrezygnowaliśmy z partii gitary akustycznej w końcowych fragmentach.

Nie nasza wina

To jeden z ostrzejszych kawałków na płycie, utrzymany w klimacie amerykańskiego gitarowego rocka. Zwariowane solo gitary, dobre tempo i chwytliwy refren to chyba niezły materiał na przebój.

Nie zabijaj

Nie, to nie cytat z dekalogu, tu chodzi o tłumienie własnego JA, ograniczanie własnych marzeń i pragnień. To przewrotna piosenka, cały jej tekst opiera się na powtarzających się dwóch krótkich wersach tekstu. Do tego ostre psychodeliczno-punkowe granie jedynie przez ponad minutę. Utwór ten jest dobrym kontrapunktem dla granych na koncertach spokojniejszych piosenek.

Mam ciebie dość

To tylko pozornie piosenka o miłości.

Za chwilę coś się stanie

Chociaż rockowa metalowa gitara miesza się tutaj z funkowym rytmem jest to bardzo lekka taneczna kompozycja. Tekst jest próbą odpowiedzi na z pozoru dziwne pytanie: co my tu właściwie robimy, co nas tak mocno tutaj trzyma?

Kochaj inaczej

Jedna z ładniejszych naszych piosenek na płycie. Spokojna, nastrojowa kompozycja z pięknym tekstem o miłości, której odcienie mogą być tak różne w zależności od miejsca, chwili, nastroju. O miłości słabej i kruchej, a z drugiej strony mocnej i namiętnej. O tym, że można kochać tak różnie. Dramatyczna solowa partia gitary jest mocnym finałem tej różnorodnej, ale zarazem prostej rockowej płyty.

Nagrań dokonano w studiu Andrzeja Puczyńskiego, któremu jednocześnie dziękujemy za jej realizację.

Wysłuchał KUBA WOJEWÓDZKI

Płytę zespół nagrał w składzie: Krzywy (voc), Kościk (g), Perkoz (g), Robert (sax), Kuba (b), Krupez (dr), Kostek (kdbs), Jarosław Pakoca (menażer).

Łódź. Brudne, brzydkie ulice. Odrapane budynki ze smętnymi resztkami dawnych zdobień. Jednostajnie, smętnie, szaro. Czy w takim miejscu może powstać muzyka i w ogóle jakaś sztuka? (A o Rubinsteinie kolega słyszał – Red.) **Hmm.... Spróbujemy z innej strony; The Fall, Joy Division, The Smiths – zespoły, które powstały, gdyż były pewnego rodzaju reakcją na szarość, twórczym odbiciem industrialnego centrum – Manchesteru. Powstały, ponieważ taki właśnie, ciężki, przytłaczający wręcz klimat tego miasta wywołał u kilku wrażliwych ludzi potrzebę tworzenia. Potrzebę zrodzoną z depresji. I determinacji. Pozostaje jedynie pytanie, czy w takch ponurych miejscach rodzą się ludzie wrażliwi. Tam – jak widać tak. A tu? Czy Łódź muzycznie jest polskim Manchesterem?**

Jechałem do Łodzi mając w głowie kilka faktów, kilka nazwisk i trochę muzyki. W notesie zebrałem kilka adresów i numerów telefonów. Jechałem z lekką obawą, ale równocześnie i ciekawością, czy moje wyobrażenia o tym mieście i żyjących tu ludziach pokryją się z rzeczywistością. Pokryły się. W chwili, gdy wysiadałem z pociągu, wraz ze smrodem spalin przyplątały się do mnie słowa prawie zapomnianej piosenki: *Jesteś ze mną w szarym mieście /Szare niebo nas zalewa/.... i czekanie /Na autobus albo koniec/.*

Kiedy zaczęła się tu muzyka? Aneks, Brak, Rendez Vous, Rezerwat... Nie, wcześniej był przecież pan Bernard Sołtysik i jego Pro Contra. Pani Gayga, znana w Łodzi pod bardziej swojskim imieniem Krystyna, też stawiała tutaj pierwsze kroki. Nas interesuje jednak to, co zaczęło się dziać na początku lat 80. Wtedy to, z kilkuletnim opóźnieniem do Łodzi zawitał punk. Estetyka brudu – jak doskonale pasowała ona do charakteru tego przemysłowego miasta. Młodzi ludzie usłyszeli dźwięki, które idealnie współbrzmiały z tym, co widzieli i przeżywali na co dzień. Dźwięki chropawe i równocześnie bardzo proste – nietrudno było nauczyć się je grać. Powstały pierwsze w Łodzi punkowe kapele – Phantom i Enola Gay ze słynnym wokalistą Michalonkiem, człowiekiem, który pierwszy chyba zaczął tu propagować punk – postać to zresztą znana i ceniona w tym środowisku. Był on podobno rewelacyjnym wokalistą i kompozytorem, chociaż nigdy nie udało mu się odnieść większego sukcesu. Jak twierdzą ludzie, którzy z nim grali, wynikało to z „trudnego charakteru". Ktoś obrazowo powiedział, że *to był koleś, który podając komuś rękę momentalnie ją spalał.* W ten sposób spalił i siebie.

Następnym etapem na tej drodze był Brak. Michalonek był w jednym z pierwszych składów, ale w momencie, gdy sprawa się wykrystalizowała powoli odszedł w zapomnienie. Podobno czasem jeszcze śpiewa, ale tylko w domu – dla znajomych. Brak to pierwsza tutejsza grupa, która mając swe źródła w punk rocku zaczęła powoli odchodzić od typowych panczurskich schematów. Cały czas trzymając się estetyki brudu i śmietnika, posunęła się dalej, wprowadzając elementy jazzu (niektóre partie saksofonu) i kładąc nacisk raczej na tworzenie nastroju, niż hałasu.

Ziemek Kosmowski – czołowa postać Braku – utworzył zresztą wkrótce nową kapelę; zaproponował ludziom coś nowego i do tej pory wręcz niepojętego – odkrywanie w szarej i nieciekawej rzeczywistości piękna. Tak – właśnie piękna. Kosmowski pokazał, że można je znaleźć w sobie i w małych, na pozór nic nie znaczących sprawach: *A na plaży mi się marzy /Taniec w słońcu i bez końca/ Wirowanie na jej ramie/Kropla wody słońca promyk/.*

***Anna* to bez wątpienia do dziś jeden z najciekawszych rockowych utworów jaki powstał w naszym kraju.** (Jezu! – Red.) **Niesamowite, że ta prosta w sumie piosenka potrafiła oczarować tylu ludzi. *Anna* stała się pierwszym i jednocześnie naprawdę wielkim przebojem rodem z Łodzi. Okazało się, że na wysypisku śmieci może zakwitnąć kwiat. Piękny kwiat. Niestety kolejne kwiaty okazały się mniej kolorowe. Piosenki Rendez Vous można porównać do impresjonizmu w malarstwie. O ile jednak impresjonizm *Anny* jest niezwykle subtelny i zarazem bardzo plastyczny, po prostu robiący wrażenie, to impresje zawarte w następnych utworach momentami nużyły. Zespół powoli się wypalał. Ziemek Kosmowski, pragnąc odnieść komercyjny sukces, nagrał jeszcze solową płytę, ale widać było, że to już koniec. Płyta okazała się nijaka, wtórna, zawierająca blahe piosenki, będące jedynie kiepskimi kopiami numerów The Police. W tej chwili Ziemek jest w Holandii, gdzie podobno pracuje na bocznicy kolejowej płucząc węgiel. Trudno podczas takiego zajęcia tworzyć perełki na miarę tej pierwszej, nie mamy więc raczej co liczyć na triumfalny come back Rendez Vous (tym bardziej, że kilka miesięcy temu zmarł na raka perkusista zespołu – Wojtek Młotecki).**

Przypadek Kosmowskiego jeśli chodzi o – nazwijmy to delikatnie – zmianę zajęcia nie jest niestety odosobniony. Wielu obiecujących muzyków w pewnym momencie odstawiło gitary do kąta i zajęło się czymś innym. Powód jest prosty – muzyk też człowiek i musi jeść, a na to potrzebne są pie-

Fot.: A. KIEŁBOWICZ

RENDEZ VOUS



MANCHESTER ?



PORNOGRAFIA Fot: E. LANDE

niądze. W pewnym momencie, gdy skończył się boom z początku lat 80., uprawianie muzyki stało się kosztownym hobby. Nie wszystkich było na nie stać.

W czym należy upatrywać przyczyn takiego stanu rzeczy? Powodów może być mnóstwo. Zostawmy może te wynikające z ogólnej sytuacji ekonomicznej kraju i jego polityki kulturalnej, a skupmy się na wewnętrznych problemach łódzkiego środowiska. Środowiska... właśnie, należy się najpierw zastanowić, czy można w ogóle mówić o środowisku muzycznym w przypadku tego miasta. Do pewnego momentu na pewno nie. Było dokładnie tak, jak we wszystkich większych miastach; istniało kilka zespołów, działała Estrada Łódzka, było kilku ludzi, którzy zajmowali się muzyką etatowo i kilku nie mogących wiele zdziałać amatorów. Jak na ponad milionowe miasto trochę mało. W tym miejscu niektórzy czytelnicy zakrzykną pewnie: *Jak to?! A „Rockowisko", jeden z największych polskich festiwali?* Owszem „Rockowisko" odbywało się w Łodzi, ale festiwal ten nie był odzwierciedleniem tego, co się działo w łódzkiej muzyce (zresztą, niewiele się działo), a jedynie „spędem gwiazd", który równie dobrze mógłby mieć miejsce we Wrocławiu lub Krakowie. To, że powstał w Łodzi to zasługa i pomysł Irka Kowalewskiego (do którego zresztą łódzkie grupy mają wiele pretensji o to, że zajmował się wszystkim, tylko nie nimi).

O powstaniu jakiegoś tam środowiska można mówić dopiero od momentu utworzenia w 1987 roku przez garstkę zapaleńców Ośrodka Działań Twórczych – filii Łódzkiego Domu Kultury. Ośrodek zajmował się wszelkiego typu działaniami artystycznymi – teatrem, plastyką, happeningiem, ale przede wszystkim muzyką. Znaleźli tam schronienie wszyscy zakręceni rockowcy, którzy chcieli robić coś ciekawego. Siłą rzeczy także pozostałe dziedziny sztuki były w ośrodku zdominowane przez rockmanów. Można chyba bez większej przesady powiedzieć, że tworzyło się tam rockową kulturę.

Niestety, ośrodek nie działał długo. Było wokół niego zbyt wiele zamieszania, zbyt wiele się tam działo, co władze zwierzchnie tak dziwiło, że postanowiły przestać to tolerować. Okazuje się, że najlepiej, gdy w tego typu placówkach nic się nie dzieje (albo dzieje się mało – np. jakiś zespół folklorystyczny lub sekcja modelarska). Wtedy jest „normalnie" – czyli „dobrze". ODT wyłamywał się z tego schematu, więc został zlikwidowany. Łodzianie uważają jednak, że nawet ten krótki okres działalności ośrodka wiele zmienił; ludzie powyłazili z nor i uaktywnili się – zaczęli szukać miejsc do grania, zaczęli również walczyć o koncerty.

W tym miejscu koniecznie trzeba wspomnieć o **NAJSZYBSZYM KOCIE ŚWIATA**. *Wiesz jaki kot jest najszybszy na świecie?* – zapytał mnie jeden z łódzkich muzyków. – *Taki, który przebiegnie przez Rumunię i nie zostanie zjedzony. A nasz Kot tam był.* Ich „Kot", czyli Zbyszek Krasinkiewicz przyjechał do Łodzi niecałe osiem lat temu. Robił wiele dziwnych rzeczy, ale od momentu rozpoczęcia pracy w ODT zajął się „na serio" muzyką rockową. W tej chwili jest menażerem właściwie prawie wszystkich miejscowych zespołów. Załatwia koncerty, sesje nagraniowe, plakaty – słowem robi wszystko co może, aby grupy te mogły funkcjonować. Inna sprawa, że może niewiele. Pracuje w łódzkim „Alma-Arcie", w związku z czym wykonawcy mogą liczyć na ograniczoną pomoc finansową (plakaty, sesje), ma dobre stosunki z kilkoma klubami (np. „Lutnia", „Lodex", „Olimp", „77") – co sprawia, że muzycy mają gdzie robić próby i występować. Ostatnio „Kot" macza palce (pazury?) przy zorganizowaniu klubu Krajowej Sceny Młodzieżowej przy Centrum Kultury Młodych. Wszystko to są jednak działania na niewielką, właściwie tylko miejscową skalę. Nieliczne nagrania radiowe dokonywane w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia również – głównie ze względu na kiepską jakość techniczną – nie są w stanie zapewnić kapelom szerszej prezentacji.

Wszystko to prawda – powie w tym miejscu sceptycznie nastawiony czytelnik – *ale czy naprawdę łódzkie zespoły warte są tej „szerszej prezentacji"?* Niektóre na pewno tak. Najwięcej nadziei budzą, moim zdaniem, dwie stosunkowo młode grupy – Blitzkrieg i Pornografia. O ile pierwszą z nich znamy z kilku znaczących festiwali, a ostatnio także z radiowej anteny, to druga pozostaje jak dotąd zupełnie nieznana.

Blitzkrieg to w tej chwili trzech ludzi, którzy nieźle opanowali technikę gry na swoich instrumentach (gitara, bas i perkusja), ale wciąż mają kompleksy wynikające z przeświadczenia, że grają muzykę zbyt prostą, zbyt pospolitą. Komplikują więc wszystko, wprowadzając połamane rytmy i pokręcone harmonie – co bynajmniej nie wychodzi utworom na dobre. Za mało jest w nich przestrzeni, melodii i lekkości. Muzycy zdradzili mi, że w nowym programie znajdzie się więcej utworów prostszych i przejrzystych. Po prostu piosenek. Miejmy nadzieję, że będą to dobre piosenki.

Druga nadzieja łódzkiego rocka – Pornografia to całkowicie nowa sprawa i moim skromnym zdaniem mająca największe szans na przebicie się do krajowej czołówki. Jest to projekt właściwie jednego tylko człowieka – nijakiego Tytusa de Ville, wielkiego fana (i – jak twierdzą złośliwi – naśladowcy) Sisters Of Mercy. W podobnym do kompozycji Eldricha, gotyckim nastroju utrzymana jest znakomita większość numerów Pornografii. Są to utwory natchnione, momentami wręcz pompatyczne, ale równocześnie bardzo przebojowe ze względu na prostą rytmikę, zgrabne riffy i wpadające w ucho melodie. Co najmniej dwa z nich mogą się stać sporymi hitami: *Kolory* – kawałek, który za pierwszym razem sprawia wrażenie typowej piosenki o miłości, potem okazuje się, że ma on drugie dno – opowiada o tym, co między dwojgiem ludzi ginie, rozpada się. Drugi – *Do prostego człowieka* – to dynamiczna kompozycja z mądrym tekstem sugerującym, czym grozi podporządkowanie się totalitarnej ideologii. Pomimo poruszenia w tekstach drażliwych często problemów Pornografia nie uważa się za bojowników jakiejś sprawy: *Nie chcemy żeby odbierano nas w ten sposób. Jesteśmy normalnymi ludźmi – lubimy chodzić po górach, pić piwo – tak jak wszyscy. Oczywiście zależy nam na pewnych sprawach, ale raczej zwracamy na coś uwagę, niż o to walczymy.*

Z innego założenia wychodzą łódzkie kapele punkowe – a jest ich niemało. Najdłużej chyba działającą jest obecnie Moskwa, która ostatnio odchodzi od czadu i powoli zmierza w stronę źródeł... o czym świadczy chociażby dołączenie do zestawu instrumentów harmonijki ustnej, a także nowy, „kowbojski" image Gumy (patrz zdjęcie). Z pozostałych warte odnotowania są grupy: The Corps i Proletaryat, które grają poprawnie, ale wciąż poruszają się w kręgu muzycznego schematu wypracowanego przez Sex Pistols. Poza ten kanon odważyła się wysunąć (na razie nieśmiało) grupa Black Currant, grająca obecnie muzykę, którą można w skrócie określić jako ostry, transowy rock'n'roll.

Dość silne, choć na razie pozostające w cieniu jest stronnictwo zwolenników i wykonawców tzw. rocka progresywnego. Najciekawsi przedstawiciele tego nurtu to instrumentalny zespół High Life (gdyby zdecydowali się na dokooptowanie jakiegoś ciekawego wokalisty, mogliby próbować szczęścia w radiu, gdyż grają bardzo dojrzałą, bogatą brzmieniowo muzykę, a co najważniejsze – potrafią ją grać) oraz bardziej popowy Red CPN, który podąża drogą wydeptaną wcześniej przez Marillion, a szczególnie tym kawałkiem drogi, na którym powstał album *Misplaced Childhood*. Obydwie grupy są już po pierwszych nagraniach radiowych, w związku z czym niedługo pewnie należy oczekiwać ich antenowego debiutu.

Interesujące, że w Łodzi gra się właściwie wszystkie gatunki muzyki. Są kapele metalowe – Charon i Imperator (na razie nieczynny dla sceny, gdyż od pół roku gra w teatrze do przedstawienia *Dracula)*, jest kilku niezłych bluesmanów (m.in. Street Blues, Blues Temper), którzy mają swoje „Czwartki Bluesowe" w klubie „Pod Siódemkami", są też zespoły grające lepszą lub gorszą muzykę pop (jak chociażby Celibat – dawniej występujący pod nazwą Klaatu, czy najbardziej znany – Rezerwat, który po wielkim sukcesie piosenki *Zaopiekuj się mną* i nieco mniejszym *Parasolek* jakoś nie może się zebrać do kupy). Zdumiewające – znając polskie realia – że muzycy wykonujący różną muzykę nie mają w stosunku do siebie żadnych uprzedzeń i utrzymują autentycznie przyjacielskie kontakty. Niewiarygodne? A jednak. Sam widziałem pijących i bawiących się razem metalowców i punków, nowofalowych odlotowców i zrównoważonych speców od klimatów à la Genesis czy Yes. Poza tym tu naprawdę nie ma problemów z pożyczeniem na koncert gitary lub bębnów od kolegi – muzyka. Aż wierzyć się nie chce...

Pisząc o łódzkiej muzyce nie można pominąć wydarzenia o nazwie Big Cyc. Nie jest to typowy zespół muzyczny, a raczej grupa artystyczna, dla której muzyka rockowa jest tylko jednym ze środków wypowiadania się w sztuce. Animatorem całego przedsięwzięcia jest Krzysztof Skiba – człowiek, który przeszczepił na brudne łódzkie ulice idee happeningów Pomarańczowej Alternatywy. Jednym z programowych haseł grupy Big Cyc jest wezwanie: *Obywatelu pomóż milicji – pobij się sam.* Skiba uwielbia zaskakiwać, działać w niekonwencjonalny spobó. W ubiegłym roku zorganizował na przykład akademię z okazji 75 rocznicy powstania damskiego biustonosza. Zaprosił mnóstwo dziennikarzy z prasy, radia i telewizji (śmieje się, że przyciągnął ich, obiecując turniej nagich biustów) i... zaserwował im koncert kapeli Big Cyc. Podobno najbardziej zdezorientowani byli żurnaliści z „Pana".

Bic Cyc to pastisz typowego estradowego kiczu. Sam lider przedstawia się jako zagorzały wróg rock'n'rolla: *Chcemy zamordować muzykę rockową... grając ją. W tym przypadku to najlepszy sposób.* Trzeba przyznać, że z tych morderczych zapędów rodzą się całkiem przyjemne kawałki – choćby takie jak ten o kapitanie Żbiku (ironicznie, w komiksowym stylu przedstawiono obraz MO), czy milości do babci klozetowej (kpina z pewnych typowych dla Polaków zachowań i sytuacji). A poza tym Big Cyc jest autentyczną, szaleńczą zabawą, przynoszącą wiele radości wykonawcom i odbiorcom. I o to przecież chodzi.

Kończąc prezentację łódzkich zespołów wypada wrócić do postawionego na początku pytania, czy Łódź jest (lub może się stać) polskim Manchesterem. Na pewno dzieje się tu wiele, może więcej niż gdzie indziej, ale należy pamiętać o tym, że mówimy o drugim co do wielkości polskim mieście. Patrząc z tej strony, osiągnięcia miejscowych kapel wyglądają marnie. Inna sprawa, że zazwyczaj nie jest to wina samych muzyków, tylko warunków jakie tu są. Pomimo istnienia w mieście największej w naszym kraju wytwórni filmowej, kilku teatrów i klubów studenckich jest to po prostu kulturalna pustynia (i nie tylko kulturalna – np. reklamowany szeroko jako szczyt luksusu Hotel Grand jet rozlatującym się rupieciem z nieuprzejmą obsługą). Jak na razie nie ma mowy o normalnym funkcjonowaniu czegoś, co zwykło się nazywać show businessem. A szkoda, gdyż taka grupa Pornografia, która przy odpowiedniej promocji mogłaby wiele osiągnąć, najprawdopodobniej pozostanie jedną z wielu nieodkrytych gwiazd. Cóż, nie ma się już nawet co dziwić takiemu stanowi rzeczy. Stał on się normalną szarą rzeczywistością.

Czy jest więc ona polskim odpowiednikiem miasta, które wydało Joy Division i The Smiths? Nie. Przynajmniej na razie.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI



W ŚRODKU „GUMA" (MOSKWA) Fot: J. PIOTROWSKI







AYA – TWÓRCY NIEPOKORNI

Jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczego coś brzmi tak, a nie inaczej, to nie szukaj jakiś muzycznych fascynacji, lecz spytaj o nasze przeżycia. Za pomocą doboru muzycznych środków przekazujemy nasze doświadczenia życiowe. AYA to nie są trzy osoby, które robią muzykę, to jest pewien ciąg myślowy. Jeśli uważnie słuchasz AYI, to ta muzyka pobudza cię do zastanowienia, zmusi do działania, do próby zmiany tego co cię otacza.

(Igor Czerniawski)

Twórczość tego zespołu, odległa od wszystkich krajowych poczynań muzycznych dała nam nieczęstą sposobność zanurzenia się poza horyzont rockowej pospolitości, w inny wymiar refleksji, myśli i wzruszeń. Ich pierwsza płyta prosta a jednocześnie wysmakowana, przesycona intelektualnym klimatem a zarazem szalenie wyrazista, gorzka i fascynująca, stała się wydarzeniem. Nowa sztuka zabrzmiała donośnie, bez kompleksów, atakując świadomość słuchaczy zupełnie nową jakością. Wkrótce jednak po tak błyskotliwym sukcesie zespół zamilkł.

Gdy po czterech latach dotarły do mnie informacje, że muzycy wchodzą do studia Tonpressu, gdzie będą rejestrować materiał na drugą płytę, postanowiłem ich odwiedzić. Spotkaliśmy się w warszawskim mieszkaniu Igora, zamienionym obecnie na studio oraz salę prób zespołu, którego lokalizacja na 21 piętrze wieżowca tzw. Ściany Wschodniej, jak sam twierdzi, nie pozostaje bez wpływu na muzykę AYI.

Głowy w ławę
a nogi w beton
skrzydła na grzbietach
białych pał
a wasze słońce zdechło
zanim ogrzało
a wasze ręce drapią
ściany ciał

wy na krawędzi ostrej
jak smak
z dawnych paranoi lepicie
TOTEM
uszy wasze pełne soli
i glin
programy dwa
WOJNA
POKÓJ
Deszcz anemiczny zamiast oczyścić
rozmazał tylko zeschnięte brudy
flagi zmoczone zawisły ponuro
białe zlepiło się z czerwonym
białe zlepiło się z czerwonym
nie dając w zamian innej barwy
i cisza
cisza
cisza
cisza
cisza
i żadnej nadziei na burzę

IGOR CZERNIAWSKI:

– W 1985 roku, wkrótce po nagraniu pierwszej płyty oraz po zaprezentowaniu jej podczas festiwalu jarocińskiego, do Stanów Zjednoczonych wyjechał nasz gitarzysta Jarek Lach. Nie osłabiło to jednak mojego zapału i już jesienią zacząłem pracę w studiu Waltera Chełstowskiego nad materiałem na drugą płytę. Niestety Paweł Kukiz miał wtedy zły okres. Nie wytrzymał napięcia jakie towarzyszyło pojawieniu się zespołu na scenie muzycznej. Nie zniósł presji sukcesu. Na szczęście wybrnął z tego sam, przez co stał się bardziej dojrzały, refleksyjny. Później razem pracowaliśmy nad tym materiałem, Paweł napisał już nawet parę tekstów. Nie byliśmy do niego jednak zbyt przekonani. Postanowiliśmy poczekać. Wtedy też wpadłem na pomysł, ażeby zorganizować pod nazwą AYA większą grupę ludzi i rozpocząć wspólną pracę. AYA to miał być symbol szczerości, uczciwości i prawdy. Symbol sztuki otwartej. Mieli w tym uczestniczyć m.in. Paweł Kukiz, Robert Gawiński, Beata Pater. Niestety plan ten upadł, okazał się utopią. Tylko z Beatą udało nam się zrobić kilka wspólnych nagrań. Na składance Tonpressu wyjdzie jeden utwór grupy Brygady Miłości, którą tworzyli Beata, Adam Romanowski, Czarek Włodarczyk i ja.

Pracowałem także jako producent nagrań. Robiłem nagrania Kosmetyków Mrs Pinki, z którymi obecnie gram, Bułgarów m.in. Czerwone Krzaki, ZIYO, RAP, Kineo RA, zgrywałem płytę Aurory. W międzyczasie robiłem ilustrację muzyczną do filmów dokumentalnych oraz fabularnego pt. *Pantarej*, nagrałem także płytę z własną muzyką, która wyjdzie w ZSRR. Powoli powstawała też nowa wersja materiału na drugą płytę. Nie do końca dobra.

Obecną płytę przygotowujemy od września 1987 roku. Współpracuje z nami nowy gitarzysta Adam Romanowski. Doskonale zrozumiał on swoje miejsce w grupie, tak więc idealnie zastępuje Jarka jako ogniwo łączące mnie z Kukizem. Wracając do płyty. Jest ona kontynuacją muzyki i myśli zawartych na płycie pierwszej. Jest jednak bardziej zróżnicowana. Strona pierwsza jest bardzo agresywna, drapieżna, wręcz atakująca. Mniej jest na niej nostalgii, muzyki nastrojowej. Jest mniej pompatyczna. Na stronie drugiej więcej jest z kolei pompatyczności, do której jednak mnie ciągnie. Jestem wychowany przecież na muzyce rosyjskiej. Cały czas są to próby, poszukiwania, nowe koncepcje. Nie mamy swoich stylistycznych wzorców, raczej odwrotnie, jak nasza muzyka zaczyna być do czegoś podobna, automatycznie ją zmieniamy. Powiedzenie czegoś nowego to nasza ambicja. Podróż w te rejony muzyczne, które są jeszcze nie zbadane. Generalnie dążymy do jak najprostszych rozwiązań pragnąc jednocześnie ażeby były nowatorskie. To bardzo trudne.

Wszyscy trzej chodzimy własnymi drogami, lecz zawsze znajdą się takie miejsca, w których te drogi się krzyżują. Nasza wspólna praca to szukanie tych punktów. Z nich powstaje określony obraz. To jest właśnie AYA RL. Chodzi nam o wyrażenie siebie samych, swoich wzruszeń i przeżyć własnym, niepowtarzalnym językiem muzycznym. Pragniemy tworzyć sztukę, którą ogrania i wyraża nasz czas, pragniemy wypowiedzi muzycznej ściśle związanej z określoną filozofią, przesłaniem. Musi być to zbiór spójnych muzyczno-literackich tematów. Przesłanie powstającej płyty zawrzeć można w jednym zdaniu z tekstu Pawła – „a wasze słońce zdechło zanim ogrzało". Jest ona robiona już z innej pozycji. Nie obserwatorów tylko ludzi z wewnątrz, dysponujących określoną siłą. Z pozycji bardziej atakującej,

Z zespołem AYA RL rozmawiał Kuba Wojewódzki

oskarżającej. Ten młodzieńczy, emocjonalny bunt przerodził się w bunt świadomy, refleksyjny. Jesteśmy świadomi przeciw czemu się buntujemy, na co się nie zgadzamy i czego chcemy.

Moje On to On
I ciężki poród Jej
To wielka sprawa – Darwinizm
Moje on
To głos donikąd
Polak Mały mordę drze
To szczytowanie i dźwięk
I dziesięć złotych za mój mocz
To jest moje on
Tak, jest, tak jest, tak jest
To właśnie mój on
A ja mam tylko chwilę...
Mój On to GRZBIET
To którym można przejść
To sojusz z władzą i seks trących się
FLAG
To bilet, dowód, wiek, Rasa, Waga, Płeć,
To mandat i pochwalny list
Moje On
A ja mam tylko chwilę...
To On to ON
I ciężki poród Jej
To lampa w oczy, zgięty grzbiet
Lub – NIE!
To zmienny wiatr
I On za pokój pójdzie
Nawet na wojnę
Lecz jeszcze trochę a wybierze lekką śmierć
Moje On
A ja mam tylko chwilę...
A ja mam tylko chwilę...

PAWEŁ KUKIZ:

– Okres po powstaniu pierwszej płyty był dla mnie czasem zdobywania nowych doświadczeń, rodzenia się nowej, dojrzalszej świadomości. Nowego, bardziej świadomego JA. Żyłem wtedy sam, absolutnie sam w szarym pustym mieszkaniu. Był to czas dla mnie trudny, ale jak się później okazało pożyteczny, czas otarcia się o inny mroczny wymiar życia. Dużo wtedy czytałem, przede wszystkim poezji, Bursa, Zajfert, Wojaczek, Brodski, z prozy Gombrowicz, Witkacy. Dużo pisałem własnych rzeczy. Później zająłem się głównie studiami. Otrzymywałem też propozycje śpiewania od różnych zespołów, odrzucałem je jednak. Nie odpowiadała mi głównie forma ich muzyki. Poza tym ja mam pewne swoje przesłanie, coś o czym chcę mówić a nie z każdą muzyką może to współgrać. Nie chciałem naginać się do koniunktury, mody czy czyichś koncepcji. Chcę być autentyczny. Muzyka jest specyficznego rodzaju komunikacją i ażeby reakcja widza, odbiorcy była pożądana komunikat musi być prawdziwy. To co piszę jest moim osobistym zwierzeniem, czymś dla mnie najdroższym i najważniejszym, czymś czym chcę podzielić się z drugim człowiekiem.

Elementem wspólnym dla obu naszych płyt, jest bunt, nonkonformizm, niezgoda na zastany świat. Właśnie to co zatraciła większość muzyków w Polsce. Pierwsza płyta powstawała z pozycji młodego człowieka, stojącego z boku i dziwiącego się dlaczego jest tak a nie inaczej. Obecnie zmieniło się nasze myślenie. Mówimy – dlaczego ma być tak jak jest, tak nie będzie. Zmieńmy to. Za wszelką cenę. Przywróćmy człowiekowi jego godność, jego wartość. Niech nie trzęsie się on na widok legitymującego milicjanta. Niech nie czuje się winnym. Niech nie występuje z pozycji zastraszonego i uległego NIC.

Wszyscy oskarżamy system jako źródło naszej niedoli i upokorzeń. Ale musimy zdać sobie sprawę, że zło tkwi w nas, że my musimy wykarczować je z własnych dusz. Ludzie boją się walczyć o lepsze życie w obawie, że stracą to co już zyskali. To tak niewiele, ale to ich cały majątek. Młodzi z kolei próbujący sprzeciwiać się rzeczywistości po kilkakrotnej kuracji „gumowej demokracji" też szybko rezygnują ze swoich idei. A chyba wszyscy mamy dość okradania nas z życia.

To wszystko znajduje odbicie w moich tekstach. I dlatego są one tak daleko od liryki, a tak mocno osadzone w rzeczywistości. Wciąż uważam, że sztuka może kształtować świadomość. Może to być wyzwaniem. W tym tkwi jej siła.

Sabotaż
to wy
zarzygane brody
Przez strach zgon
to wy
cud kopulatory
napędzane rudą krwią
to wy
odbyt moich marzeń
duma dziwek, suchy pysk
to wy
próchno zębów Boga
urynalno – zgniły ryż
demonicznie wielkie ze strachu wszy
to wy
robaczywe głowy bez szyj
mokra amunicja
uda starych bab
wyjście bezpieczeństwa
zardzewiałe postolety
wy i inni
zbawcy miast i wsi
mięso wykrwawione
zarzygane brody
cud kopulatory
odbyt moich marzeń
próchno zębów Boga

ADAM ROMANOWSKI:

Moja znajomość z Igorem sięga jeszcze naszych wspólnych studiów na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie. W piwnicy domu, który przeznaczony był do rozbiórki mieścił się Klub Polski. Tam właśnie graliśmy w grupie Tanie Wino. Po przyjeździe do kraju kontakty utrzymywaliśmy, mam nawet swój malutki wkład w pierwszą płytę AYI. W międzyczasie współpracowałem z zespołem MONO. Większy wpływ jednak na moją wrażliwość czy osobowość twórczą miały lektury, które przeczytałem, obrazy, które widziałem, rzeczy, które przeżyłem aniżeli te doświadczenia muzyczne.

Po wyjeździe Jarka do Stanów, gdy AYA zdecydowała się na wznowienie działalności zaproponowali mi współpracę. Propozycja ta pojawiła się w idealnym momencie, gdyż właśnie skończyłem studia i praktycznie byłem bezrobotny.

Gra w AYI jest dla mnie uniwersytetem muzycznym. Wiele się tu nauczyłem. Obecnie próbuję komponować wspólnie z Igorem. Często razem ćwiczymy, z czego wyłoniło się już kilka utworów (m.in. *Sabotaż*). Nie ukrywam, że na początku miałem duży kompleks tego, że muszę się sprawdzić, kompleks Jarka, który jest przecież superciekawym gitarzystą. Teraz to mija. Powoli odnajduję między sobą a instrumentem własną przestrzeń, własne dźwięki, które wnoszę w naszą muzykę. Myślę iż AYA ponownie stanowi jeden, zwarty, twórczy organizm. Jest ona pierwszym wyzwaniem w moim życiu. A tylko to się liczy, to, że musisz się po coś wspinać, a nie tylko wyciągnąć rękę.



ADAMS – kurczak i... motocykl

Co jedzą gwiazdy?

Orszaki podróżne towarzyszące znanej grupie rockowej podczas trasy koncertowej oprócz tabunu techników, menażerów i „goryli" mają też w swych szeregach 2-3-osobowe ekipy odpowiedzialne tylko za prawidłowe karmienie całego stadka. W Anglii istnieje kilkanaście firm, które przez okrągły rok są wynajmowane na dłuższe lub krótsze trasy koncertowe. Iron Maiden, Shakin' Stevens, Marillion, czy Cliff Richard, będąc na koncertach w Polsce, korzystali z własnej kuchni, w której królowały typowe angielskie steki, sosy i puddingi. Wegetarianie – ich nigdy nie brakuje na żadnej trasie – mieli swoje warzywa i owoce. Każdy pił to, na co miał ochotę, bo szef kuchni doskonale znał wymagania swoich klientów dotyczące napojów chłodzących i alkoholowych.

A co jedzą i piją gwiazdy, które dotychczas nie zdążyły wystąpić w Polsce? Ponoć zadziwiająco normalne i skromne są kulinarne wymagania członków grupy **Genesis**. Satysfakcjonuje ich typowe angielskie menu bez specjalnych życzeń lub ekstrawagancji. Mając na uwadze ich status majątkowy, takie prozaiczne podejście do kwestii podniebienia wydaje się wręcz nietaktem.

David Bowie uchodzi natomiast za smakosza i kulinarnego estetę. Jego ulubione potrawy to tzw. dary morza (seafood), japoński smakołyk o nazwie sushi **(pycha – red.)** oraz szkocki wędzony łosoś. Ponoć David pije tylko szampana lub Stoliczną. Dla odmiany **Terence Trent D'Arby** nie dotknie mięsa, ryby czy produktów mlecznych. Jest vegą i podstawą jego jadłospisu są rośliny strączkowe i świeże warzywa. Na trasie zawsze towarzyszy mu dietetyk dbający o kaloryczność posiłków i odpowiednią ilość witamin.

Zwolennikiem diety makrobiotycznej jest będący w Polsce „na chwilę" **Howard Jones.** Jego menu przypomina zestaw D'Arby'ego, choć Howard lubi także brązowy ryż i specjalny rodzaj masła ghee. Z kolei legendarny **Gary Glitter** to typowy wegetarianin. Pewnym novum w jego diecie jest ostatnio... brak alkoholu, który zastąpiła słynna woda Perrier.

Lemmy, lider grupy Motorhead, preferuje, jeśli chodzi o napoje, niebieskiego Smirnoffa, co idzie w parze z jego wysokoprocentowym image. To, że lubi ser Brie i krakersy to zapewne spora niespodzianka nie tylko dla jego fanów. Kiełbasa, hamburgery, jajka i fasola, czyli dieta jaką zwykło się „tam" określać mianem junk food (śmiecie) stanowi podstawę egzystencji grupy **The Jesus And Mary Chain.** Jak łatwo się domyśleć taki gust mocno podcina skrzydła ich szefowi kuchni.

Typowo amerykański burger uchodzi też za przysmak perkusisty ZZ Top **Franka Bearda.** Dla kontrastu, gitarzysta **Billy Gibbons** ceni sobie potrawy kuchni chińskiej. Co je **Dusty Hill** – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że „biedny" jest **Bryan Adams.** Z powodu alergii na okrągło musi jeść kurczaki. By poprawić mu humor wystarczy ponoć tylko postawić obok garderoby szybki, duży motocykl. Bryan jest wtedy w siódmym niebie.

I na koniec dwa zespoły z nieco dziwnymi upodobaniami. **The Beastie Boys** wymagają, by oprócz jedzenia i picia (5 skrzynek piwa Budweiser dziennie) na stole leżało zawsze... 10 kolorowych prezerwatyw! Mało tego, muszą być gustownie ułożone! O palmę pierwszeństwa w ilości i jakości spirytualiów może zaś ubiegać się grupa **Public Image.** Oto lista „dóbr", jakie zawsze musiały być w garderobie – 24 puszki piwa Red Stripe i tyle samo Castelmaine XXXX, 3 butelki białego, wytrawnego wina, 3 butelki czerwonego wina, butelka Stolicznej, butelka Remy Martin, butelka Moet Et Chandon (szampan), 20 butelek wody mineralnej i do wyboru napoje chłodzące oraz soki.

Może po opublikowaniu tej listy w barku „Rocky", obok naszego biura, prośba o colę, napój jabłkowy lub herbatę przestanie wywoływać zdziwienie.

opr. romo



LEMMY – Brie i Smirnoff

GALIMATIAS



Kiedyś wszystko było jasne. Muzyka rockowa miała czołówkę, złożoną z kilkudziesięciu zespołów. Miała też swe grono żywych klasyków.

Lata osiemdziesiąte okazały się latami zamętu i rozdrobnienia rockowego artyzmu. Imponująca ilość nowych karier estradowych nie przeszła w nową jakość. Może zresztą rock nie potrzebuje już własnej konstelacji gwiazd i prawdziwych odkryć muzycznych...

Teraz każdy z rockowych stylów ma swą „pierwszą ligę" i to niezbyt oddaloną od „drugiej". Na dodatek – tylko heavy metal i punk naprawdę zachowują odrębność, zaś granica między muzyką rockową a pop--music często jest bardzo niewyraźna. Zamazały ją new romantic, techno-pop i inne dziwolągi.

Jak zaklasyfikować Dead Can Dance czy Eurythmics? Albo to, co proponuje Sting; to, co śpiewa Enya?

Ktoś może powiedzieć: nieważne etykietki, liczy się muzyka. Rzeczywiście. Ale też przyjemnie wiedzieć, czego się słucha. Z czym można to porównać.

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

BRUDNY TANIEC - CZYSTY INTERES

Działo się to latem 1963, kiedy wszyscy nazywali mnie Baby. Działo się przedtem zanim zginął prezydent Kennedy, zanim pojawili się Beatlesi. Tak rozpoczyna swoją opowieść bohaterka filmu *Dirty Dancing*, nieopierzona maturzystka, córka zamożnego lekarza. Fabułka jest prosta: podczas rodzinnych wczasów Baby (Jennifer Grey-aktorka, tancerka, córka znanego choćby z filmu *Kabaret* Joela Greya) poznaje Johnny'ego (gra go Patrick Swayze, także z aktorskiej rodziny, zasłynął jedną z głównych ról w superserialu *Północ-Południe)*, tancerza i instruktora tańca. Splot wydarzeń sprawia, że Baby w ciągu paru dni musi nauczyć się tańczyć i wziąć udział w publicznym pokazie. Oczywiście taniec łączy młodych, zaś narodzone uczucie pokonuje wszelkie przeszkody i zwycięża.

A jednak nie fabuła, ani nawet nie sprawność tancerzy sprawiły, że film stał się hitem. Obraz owszem wzrusza, ale przede wszystkim szokuje, zaskakuje i zadziwia.

Oto wczasowy wieczór zapoznawczy. W salonach eleganckie stroje i maniery, dyskretna swingowa muzyka. Baby wymyka się jednak stamtąd i trafia do zabudowań, w których mieszka młoda załoga hotelu. W ciągu chwili przenosi się do innego świata. W obszar, w którym trwa porażające pandemonium tańca. Seks, zmysłowość, erotyzm tego miejsca szokuje także widza. To jednak świadomy zabieg reżysera, pierwsze spotkanie z dirty dancing – wyzywającym, plugawym tańcem. Szok pogłębiony jest przez muzykę. Otis Redding, The Drifters, Salomon Burke – tych wykonawców nie słuchały w tamtym czasie panienki z dobrych domów, zapatrzone raczej na Paula Ankę, Sedakę, Fabiana. Tu jednak ta czarna muzyka wyraźnie „gra", potęguje wrażenie, podnosi temperaturę obrazu. Jasnym staje się, że to zainteresowanie progresywnej młodzieży musiało eksplodować epoką beatlesowską.

Do tej pory widz przyzwyczajony był do filmów z kręgu disco. Bohaterowie *Stayin' Alive* czy *Flashdance* tańczyli niezwykle efektownie, ale w pojedynkę. I oto zaskoczenie: ile piękna, ile przyjemności może dać taniec z partnerem. A przy tym, jakież to proste. Pomysłowo zrealizowane sekwencje, w których Johnny uczy Baby tańczyć, są w istocie przekazaną z ekranu lekcją tańca. Podobno twórcy filmu świadomie zmienili historię (w tamtych latach tańczyło się raczej twista i surfa, mambo to moda lat pięćdziesiątych) i wybrali mambo, bo to najłatwiejszy z tańców latynoskich. W każdym razie, owo zaskoczenie, odkrycie nowych możliwości spowodowało, że mambo stało się szlagierem tanecznym ostatnich miesięcy, powodując lawinę nagrań, powstawanie licznych szkół tańca, konkursów i w ogóle całego przemysłu mamba.

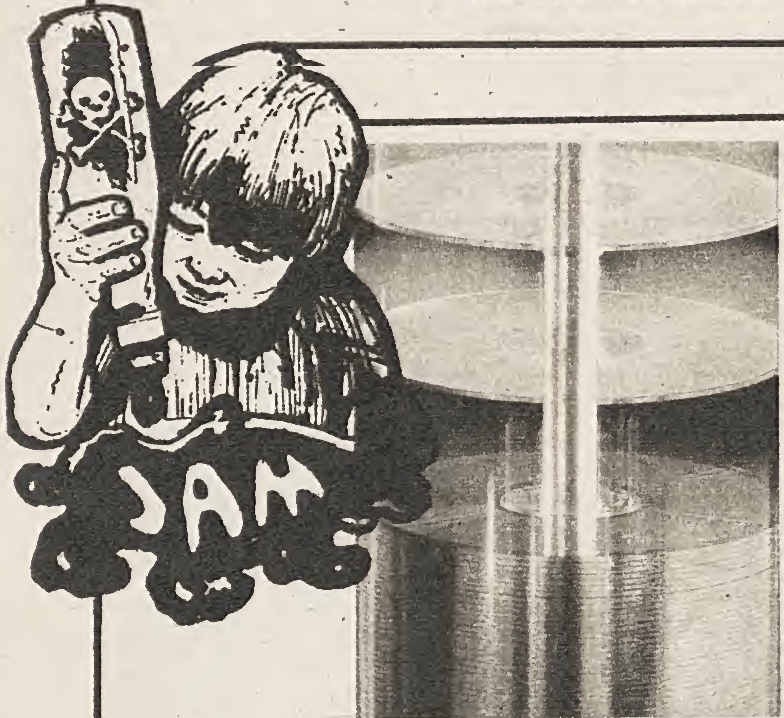
Przez dość proste zabiegi realizacyjne osiągnięto nieoczekiwany efekt. Przede wszystkim muzyka. Praktycznie nie milknie spełniając wszakże różne funkcje. Od dyskretnego tła, poprzez równoważnik obrazu, na roli wiodącej (finał!) kończąc. Twórca oprawy muzycznej Jimmy lenner, oprócz ewidentych hitów przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych *(Big Girls Don't Cry*-Frankie Valli. *Hey Baby*-Bruce Channel, *Be My Baby*-The Ronettes), wybrał także utwory mniej znane *(Cry To Me*-Salomon Burke, *Love Man*-Otis Redding), ale przede wszystkim zamówił utwory współczesne, które jednak łączą nowoczesne brzmienie z tradycją. Tak jest w wypadku świetnej piosenki Erica Carmena *Hungry Eyes*, czy niby-soulowego utworu *Overload*-Zappacosty. Osobną grupę tworzą utwory w rytmie mambo. Wydaje się, że twórcy filmu nie spodziewali się, że taniec ten stanie się tak popularny. Dowodzi tego soundtrack wydany w 1987 roku. Nie ma na nim żadnego utworu mambo. Kiedy więc świat został ogarnięty „mambomanią", wydano niejako suplement w postaci płyty *More Dirty Dancing*, na którym umieszczono pozostałe utwory z filmu, wśród nich *Johnny's Mambo* i *De Todo Un Poco*, wzorcowy utwór gatunku.

ADAM HALBER

Dirty Dancing (polski tytuł *Wirujący Seks* (sic!) – Vestron Pictures 1987, reż. Emile Ardolino, choreografia Kenny Ortega, konsultacja muzyczna Jimmy lenner, w rolach głównych Patrick Swayze, Jennifer Grey, Cynthia Rhodes, nakręcono według opowiadania Eleanor Bergstein.

PS. Dziękuję firmie JVB za udostępnienie kasety wideo i CDs.





ROZSĄDEK

Płyta kompaktowa pojawiła się na zachodnim rynku mniej więcej sześć lat temu. W zeszłym roku w niektórych krajach właściwie już wyparła tradycyjny longplay. W Japonii – producującej pod tym względem – blisko 90% sprzedanych płyt stanowiły kompakty.

Fakty te najwyraźniej nie robią wrażenia na szefach krajowych firm fonograficznych. Jak wynika z prasowych wypowiedzi – polski compact-disc to dla nich sprawa przyszłości. I to odległej. Uważają, że jeszcze długo produkcja takich płyt nie będzie u nas opłacalna; że kompakt pozostanie dźwiękowym luksusem dla elity melomanów.

Sprzedajemy więc zachodnim wytwórcom kompaktów taśmy z polską muzyką. Nie jest to chyba aż tak dobry interes, skoro skrzętni Czesi, po okresie tego rodzaju praktyk, zdecydowali się na postawienie własnej fabryki srebrzystych płyt (i już ją mają). Wkrótce do grona producentów płyt kompaktowych dołączy Związek Radziecki.

Oby nie sprawdziło się przysłowie o mądrym Polaku...

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

VERITON dla ROCKA

Rozmowa z WOJCIECHEM KWAPISZEM kierownikiem VERITONU

– Źle Ci było w Poljazzie?

– *Bardzo dobrze tyle, że w ramach odchudzania biurokracji zarząd PSJ podjął decyzję, że w Poljazzie nie potrzeba aż dwóch dyrektorów.*

– Skorzystał z tego Veriton i zaproponował Ci prace?

– *O, to nie było tak. Mając konkretne plany repertuarowe oraz nie zaspokojone ambicje, sam zwróciłem się do dyrekcji INCO* (to w skład tego koncernu wchodzi Veriton – przyp. red.) *z pomysłem utworzenia redakcji muzyki rozrywkowej i rockowej przy Veritonie. Moja propozycja widać była na tyle interesująca a rekomendacje na tyle dobre, że w efekcie powierzono mi kierowanie całym Veritonem.*

– I teraz być może powtórzy się sytuacja z Poljazzu. Veriton miał wysokie notowania jako wydawca muzyki poważnej, jej wielbiciele mogą mieć Ci za złe zmianę profilu.

– *Nie będzie żadnej zmiany profilu. Muzyki poważnej i sakralnej będzie nawet więcej niż do tej pory. Zwiększy się ilość wydawanych przez Veriton płyt. Z 200 tysięcy w roku ubiegłym do 400 a może nawet 500 tysięcy w tym roku.*

– Poprzedni dyrektor Veritonu był jednak wybitnym specjalistą od muzyki poważnej, jak teraz ty, człowiek show businessu dasz sobie z tym radę?

– *Muzyka poważna nie jest mi obca, w Poljazzie także ją wydawałem. A poza tym wezmę dobrego doradcę.*

– Czy jeśli chodzi o rozrywkę, też ktoś ci doradza?

– *Tu decyzje podejmuję jednoosobowo, konsultując je z Iwoną Thierry, która przeszła ze mną z Poljazzu. Zresztą nasza dwójka i pani spełniająca funkcje administracyjne to cała obsada Veritonu.*

– Pierwsza twoja propozycja repertuarowa zapowiada się dosyć sensacyjnie, bowiem udało ci się namówić na nagranie artystę, który przez dziesięć ostatnich lat nie wydał żadnej płyty. Czy znana tylko z opowiadań i fragmentów *Terra Deflorata* Czesława Niemena naprawdę ukaże się w Veritonie?

– *Sprawa nie jest aż tak sensacyjna. Po prostu zadzwoniłem do artysty, którego znam dobrze jeszcze z czasów, gdy Czesław współpracował z PSJ i zaproponowałem wydanie płyty. On także uznał, że czas wreszcie przerwać milczenie i na dziś sprawa wygląda tak, że teksty wróciły z cenzury, okładka, którą zaprojektował sam Niemen, została złożona, trzeba tylko nagrać brakujące fragmenty i skierować płytę do produkcji.*

– Więc całość nie jest jeszcze skończona? Sprzedałeś skórę na niedźwiedziu?

– *Istotnie materiał jeszcze nie jest skończony, ale ryzyko wydaje się żadne. Czesław Niemen to dużej klasy artysta i jeśli zdecydował się już wydać płytę, to wywiąże się ze zobowiązań. W każdym razie zainteresowanie jest spore i myślę, że „Terra Deflorata" zdobędzie tytuł „Złotej Płyty".*

– Wygląda więc na to, że Niemen zajmie czwartą część rocznej produkcji Veritonu.

– *Trudno, jeśli będzie to opłacalne, to dlaczego nie?*

– Jesteś więc zwolennikiem wydawania mniejszej ilości tytułów, ale nasycenia nimi rynku?

– *Tak – przecież to opłacalne wydawać mniej tytułów w większych nakładach.*

– Tylko jak wyważyć proporcje między komercją a niskodochodową produkcją nazwijmy ją „artystyczną"?

– *Sprawa jest prosta, komercyjny repertuar powinien pokryć straty i zapewnić spodziewany zysk wytwórni. Zresztą wydawnictwa komercyjne wcale nie muszą schlebiać najgorszym gustom i być „pod publiczkę".*

– Skoro nie zamierzasz schlebiać tanim gustom, jakie są najbliższe propozycje wydawnicze?

– *Namówiłem Józefa Skrzaka do nagrania muzyki organowej. Wydamy płytę Dżemu, solowe płyty Darka Duszy i Marka Surzyna, debiutancki album zespołu Non Iron, dawno nie słyszaną Grupę Pod Budą, no i szlagier sezonu „Letnią Zadymę". Wygląda na to, że wyjdą z tej imprezy dwa albumy.*

– Przy dużej konkurencji wśród wytwórni płytowych udało ci się skompletować atrakcyjny repertuar. Co masz do zaoferowania wykonawcom, którzy podpisują z tobą umowy?

– *Mała firma to szybkość i elastyczność działania, tak więc oferujemy dość krótkie terminy wydania płyty i jeśli artysta czy zespół przyniesie nam nagraną na własny koszt taśmę, także tantiemy wykonawcze.*

– Przez skromność nie dodajesz, że nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż jesteś osobą znaną w branży. Co więc były impresario Agencji Koncertowej PSj, menażer Lady Pank i Ex Dance, dyrektor Jazz Jamboree'88 będzie najchętniej wydawał w swoim nowym miejscu pracy?

– *To, co przyniesie zysk (w pierwszej kolejności) i zaszczyt (na drugim miejscu) firmie, choć z całą pewnością kierować się będę także własnym sentymentem i gustami. Nie ukrywam, że będę na przykład stronił od metalu, choć w wypadku Non Iron sentyment do Tomka Dziubińskiego przeważył nad niechęcią do gatunku uprawianego przez ten zespół.*

– Czy masz receptę na ożywienie polskiego rynku fonograficznego?

– *W Polsce jest kogo nagrywać i na czym nagrywać. Wąskim gardłem jest przemysł. Monopol usług galwanicznych Polskich Nagrań, zła jakość masy, przestarzała technologia płyt analogowych (zmuszająca nas do korzystania z acetatów, które są produkowane już tylko przez dwie firmy na świecie; ze względu na wysokie ceny skupujemy zleżałe, nie wykorzystane acetaty z zachodnich firm, które przestawiły się już na CD), to wszystko sprawia, że płyty są niskiej jakości, opóźnienia w produkcji duże, a nakłady małe. Nieprawdą jest, że ludzie nie chcą płyt kupować. To handel nie umie płyt sprzedawać, a my, wytwórcy, promować. Za darmo daję receptę przedsiębiorczym na szybkie i przyjemne wzbogacenie się. Wystarczy odkupić stary autobus, czy nawet ciężarówkę, wywalić siedzenia zainstalować półki, te zapełnić płytami i „w Polskę". Zarobek duży, bo u nas sprzedawca ma na płycie największy zysk. Większy od zysku twórców nagrania i producenta. Naprawdę! Ja też uważam, że małe jest piękne.*

ADAM HALBER



ADRESAT NIEZNANY

Po dwuletniej przerwie, Cocteau Twins przypomnieli o sobie zaskakująco udaną płytą *Blue Bell Knoll*. Zaskakująco, bowiem pesymiści spisali ten zespół na straty po ukazaniu się *Victorialand* w 1986 roku.

I tym razem Cocteau Twins oparli się pokusie podporządkowania się regułom gry, obowiązującym w show businessie. Nie było żadnej wielkiej kampanii reklamowej, koncertów promocyjnych, ani wystawnych konferencji prasowych z darmowymi drinkami. Kilka wywiadów w pismach branżowych, w których trudno znaleźć choćby cień mizdrzenia się do publiczności czy zwyczajowego pozerstwa – to wszystko. Oto fragmenty wypowiedzi całej trójki zamieszczone na łamach magazynu „Off Beat":

Robin: *Pracowaliśmy naprawdę bardzo ciężko. Nagrywaliśmy płytę, urządzaliśmy własne studio, pochłanialiśmy mnóstwo lodów i leżeliśmy całymi dniami w łóżku. A tak poważnie – nie występowaliśmy i nie robiliśmy niczego w tym rodzaju, ponieważ mieliśmy inne zajęcia.*

Simon: *Życie to coś więcej niż udawanie gwiazdy pop.*

Robin: *Lubimy grać, ale do tego trzeba mieć odpowiedni nastrój. Musi to nam sprawiać przyjemność i sprawia – jeżeli nie decydujemy o tym zbyt pochopnie. Może zabrzmi to idealistycznie, ale staramy się być wobec siebie uczciwi.*

Simon: *Sami stworzyliśmy taką sytuację. Jeżeli nie dasz wyraźnie do zrozumienia o co ci chodzi, pewnego dnia spostrzeżesz, iż jesteś zmuszony do robienia różnych niemiłych ci rzeczy.*

Liz: *To nie znaczy, że siadamy przy stole i wszystko wspólnie omawiamy. Czujemy po prostu tak samo i wiemy czego chcemy. To jedyny sposób, by być dumnymi z efektów naszej pracy.*

Robin: *Byliśmy dumni z każdej nowej płyty – w swoim czasie. Teraz naprawdę podoba nam się ta ostatnia, ale za dwa lata będziemy jej nienawidzić. Upływa jakiś czas i myślisz sobie: „O, cholera! Wszystkie nasze płyty to wielkie gówno!".*

Liz: *Dlatego właśnie nagrywamy następne...*

Robin: *Nigdy nie słuchamy naszych dawnych płyt. Jest kilka utworów, które miło wspominam, lecz kiedy je puszczam, okazuje się, że przetrwały one w mojej pamięci lepiej niż na winylu.*

Liz: *Byłoby fajnie, gdyby ludzie zapomnieli o naszych starych albumach i nie porównywali do nich „Blue Bell Knoll". Traktujcie go jako coś zupełnie osobnego, bo tym jest w istocie. Problem w tym, iż nigdy nie można przewidzieć, jak płyta zostanie przyjęta. Oczywiście, chcielibyśmy aby ludziom się podobała, ale sami nie wiemy, kto kupuje nasze nagrania. Naprawdę nie mamy o tym pojęcia.* **(jr)**

Cocteau Twins



SANDIE SHAW
Hello Angel
Rough Trade

W sztuce tak ulotnej i kapryśnej jak muzyka pop, wypadnięcie z obiegu wydaje się sprawą najłatwiejszą. Nieporównanie trudniej jest wrócić – najczęściej to się nie udaje. W połowie lat 60. Sandie Shaw była jedną z najbardziej popularnych angielskich piosenkarek – każda jej płyta natychmiast lokowała się na wysokich miejscach list bestsellerów, bodaj w 1966 roku zwyciężyła ona w konkursie Eurowizji, wykonując *Puppet On A String*. Później jej gwiazda nagle zgasła. Być może w Anglii występowała w różnych rewiach, variétés i telewizyjnych programach rozrywkowych, na kontynencie wszakże o niej zapomniano.

Kiedy w listopadzie ubiegłego roku dotarł do mnie album *Hello Angel*, przekonany byłem, że jest to składanka starych przebojów. A jednak nie. Sandie Shaw nie poddaje się. Płyta przynosi zupełnie nowy materiał: 11 nadzwyczaj zróżnicowanych piosenek wysokiej próby, wykonanych z wielką klasą i smakiem – brzmiących nowocześniej, ciekawiej i dojrzalej niż tak modne dziś i popularne produkcje anemicznych laleczek z serii Tiffany, Vanessa Paradis, Kylie Minogue...

Neil Tennant z Pet Shop Boys przypomniał o istnieniu Dusty Springfield, śpiewając z nią *What Have I Done To Deserve This?*; w powrocie Sandie Shaw sporą rolę odegrał Morrissey. Nad nagraniem większości piosenek z *Hello Angel* czuwał jego nadworny producent i bliski współpracownik, Stephen Street – ich autorstwa jest dynamiczny, bogato zaaranżowany (sekcja dęta, chórki) utwór *Please Help The Cause Against The Loneliness*. Co więcej, piosenkarka sięgnęła po pierwszy przebój The Smiths, *Hand In Glove*, i wykonała go z brawurą nasuwającą chwilami skojarzenia z Siouxsie Sioux.

Niespodzianek jest więcej. Dramatyczny, utrzymany w średnim tempie *A Girl Called Johnny* o silnie wyeksponowanej warstwie rytmicznej (dublowanie perkusji przez fortepian) skomponował Mike Scott z The Waterboys i nawiązuje on do stylistyki dawnych płyt Patti Smith Group; *Cool About You* – piosenkę, której ćwierć wieku temu nie zawahałby się nagrać żaden spectorowski chórek dziewczęcy – podpisali bracia Reid z The Jesus And Mary Chain; klimat *I Will Remain* przeniesiony został wprost z tradycji francuskiej piosenki artystycznej z przełomu lat 50. i 60.; w klasycyzującym *Strange Bedfellows* Shaw śpiewa w kontrapunkcie z gitarą; w *Take Him* znaleźć można echa latynoskich tańców; witalny *Nothing Less Than Brilliant* jest bezpretensjonalnym utworem pop o doskonałych proporcjach, w instrumetalnych przejściach z harmonijką ustną nawiązującym do twórczości Boba Dylana z 1965 roku (np. *I Want You*).

Na przekór moim początkowym uprzedzeniom, *Hello Angel* okazał się płytą udaną i ze spokojnym sumieniem mogę ją polecić wszystkim miłośnikom nowoczesnej muzyki rozrywkowej. Dla tych młodych będzie ona dobrą lekcją o klasie wykonawców z lat 60., dla starszych – nieoczekiwaną, miłą wizytą u dawno nie widzianej przyjaciółki. Nie jest to mój rodzaj muzyki, ale... **8**

JERZY A. RZEWUSKI



EDIE BRICKELL AND NEW BOHEMIANS
Shooting Rubberbands At The Stars
Geffen

Śpiewające kobiety coraz śmielej wkraczają na muzyczną arenę końca lat 80. W minionym roku obecność ich zaznaczyła się wyraźnie. Dotyczy to zarówno powrotów na estradę – Patti Smith, Siouxsie Sioux, jak również debiutantek – Sinhead O'Connor, Tracy Chapman, Tanity Tikaram oraz Edie Brickell.

Edie, wbrew męskiemu imieniu, jest dziewczyną o przeciętnej, aczkolwiek interesującej urodzie, ironicznym spojrzeniu i bezpośrednim uśmiechu. Takie też są piosenki zawarte na jej pierwszym albumie *Shooting Rubberbands At The Stars*, z zespołem New Bohemians. Na CD zawartych zostało 12 utworów (tylko 11 zostało opisanych – kokieteria czy niedbalstwo?), do których Edie napisała słowa, a do sześciu z nich również muzykę wraz z New Bohemians.

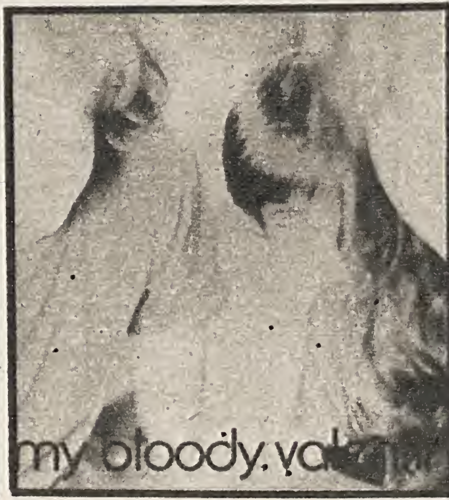
Jej piosenki można chyba najtrafniej porównać z samą ich wykonawczynią. Są przeciętne, ale przyciągają słuchającego swą bezpośredniością, często ironią spojrzenia, ciekawym tekstem. Całość utrzymana jest w podobnym, refleksyjnym nastroju, choć nie brak na tej płycie dynamicznych utworów.

Wszystkie piosenki są o miłości, a raczej o związku dwojga ludzi. Są to zapisy czasem jakby z pamiętnika, np. krótki aczkolwiek bardzo dynamiczny utorek *Keep Coming Back*, innym razem jest to monolog do drugiej osoby jak w utworze *Nothing*. W piosenkach Edie jest mowa o miłości, ale o tej zwykłej, codziennej. Czasami o niezrozumieniu dwojga partnerów w życiu codziennym, o potrzebie dyskusji z drugą osobą, kiedy indziej znów o niespełnionych marzeniach, nadziejach tak, jak w piosence *Beat The Time*. Utwory na tę płytę powstawały w ciągu trzech lat, między 1985 a 1988 rokiem. Może to świadczyć o tym, że Edie nie mogła zdecydować się, aby nagrać płytę lub o tym, że chciała zrobić to bardzo starannie.

Z głosem u niej nie jest niestety najlepiej. Jest trochę podobny w brzmieniu i sposobie interpretacji do głosu Susan Vega, jak gdyby troszeczkę „zadumany" choć nie tak miękki i aksamitny, i, niestety, nie na tyle oryginalny, aby go na dłużej zapamiętać. Jest bardziej „chropawy", ale bez chrypki à la Rod Stewart. Muzycy z New Bohemians grają poprawnie, nie silą się na zbędne popisy solowe, co samemu zespołowi i słuchaczom wychodzi na dobre.

23-letnia Edie z Teksasu wypłynęła na fali powtórnego zainteresowania na całym świecie, a także w Polsce, muzyką folk i zmęczenia elektroniczną sieczką. Niestety, nie przypuszczam, aby jej popularność trwała długo. Nie ma ona jeszcze (albo w ogóle) do powiedzenia nic, co by nie zostało już powiedziane. Mnie ta płyta podoba się, można jej słuchać o każdej porze dnia i nocy, czasem nawet zatrzymać się na dłużej przy jakimś utworze, ale nie jest to muzyczne wydarzenie. **6** chwilami **5**.

LESZEK BANASZAK



MY BLOODY VALENTINE
Isn't Anything
Creation

Gdy słuchamy muzyki z płyt, wyobraźnia mimowolnie podsuwa nam fikcyjne wizerunki ludzi, którzy się za nią kryją (naturalnie, dotyczy to głównie pokolenia fanów sprzed epoki wideoclipu i MTV). A więc, jedni tryskają energią, mają roziskrzone oczy i dziki wyraz twarzy; drudzy przypominają grzecznych chłopców z ekskluzywnego liceum; jeszcze inni kojarzą się z gangiem uliczników, skorych tak do rozróby, jak i żartów.

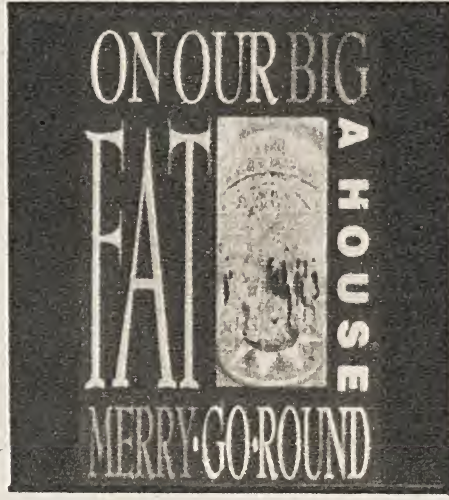
My Bloody Valentine, męsko-damski (pół na pół) kwartet z Dublina, sprawia wrażenie kogoś, kto nagle ocknął się z głębokiego snu. Rozczochrany, jeszcze nie całkiem rozbudzony, zlęknacka otoczony przeraźliwym łoskotem; ten ktoś stara się z kołaczących się wciąż w głowie strzępów marzeń sennych i bardziej realnych wspomnień zbudować jakąś własną rzeczywistość. Prywatne niebo, które tylko jeden mały krok dzieli od piekła.

Piosenki o ładnych, miejscami wręcz landrynkowych melodiach, zderzone ze ścianą gitarowego „hałasu"... Skąd my to znamy? Oczywiście, z płyty *Psychocandy* grupy The Jesus And Mary Chain. Ale to tylko analogia – powierzchowna próba stylistycznej identyfikacji. W muzyce My Bloody Valentine więcej jest ciepła niż cynizmu à la TJAMC, bogatszy zdaje się być też arsenał gitarowych efektów. Co więcej, oba zespoły czerpią z zupełnie różnych źródeł, choć wypływających z dokładnie tego samego punktu w czasie, tzn. z lat 60.

Na jednym biegunie wpływów czwórki Irlandczyków można postawić psychodelicznych Beatlesów, Syda Barretta i Kinksów (całą zresztą ową szkołę śpiewania rozleniwionego, jakby od niechcenia), na drugim zaś – MC5, The Stooges, The Who i innych protoplastów „kontrolowanego chaosu i hałasu". W przeciwieństwie do wiernych klasycznej strukturze piosenek TJAMC, utwory My Bloody Valentine składają się na bardziej urozmaicony repertuar w obrębie jednej płyty – od prawie akustycznej ballady *Lose My Breath* po quasi-heavymetalowe *(When You Wake) You're Still In A Dream* i *Feed Me With Your Kiss*, nierzadko też posiadają one bardziej zróżnicowaną konstrukcję, uzyskaną przez zmiany „dekoracji", czyli barw i klimatu gitarowego tła: np. kontrast między tematem a refrenem w *Soft As Snow (But Warm Inside)*, kulminacja *Cupid Come*, riffowe łączniki à la wcześni Kinks lub The Troggs, brutalnie rozcinające zwrotki słodkiej, nieomal „beatlesowskiej" piosenki *Nothing Much To Lose*.

Przypadek My Bloody Valentine dowodzi, iż ze zwykłej gitary i najbardziej podstawowych zabiegów (sprzężenie, zniekształcenie, reverb, „dziwne" dźwięki) można wycisnąć bogatsze i ciekawsze efekty niż z różnych elektronicznych zabawek. Przypominając, iż pierwszą płytę (minialbum) nagrał w Berlinie Zachodnim już w 1984 roku, zespół utrzymuje, że to właśnie oni – nie zaś The Jesus And Mary Chain – byli pierwsi na tym polu. Tak naprawdę jednak, dopiero drugi, właściwy album, *Isn't Anything* – poprzedzony imponującą serią maksisingli – pozwolił mu nawiązać kontakt z szerszą publicznością. A w 1988 roku jego rywale-przyjaciele TJAMC byli już instytucją. Czy to jest zresztą aż takie ważne? (Gdzieś pomiędzy **8** a **9**).

JERZY A. RZEWUSKI



A HOUSE
On Our Big Fat Merry-Go--Round
Blanco Y Negro/WEA

Oto kolejny przedstawiciel sporej – jak się okazuje – irlandzkiej rockowej rodziny, który wyrusza na podbój świata. Po sukcesie Sinead O'Connor, The Hothouse Flowers i Enyi, czterej Irlandczycy tworzący A House mają nadzieję, że ich debiutancki LP otworzy im drzwi do sławy.

Mimo iż *On Our Big Fat Marry-Go--Round* to pierwsza duża płyta grupy, nie mamy tu do czynienia z nowicjuszami. Zaczęli 4 lata temu, wiosną'85, w Dublinie. Szybko zyskali lokalną popularność, a konsekwencją tego było wspólne tournée z The Waterboys w 1986 r. Potem wydawało się, że wszystko potoczy się tradycyjnym torem i to dość szybko – kontrakt, płyty, koncerty... Ale nie. Mimo dwóch niezłych singli oraz kontraktu z Rough Trade, nie mogli przebić się nawet w świecie „niezależnych". Dopiero tournée z Edwynem Collinsem i przejście w szeregi Blanco Y Negro dało początek nowemu etapowi w ich karierze.

Debiut A House to zestaw nieco-ponad-dwuminutowych utworów, zagranych z dużym entuzjazmem i wyjątkowym luzem. Grupa nie sili się na wydumane „mini-arcydzieła", zachwycające ponoć słuchacza wirtuozerią wykonawczą i bogactwem brzmień. Nie, to nie A House. Oni grają krótko i prosto, ale na swój sposób oryginalnie, ciekawie. Będąc częścią gitarowego nurtu, który już parę lat temu ogarnął Wielką Brytanię, są dziś kontynuatorami tradycji Echo And The Bunnymen i The Smiths. To słychać i to cieszy. Możliwość posłuchania rzeczy prostych i jednocześnie dość świeżo brzmiących zawsze raduje steranie ośrodki słuchowe człowieka. A chwila wytchnienia, którą A House zapewniają, zawsze jest przecież potrzebna.

Fakt, iż zespół pochodzi z Irlandii, nie jest jednak wyczuwalny. Właściwie ma on więcej wspólnego z grupami angielskimi, czy nawet amerykańskimi, niż ze sporym legionem pobratymców. Jedynie teksty, zahaczające nieraz o sprawy polityki, mogą sugerować, skąd pochodzą. Jednym z atutów A House jest zwięzłość i prostota wypowiedzi muzycznych. Może dzięki temu unikają popadnięcia w banał i ciężko strawny schematyzm. *On Our Big Fat Merry-Go-Round* od początku do końca tętni dość rzadko spotykaną witalnością i rozmaitością. Pierwsza strona to potencjalnie przebój za przebojem, a zwłaszcza *Call Me Blue, I Want To Kill Something* czy *I'll Always Be Grateful*. Część druga jest jakby spokojniejsza, ale i tu nie możemy narzekać na brak przyjemnych melodii, prostego grania i miłego nastroju.

Nie wiem, czy ten udany debiut otworzy A House drzwi do sławy. Osobiście jednak nie miałbym nic przeciw temu. **(9)**

TOMASZ SŁOŃ

PUNKTACJA

1 – dno	6 – niezła
2 – okropna	7 – dobra
3 – zła	8 – bardzo dobra
4 – słaba	9 – znakomita
5 – przeciętna	10 – rewelacja





RUSH
A Show Of Hands
Polygram

W dyskografii Rush płyty koncertowe mają specjalne znaczenie, stanowią bowiem podsumowanie pewnego okresu działalności i są zapowiedzią zmian muzycznego image. Tak było w przypadku *All The World's A Stage*, kończącej pierwszy, „najcięższy" okres stylistycznych wędrówek. *Exit... Stage Left* to pożegnanie z długimi, epickimi utworami. Trzeci etap to: *Signals, Grace Under Pressure, Power Windows* oraz *Hold Your Fire*. Muzyka z tych właśnie płyt jest treścią tej najnowszej. Materiał został nagrany głównie podczas *Hold Your Fire Tour* w 1988 r., jedynie dwa nagrania pochodzą z poprzedniej trasy.

LP jest udany pod każdym względem. Doskonale nagrany, zmiksowany, oddaje, na ile to możliwe na płycie, atmosferę koncertu. Żałuję tylko, że nie dysponuję CDV, bo wybuchające co chwilę okrzyki zachwytu publiczności wskazują na to, że i oko byłoby czym nacieszyć. Muzycznie jest to rodzaj *The Best Of...* Osobiście dodałbym do tego zestawu 1–2 utwory (np. *Prime Hover)*, poza tym jest tu wszystko co najlepsze, m.in. *Subdivisions, Red Sector A, Manhattan Project, Force Ten*. Czy można chcieć coś jeszcze?

Dla mnie ta płyta jest kolejnym dowodem, że Rush to najlepszy rockowy zespół świata! Umiejętności czysto techniczne stawiają go w czołówce każdej kategorii. Jeżeli macie wątpliwości, to posłuchajcie np. sola perkusji – tylko Bill Bruford mógłby to zrobić na takim poziomie. Wirtuozowskie popisy w ramach krótkich, 4–6 minutowych utworów każą schylić czoła nad dyscypliną i elegancją stylu. Wyważenie proporcji między gitarowym a syntezatorowym brzmieniem czyni muzykę absolutnie perfekcyjną. Jeżeli więc jakiś zespół zasługuje dzisiaj na miano twórców rockowych symfonii, to właśnie Rush.

Takie płyty jak *A Show Of Hands* sprawiają dużo radości, ale też stawiają pytanie: co dalej? I choć trudno to sobie wyobrazić, w wypadku zespołu Rush może być tylko lepiej. **(10)**

PIOTR PRASCHIL



ELLIS BEGGS & HOWARD
Homelands
RCA

Pamiętacie takiego blond gogusia nazwiskiem Nick Beggs i jego kapelę Kajagoogoo? Nie? Nic nie szkodzi, bo nowy Nick nie jest już takim przyjemniaczkiem, choć robi bardzo przyjemną muzykę pop. Plan, który nie powiódł mu się z Kaja, został zrealizowany cztery lata później w gronie nowych przyjaciół. Ciemnoskóry wokalista Austin Howard, klawiszowiec /perkusista Simon Ellis i grający na basie Beggs debiutują bardzo udanym krążkiem stanowiącym wzór grania muzyki pop u schyłku lat 80.

Bez pomocy trzech muszkieterów konsolety, czyli Stocka, Aitkena i Watermana, bazując na własnych utworach i własnych pomysłach aranżacyjnych Ellis Beggs & Howard zaskoczyli mnie oryginalnym brzmieniem i daleką od powszechnej, elektronicznej, nachalnej przebojowości poszczególnych numerów. To teraz prawdziwa rzadkość na płytach z muzyką pop, że wykonują ją przede wszystkim ludzie, zaś maszyny malują tylko potrzebne tło. A muzyka, choć zespół brytyjski, nosi wyraźne amerykańskie piętno. Nie chodzi tu tylko o czarny, momentami przypominający Prince'a dyszkant Howarda, ale o tak zwane korzenie. Trio Ellis Beggs & Howard potwierdza regułę, że rhythm and blues, soul i brzmienie Motown to najlepsze punkty wyjścia do tworzenia własnej muzyki. W tym wypadku mamy też udane próby rapu *(Big Bubbles No Troubles)* czy łamigłówek rytmicznych w tytułowym, nieco patetycznym *Homelands*. Dominuje jednak szalenie precyzyjna, funkująca muzyka, która dzięki bogatemu i pomysłowemu aranżowi (rewelacyjne, metalowe popisy gitarzysty Paula Harveya!) z powodzeniem atakuje nasze narządy słuchu. Tym bardziej, że sugestywny głos Howarda nie faszeruje nas bzdurną papką, ale tekstami, mówiącymi o trudach radzenia sobie z coraz bardziej chorą rzeczywistością.

Być może ten brak radości i optymizmu stoi na przeszkodzie wtargnięcia tria Ellis Beggs & Howard na europejskie listy przebojów, bo dotychczas trafił tam tylko numer *Where Did Tomorrow Go?* Serce mi pęka gdy widzę, że takie muzyczne kaleki jak Bros, czy Yazz robią kariery, zaś album *Homelands* dokonuje swej cichej i niezasłużonej agonii. To się nazywa pech, ale show business pochłonął już niejedną taką ofiarę. **(8)**

ROMEK ROGOWIECKI



THE FALL
I Am Kurious Oranj
Beggars Banquet

The Fall mają tyluż zawziętych przeciwników, co i zagorzałych zwolenników. Do tej drugiej grupy zalicza się m.in. Michael Clark, szef znanej grupy baletowej. W ubiegłym roku przygotował on swe kolejne przedstawienie, tym razem z okazji trzechsetlecia objęcia tronu angielskiego przez holenderskiego króla Wilhelma Orańskiego *(William Of Orange)*. Ponieważ historia często pojawiała się w utworach Marka ES, nic więc dziwnego, iż Clark właśnie jemu zaproponował napisanie muzyki do baletowego spektaklu. Smith, jako że miał na tym polu już pewne doświadczenia, propozycję przyjął.

I znakomicie się z tego zadania na *I Am Kurious Oranj* – wespół z całym zespołem The Fall – wywiązał. Z reguły tego rodzaju muzyka, spełniająca przede wszystkim rolę ilustracyjną, podporządkowaną obrazowi, czy – jak w tym przypadku – ruchowi, pozostawiona sama sobie nie robi wrażenia, traci wiele ze swej siły oddziaływania. W przypadku ostatniego LP The Fall jest jednak inaczej.

I Am Kurious Oranj to przyjemny LP, jak na The Fall wręcz nieprzyzwoicie przyjemny. Ot, choćby w akustycznym *Overture From I Am Curious Orange*, czy rytmicznym, przebojowym *Bad News Girls*. Co ciekawe, w powstaniu obu tych nagrań maczała palce niezwykle utalentowana żona Marka – Brix. Ale powrotów na stare terytoria, choć w nowym wydaniu, jest znacznie więcej. *Kurious Oranj* jest wręcz klasycznym przykładem – spod pozornej monotonii przebija się charyzmatyczny, chropawy głos Smitha melodeklamującego swe poglądy na temat konfliktu pomiędzy protestantami a katolikami. A wszystko ubarwione jest silnie zrytmizowaną muzyką, pełną wewnętrznej energii, z wciąż dającym się wyczuć duchem roku '76. Jeszcze bardziej „fallowskie" są solowe kompozycje Marka *(Wrong Place, Right Time* i *Cab It Up)*, trochę dzikie, pełne powtórzeń i odniesień do własnej przeszłości, choć ten drugi numer zrobiony jest już w konwencji nowego The Fall. Najjaśniejszy punkt płyty to niewątpliwie utwór *Jerusalem*, wspólne dzieło MES-a i... Williama Blake'a (który z pewnością przewraca się w grobie słysząc przeróbki Marka).

Cały LP jest zadziwiająco spójny, równy, intrygujący, pełen komentarzy i wycieczek ku przeszłości i teraźniejszości *Old Merry England* i okolic. Pokazuje, iż The Fall przetrwali w znakomitej formie, mimo iż po drodze wielu padło. Czy mówi wam to coś? **(8)**

TOMASZ SŁOŃ



KULT
Spokojnie
Polton

No i doczekaliśmy się trzeciego już longplaya grupy, która była niegdyś uważana, jak Polska długa i szeroka, za najbardziej „alternatyną", „undergroundową" itp. *Spokojnie* to zapis ostatniego – „psychodelicznego" okresu działalności Kultu. Kompozycje są dłuższe i bardziej rozbudowane. Muzycy więcej wagi przywiązują teraz do aranżacji (nic dziwnego – w nagraniu wzięło udział dziesięciu muzyków) i do brzmienia całości. Na szczególną uwagę zasługuje zwłaszcza wykorzystanie sekcji dętej (waltornia, trąbka i saksofon), której większość utworów zawdzięcza nowy, potężniejszy sound i łatwo rozpoznawalny klimat.

Zdaje się, że Kult wyzwolił się ze wszystkich dawnych, nowofalowych schematów. Są więc na tej płycie solówki – zakazane przecież przez punk rock, są też próby poszukiwań w innych muzycznych rejonach (np. nowa – swingująca wersja *Do Ani* lub utrzymana niemal w stylu country ballada *Landy)*.

Właściwie całą zawartość krążka mieliśmy już okazję wielokrotnie słyszeć podczas koncertów. Tak to już u nas jest i chyba nie da się tego (przynajmniej na razie) przeskoczyć. Ciekawe jednak, że „na żywca" te same numery bardziej przekonują, są porywające – czego nie ma niestety na płycie. Chlubnym wyjątkiem jest tu utwór *Axe* – tak samo pulsujący i transowy jak podczas wykonań koncertowych, ale dzięki zmienionej aranżacji bardziej przejrzysty. Moim zdaniem – numer jeden na stronie A (a może i B...?).

Recenzując ten album nie sposób nie wspomnieć o tekstach, które w twórczości zespołu zawsze odgrywały dużą (jeśli nie największą) rolę. Tak jest i na *Spokojnie*. Kazik śpiewa o wszystkim z czym się nie zgadza, co nie odpowiada mu we współczesnym świecie. Są więc utwory o granicach i podziałach *(Arahja)*, o religii – a właściwie o fanatyzmie *(Patrz!)*, i o prawie – które dla jednych jest inne niż dla drugich *(Tan)*. Są wreszcie piosenki o miłości *(Do Ani)* i nadziei *(Jeźdźcy)*. Wszystkie – jak zwykle w Kulcie są poważne i WAŻNE. Poza tym są po prostu dobre. Tak jak cała płyta. **(7)**

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI

Nieżywe Schaby czy Wesołe Węże?

Z JACKIEM PAŁUCHĄ rozmawia Arkadiusz Pragłowski

– Podobno zostałeś wyrzucony z Formacji Nieżywych Schabuf?

– *Odszedłem... A właściwie czy to ważne? Nie jesteśmy już razem i tyle.*

– Jak to się stało?

– *W pewnym momencie przestało mi się chcieć grać z tymi ludźmi. Nie było to już takie jak kiedyś, gdy graliśmy właściwie tylko dla przyjemności i była to dla wszystkich autentycznie fajna zabawa. Nie chciałem grać non stop koncertów – kiepsko przygotowanych od strony organizacji, na beznadziejnym sprzęcie – po prostu chałtur, w dodatku za śmieszne pieniądze. Poza tym muzyka zaczęła zmierzać w jakąś dziwną stronę, która mi się zupełnie nie podobała. Działo się to za moimi plecami – chłopcy sami zmieniali aranżacje i wychodziła z tego jakaś rockowizna.*

– A ty – jako lider – nie mogłeś się z tym nie zgodzić?

– *Oczywiście, że się nie zgadzałem, ale ile można się kłócić. W końcu postanowiłem, że już nie będę z nimi grał.*

– Z nimi – jako konkretnymi muzykami, czy z zespołem F.N.S.?

– *Z tymi konkretnymi ludźmi. Postąpiłem nierozsądnie, bo mogłem im po prostu powiedzieć, że już z nimi nie gram i byłaby taka sama sytuacja, a nie byłoby tylu stresów.*

– Wielu słuchaczy zna was głównie z jednej piosenki – *Klub Wesołego Szampana.* Nie sądzisz, że w tej sytucji możecie zostać uznani za kolejną sezonową gwiazdkę, grupę jednego przeboju, która po jedorazowym sukcesie musi się rozpaść?

– *Tak to wygląda, ale co jestem wart naprawdę pokaże powodzenie lub niepowodzenie mojej nowej grupy. W tej chwili mam dwanaście nowych piosenek, których nie zdążyłem zrobić z Formacją i są one wyłącznie moją własnością. Jest to materiał na płytę. Dobrą płytę. Tak się szczęśliwie w tej sprawie złożyło, że nikomu nie chciało się robić prób.*

– A właśnie – jak było z próbami – ty mieszkasz przecież w Warszawie, a pozostali muzycy w Częstochowie. Pamiętam, że już 1,5 roku temu, gdy zaczynałeś studia na warszawskiej ASP zastanawiałeś się, czy nie skompletować nowego składu spośród warszawskich muzyków. Może ta sprawa była główną przyczyną rozpadu?

– *Głównym powodem rozpadu było odcinanie kuponów od tego, co się kiedyś robiło i bazowanie na popularności kilku piosenek.*

– Co masz na myśli mówiąc o odcinaniu kuponów?

– *Koncerty na różnych dziwnych imprezach – cały czas z tym samym repertuarem, jakieś wywiady, programy telewizyjne i oczekiwanie... nie wiem na co – chyba na to, że któregoś dnia przyniosą w teczce kolejną płytę, od której znowu będzie można odcinać kupony.*

W tej chwili jest dosyć nieprzyjemna sytuacja, ale gdybym wyrzucił tamtych ludzi z zespołu i wziął nowych muzyków, to też nie byłoby w porządku, bo oni coś jednak zrobili przez te dwa lata. Mało, ale jednak. Z drugiej strony nie mogłem dopuścić do sytuacji, w której Formacja stałaby się kolejną polską wieśniacką kapelą, która jeździ w trasy, pije piwo, powoli się kończy i udaje, że wszystko jest O.K. Mnie nie cieszą takie koncerty. Myślę,że trzeba to robić bardzo dobrze i dostawać za to poważne pieniądze, albo nie robić tego wcale, bo staje się to upokarzające. Lepiej już robić gwoździe.

– Formacja Nieżywych Schabuf była grupą o ustalonej już niezłej pozycji. Pracowaliście na tę pozycję sześć lat...

– *Sześć lat to ja pracowałem! Inni nieco krócej. Nie jesteśmy w Rosji, żeby sobie mówić per „wy".*

– Nie żal ci, że to się już skończyło i będziesz musiał zaczynać całkowicie od początku?

– *Jestem dobrej myśli. To nie będzie tak, że wszystko od początku, bo ludzie kojarzą jednak moje nazwisko.*

– A co z nazwą?

– *No właśnie; zespół, który kiedyś założyłem, a właściwie kolejny skład tego zespołu, z którym grałem zaledwie dwa lata, występuje teraz pod nazwą, którą wymyśliłem i nie mam tu nic do powiedzenia. Mógłbym oczywiście pójść z tą sprawą do sądu i na pewno wygrałbym, ale nie mam zamiaru robić takiego wieśniactwa jak np. Papa Dance. Niech sobie chłopaki grają i zobaczymy, co z tego będzie. Myślę, że ten zespół niedługo umrze śmiercią naturalną – ile czasu można grać ten sam repertuar – pół roku? Rok? Później cała sprawa musi upaść. Być może wtedy „reaktywuję" Formację.*

– A jednak! Pozostaje wątpliwość, czy obecna Formacja na pewno umrze śmiercią naturalną.

– *Ja nie życzę im źle, ale wiem jaki tam jest potencjał twórczy. Cienko jest... Ale może coś im z tego wyjdzie.*

– Twoi byli koledzy twierdzą, że wszystkie kompozycje są wspólne. Jako takie zostały też zgłoszone w ZAIKSie. Może nie jest więc tak cienko, jak twierdzisz?

– *Rzeczywiście utwory tak zostały zgłoszone w ZAIKSie (z różnych zresztą powodów), ale nieprawdą jest, że wszyscy są ich autorami. Były one wspólnie aranżowane, ale komponowanie... tego nie można robić wspólnie. Pomysły są moje i Szczepana. Dwie piosenki są gitarzysty – Wojtka Wierusa i klawiszowca – Jacka Otręby. Weź pod uwagę fakt, że większość utworów z obecnego repertuaru powstała cztery, pięć, a nawet sześć lat temu, gdy grałem w duecie ze Szczepanem. Nieporozumienia wynikają też stąd, że polskie przepisy nie uwzględniają pracy aranżera – za to nikt nie daje pieniędzy. W takiej sytuacji wpisuje się zwykle wszystkich, którzy „coś zrobili". W tym momencie jestem np. nie w porządku w stosunku do Szczepana, który nie jest wpisany do ZAIKSu, bo nie jest obecnie członkiem zespołu i nie dostanie za swoją pracę żadnych pieniędzy. On co prawda mówi, że mu na tym nie zależy, ale problem pozostaje i ja się głupio czuję.*

Najprawdopodobniej w momencie, gdy ukaże się ten wywiad mój nowy zespół (będzie się nazywał Jacek Pałucha i Wesołe Węże lub Jacek Pałucha i Fabryka) stanie się już znany. Mam nowy skład – świetnych muzyków i komputer; supermaszynę, którą można wykorzystywać w nieprawdopodobny sposób. To, co robię jest naturalną konsekwencją tego. co robiłem w Formacji.

– Przed chwilą powiedziałeś, że odejście z zespołu to była twoja decyzja.

– *Prawdę mówiąc o tym, że nie jestem w zespole dowiedziałem się od znajomych, którzy słuchali w radiu relacji z gdańskiego koncertu Krajowej Sceny Młodzieżowej. Nie chciałem tam jechać i mimo wszystko myślałem, że nie dojdzie do występu Formacji na tej imprezie. Chociaż... to chyba musiało się tak stać. Miałem zamiar odejść od zespołu, ale najpierw chciałem to zrobić tak, że wziąłbym innych muzyków i grałbym z nimi pod szyldem F.N.S. – tak, jak to już wiele razy się w tym zespole działo. Ostatni skład – ten, z którym nagrałem płytę był sprawny, ale zaczynała się tam psuć atmosfera.*

– Z jakiego powodu?

– *Powodów było wiele. Ja sam nawet nie wiem, który był najważniejszy. Nie chciałbym wyjść na gościa, który ma do nich żal. Każdy ma swoją osobowość; są ludzie bardziej stali pod względem emocjonalnym, inni dają się szybko oszołomić. Sukcesem, popularnością, pieniędzmi – nie wiem czym jeszcze. Poza tym szybko tracą świeżość i myślą tylko o zarabianiu pieniędzy.*

– Myślisz, że sława uderzyła im do głowy?

– *Nie wszystkim. Tym, którzy mieli pretensję do tego, by być współliderami zespołu. Spoczęli na laurach.*

– Ty nie chciałeś się zgodzić na współliderów?

– *Ludzie, którzy będą grali ze mną teraz, są moimi bliższymi znajomymi. To bardzo ważne. Zresztą niektórzy z nich już kiedyś grali ze mną w Formacji. Gitarzysta – Paweł Orzeł grał dawniej na basie (zresztą to on skomponował „Welcome to Zangaro"), teraz doszedł do wniosku, że „bas jest takim mało harmonicznym instrumentem" i został gitarzystą. Na klawiszach miał grać Szczepan – współzałożyciel grupy i współautor większości utworów, ale niedawno opuścił nasz kraj i chyba nie wróci... W tej sytuacji najprawdopodobniej zagra z nami Karmila (nawiasem mówiąc jest to ta sama dziewczyna, która tak rewelacyjnie wyśpiewała chórki w „Szarej młódzi" T. Love). W grupie będą jeszcze perkusista Eryk Sesołowicz i Adam Mrożek grający na saksofonie. Widzisz, ludzie, z którymi gram, muszą być pewni.*

– Co to znaczy pewni? Dobrzy muzycy, czy... twoi koledzy?

– *Przede wszystkim moi koledzy, a poza tym profesjonalni muzycy. Teraz takich mam.*

– A nie boisz się takiej sytuacji, że np. Jacek Śliwczyński, który gra również w T. Love, będzie bardziej zaangażowany w tamten zespół i nie będzie miał dla ciebie czasu?

– *Ja nie popełnię takiego błędu jak większość kapel (chociażby T. Love). Nie będę grał dużo koncertów, najwyżej jeden, dwa w roku i muszą to być imprezy dokładnie przygotowane. Całe przedstawienie – plastyczne, barwne, ciekawe. Żadnego odwalania chałtury! Nigdy nie zgodę się już na trasy koncertowe, po prostu widzę jak to wpływa na ludzi. Kompletna czapka.*

– Ale to przynosi pieniądze.

– *Ale jakie? To nie są takie zarobki jakie być powinny.*

– Dla muzyków – ludzi utrzymujących się wyłącznie z grania – jest to jednak jedyna szansa, aby zarobić na życie.

– *Zrozum... ja nie mogę się na tym za bardzo koncentrować, bo nie jest to coś, co wypełni mi całe życie. Przede wszystkim maluję, a granie jest dla mnie wyłącznie zabawą. Będę pracował tylko z takimi ludźmi,którzy mają inne zajęcia i inne źródła utrzymania, a współpraca ze mną będzie dla nich właśnie zabawą.*

– Obiła mi się o uszy opinia, że Formację „rozsadził" menażer. Jeszcze rok temu zastrzegałeś się, że nigdy nie będziesz miał nikogo takiego. I co teraz?

– *Chłopaki bardzo chcieli grać koncerty, a ja nie chciałem się wykłócać z organizatorami o pieniądze, miejsce w hotelu, sprzęt i setki innych spraw. Musiał więc zająć się tym ktoś inny. Menażer. Później on był zainteresowany tym, żebyśmy grali jak najwięcej koncertów, bo na tym zarabiał. Miał pełnomocnictwa i mógł podpisywać umowy w imieniu zespołu. I podpisywał... Pozaciągał zobowiązania, o których wcześniej nie miałem pojęcia i na które nie mogłem się zgodzić, ponieważ mam również inne zajęcia – np. studia. Wynikła między innymi sprawa tego koncertu w Gdańsku. Gdyby do niego nie doszło, on musiałby pokryć koszty wynikłe z niedotrzymania umowy, którą podpisał. Pewnie dlatego namówił chłopaków, żeby zagrali beze mnie.*

– Nie widzisz możliwości dalszej współpracy z ludźmi, którzy obecnie tworzą Formację?

– *Nigdy w życiu. Po prostu nie miałoby to sensu. Trzeba być konsekwentnym.*

– Gdy usłyszałem, że nie jesteś w Formacji przypomniało mi się, że planowałeś niegdyś współpracę z Wojtkiem Płocharskim (autorem tekstu *Klub Wesołego Szampana).* Niedawano założył on z Muńkiem Staszczykiem trochę efermetyczną grupę The Jesus Puojares – nie myślałeś o tym, aby się do nich przyłączyć?

– *Nie. Nie miałoby to chyba większego sensu. Nie chcę, żeby między nami mogło dojść do sporów czy awantur z powodu repertuaru lub koncepcji zespołu. Dlatego myślę, że lepiej będzie, jeśli stosunki między Wojtkiem i mną pozostaną takie, jakie są. Chociaż... cały czas jest otwarta sprawa, kto będzie grał w „Fabryce" na klawiszach. Poza tym w nowym repertuarze na pewno będą jego teksty. Jest rewelacyjnym tekściarzem.*

– Dlaczego posiłkujesz się tekstami Wojtka, skoro sam piszesz i w dodatku jesteś uważany za znakomitego autora tekstów?

– *Jego teksty bardzo mi się podobają i uważam, że są lepsze niż moje.*

– To znaczy, że sam przestaniesz pisać?

– *Oczywiście, że nie. Będzie mniej więcej pół na pół. Teksty Wojtka są bardziej słoneczne, a moje bardziej ponure, niesamowite. On jest po prostu trochę inny niż ja.*

– W tej chwili znajdujesz się w fazie tworzenia nowego zespołu. Interesuje mnie co na przykład będziesz robił przez najbliższe cztery tygodnie, czy masz jakiś plan działania, jakąś strategię?

– *W przyszłym tygodniu zrobimy pierwsze próby w nowym składzie. Poza tym chciałbym – być może dojdzie to do skutku – nagrać dwa, trzy utwory dla Rozgłośni Harcerskiej. A później oczywiście płytę.*

– To był chyba jedyny poważny wywiad, jakiego udzieliłeś w swojej karierze?

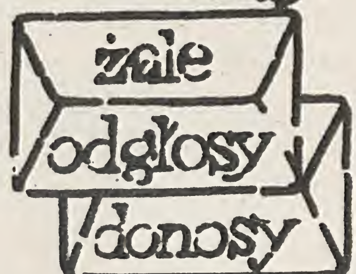
– *No właśnie. Pewnie wyjdę teraz na smętnego faceta, który jest rozczarowany życiem. Ha, ha, ha... będzie dobrze. Zobaczysz.*

– Dziękuję za rozmowę.



Fot.: ZBIGNIEW LASKOWSKI





List otwarty do dziennikarzy tzw. muzycznych i innych znawców przedmiotu.

Na początek kilka cytatów: (...) „grupy typu Dezerter mogę rozpatrywać wyłącznie w kategoriach cennego czasami zmysłu prowokacji, ale na pewno nie intencji muzycznych." (...) „Z politowaniem patrzę na Dezertera i inne zespoliki, których nazwy kojarzą się z ubikacją, śmiercią kliniczną i czym tam jeszcze" (...) „dwa słowa o Dezerterze. Co mam do zarzucenia? Tylko to, że prócz mocnego, acz nie zawsze równego łojenia oraz tanich, grepsiarskich tekstów, nie ma nic więcej do zaolerowania" (...) Tak pisano o zespole 2 i więcej lat temu, a tak pisze się teraz, po ukazaniu pierwszej polskiej płyty Dezertera: (...) „Gdyby zależało to ode mnie, Dezerter otrzymałby Nagrodę Młodych im. Wyspiańskiego i z całą pewnością byłby najmłodszym, ale nie najmniej zasłużonym z laureatów: (...) „W tekstach Dezertera, jak wiadomo, nie ma miejsca na grafomańską żenadę, ani mózgowe spłycenie (...)".

Po zapoznaniu się z powyższymi cytatami nasuwa się pytanie: czy od czasu wydania pierwszego (i ostatniego) singla zespołu jego muzyka tak bardzo się zmieniła, czy po prostu dojrzeli do niej „fachowcy"? (...) Ponad połowa utorów zawartych na płycie to kompozycje sprzed co najmniej 5 lat, a ich studyjne wersje niewiele się różnią od koncertowych odpowiedników z pierwszej połowy lat 80. A więc to nie muzyka się zmieniła, to dziennikarze po latach otworzyli oczy. Wypadałoby się tylko cieszyć i pogratulować im tego cudownego ozdrowienia (choć nie wszystkim). Szkoda tylko, że cud, o który tyle lat modlili się czadrock'n'rollowcy, nadszedł tak późno. Dezertera zrehabilitowano za życia, ale na pośmiertną rehabilitację czekają jeszcze Siekiera, Śmierć Kliniczna, WC, TZN Xenna i wiele innych. I to jest właśnie zadanie dla cudownie ozdrowiałych.

Z poważaniem
PIOTR SAMBURSKI
Warszawa

Oto list miesiąca. Po kasetę Firmy POLTON uprzejmie zapraszamy do redakcji



Szanowna Redakcjo!
1. Dobrze, że zmieniliście się.
2. Dobrze że wprowadziliście punktację, ale LP Klausa Mit Focha zasługuje na 2, a nie na 10 p.
3. Dobrze, że odszedł Pacuda.
4. Dobrze, że piszecie dużo o metalu.
5. Dobrze, że Brzozowicz przejechał się po Polskiej TV.
6. Źle, że nie zamieszczacie krzyżówek w każdym numerze.
7. Źle, że nie zamieściliście recenzji LP Tracy Chapman.
8. Źle, że na środku numeru nie ma plakatu zagranicznego wykonawcy.
Na koniec prośba: napiszcie historię grupy The Beatles.

KRZYSZTOF SŁUPINA
Katowice

Podsumowano nas zwięźle i treściwie, ale czy rzeczywiście już czas na historię The Beatles?



Szanowna Redakcjo!
Moje postualty na RO/C/K 1989:
1. Jeszcze raz napisać o King Crimson i Sex Pistols. (...) o King Crimson pisaliście aż w 2 numerach, ale pan Dorobek nie napisał o zespole, tylko zrobił doktorat ze znajomości obcych słów. Kto to rozszyfruje?
2. Wprowadzić stałą rubrykę pt. SUPLEMENT, w której będzie dokładna dyskografia + okładki płyt (kolor).
3. Rubryka PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI musi być na stałe.
4. W rubryce LP i CD pod każdym albumem musi być program tej płyty.
5. Zwerbować do współpracy Henryka Palczewskiego i Karola Majewskiego z cyklem AWANGARDA.
6. Panie Mroczek, czy Pan słyszał o zespole NITZER EBB? Odkrycie roku 1987. A wy nic?!
7. Ludzie czy Wy śpicie? Przez 5 lat w PRL nikt (!) nie napisał o JETHRO TULL, TANGERINE DREAM, RESIDENTS, CABARET VOLTAIRE, SUICIDE, KILLING JOKE. Głupio Wam?
8. Wkrótce musi być artykuł o DAF, ALIEN SEX FIEND i innych „zakręconych odjazdowych".
9. I tak jesteście świetni.

WIESŁAW BAJ
Motycz

Koniec z podsumowaniami, bo się nam w głowach poprzewraca.

Pytania, wątpliwości...

Od dość dawna czytam „Magazyn Muzyczny", ale jeszcze nie miałem okazji pisać do Was listu. Czy nie bylişcie w stanie zamieścić dyskografii dwóch wspaniałych zespołów: U2 i Depeche Mode? **(Zbyszek Rogalski, Łódź).**

Po dyskografię Depeche Mode sięgnij do „MM" 4/88. U2 wydali dotychczas następujące longplaye:
Boy (listopad'80, Island),
October (październik'81, Island),
War (luty'83, Island)
Under A Blood Red Sky (listopad'83, Island)
The Unforgettable Fire (październik'84, Island)
The Joshua Tree (marzec'87, Island),
Rattle And Hum (październik'88, Island)



W styczniu „MM" podaliście listę wykonawców, którzy w tym roku wpisani zostali do „Rock'n'Roll Hall Of Fame". Czy moglibyście podać, od kiedy istnieje ten Salon Sławy i kto do tej pory znalazł się w nim? **(Andrzej Kurlys, Poznań).**

„Rock'n'Roll Hall Of Fame" powstał z inicjatywy amerykańskiego dwutygodnika „Rolling Stone" i szybko zyskał sobie poważnych sponsorów. Pierwsza edycja odbyła się w 1985 r. i wówczas w Salonie Sławy znaleźli się: Chuck Berry, James Brown, Ray Charles, Sam Cooke, Fats Domino, The Everly Brothers, Buddy Holly, Jerry Lee Lewis, Little Richard i Elvis Presley.

Rok później do tej listy dołączyli: The Coasters, Eddie Cochran, Bo Diddley, Aretha Franklin, Marvin Gaye, Bill Haley, B.B. King, Clyde McPhatter, Ricky Nelson, Roy Orbison, Carl Perkins, Smokey Robinson, Big Joe Turner, Muddy Waters i Jackie Wilson. W 1987 r. dopisano zaś: The Beach Boys, The Beatles, The Drifters, Boba Dylana, The Supremes.

Jednocześnie, niejako równolegle, na liście Rock'n'Rollowego Salonu Sławy umieszczane są nazwiska osób, które bądź to wywarły duży wpływ na innych wykonawców, bądź też działając nieco za kulisami wielkiej sceny, wydatnie przyczyniły się do jej funkcjonowania (dotyczy to np. znanych producentów, dziennikarzy, kompozytorów, właścicieli lub założycieli znanych wytwórni płytowych itp.). W ten sposób w tym ekskluzywnym salonie znaleźli się: Alan Freed, Robert Johnson, Sam Phillips, Jimmie Rodgers, Jimmy Yancey (w 1985 r.), Leonard Chess, Ahmet Ertegun, John Hammond, Louis Jordan, Jerry Leiber i Mike Stoller, T-Bone Walker, Jerry Wexler, Hank Williams (w 1986 r.), Berry Gordy Jr., Woody Guthrie, Leadbelly, Les Paul (w 1987 r.) oraz w ostatniej edycji Bessie Smith, The Ink Spots, Phil Spector i The Soul Stirrers.



Co dzieje się z The Damned, rozpadli się, czy żyją jeszcze? Przy okazji mała prośba o podanie, które sesje zespołu dla Johna Peela zostały wydane dotąd na płytach wytwórni Strange Fruit. **(Jarek B., Płock).**

Trudno tu powiedzieć coś jednoznacznie. Zespół nie ogłosił o swym rozpadzie, ale wiadomo też, iż w 1987 r. skończył mu się kontrakt z wytwórnią MCA i do tej pory The Damned nie podpisali z nikim nowego, choć kilka znanych firm wyraziło umiarkowane zainteresowanie. W ubiegłym roku grupa spędziła sporo czasu w Stanach Zjednoczonych, gdzie koncertowała, co świadczy raczej, iż nie zamierza szybko złożyć broni. Jest więc szansa, iż w b. roku usłyszymy nowy LP grupy.

Wytwórnia Strange Fruit, specjalizująca się w wydawaniu płyt z sesjami dla Radio 1, jak dotąd wydała dwie płyty z nagraniami The Damned. Na pierwszej ukazały się nagrania zarejestrowane w maju 1977 r. (m.in. *Sick Of Being Sick i Fan Club),* na drugiej sesja z listopada'76 (m.in. *Stab Your Back i Neat Neat Neat).*



Jestem fanem grupy Queen i oczywiście Freddiego Mercury'ego. Czy za waszym pośrednictwem mógłbym poznać całą dotychczasową dyskografię grupy, jak i Mercury'ego? **(Rafał Jakubowski, Mogilno).**

Ze względu na szczupłość miejsca przedstawiamy tylko płyty Queen:
Queen (marzec'73)
Queen II (kwiecień'74),
Sheer Heart Attack (listopad'74),
A Night At The Opera (grudzień'75),
A Day At The Races (grudzień'76),
News Of The World (październik'77).
Jazz (listopad'78),
Live Killers (czerwiec'79),
The Game (czerwiec'80),
Greatest Hits (październik'81),
Hot Space (maj'82),
The Works (marzec'83),
A Kind Of Magic (maj'86),
Live Magic (grudzień'86).
Nowy LP zespołu awizowany jest na koniec kwietnia.

GIEŁDA PŁYT
KUPON 4/89

◄ Poszukuję dokładnych opisów wykonawców muzyki rockowej (kupię lub wymienię). Kupię numery „MM" z lat 70. Sławomir Wąsik, ul. 1 Maja 59 m. 80, 26-600 Radom

◄ Poszukuję płyt następujących wykonawców: Budgie, Thin Lizzy, T.Rex, Nazareth, Breakout. Jerzy Bojanowski, oś. ZWM 1/5, 32-540 Trzebinia, woj. katowickie

◄ Poszukuję LP: *Cień Wielkiej Góry* Budki Suflera, *Na fujarce* i *Spokój serca* Czerwonych Gitar, poz. 16 z cyklu *Archiwum polskiego beatu* – Breakout. Proponuję kupno lub wymianę. Bogusław Pomierny, Oś. Kolorowe 11a/18, 31-930 Kraków

◄ Kupię single, „czwórki" i longplaye oraz składanki zespołów i solistów polskiego big beatu z lat 60. i 70. (np. Czerwone Girary, No To Co, Polanie, ABC, Trubadurzy, Niemen, Grunwald). Tomasz Przeźwoźniak, ul. Komandosów 6, 85-549 Bydgoszcz

◄ Teatr Dźwięku ATMAN współpracuje z Ośrodkiem Teatru Warsztatowa. Tarnów, ul. Warsztatowa 12, t. 222-402

◄ Odstąpię w stanie idealnym koncertowe albumy m.in. Deep Purple, Eagles, Led Zeppelin, Nazareth, Queen, Rainbow, Thin Lizzy, a także reedycje polskiego beatu vol. 1-25. Roman Lisiecki P – 74, 97-300 Piotrków Trybunalski

◄ Kupię firmowe kasety polskie z różną muzyką z różnych lat. Stan idealny. Podać cenę. Andrzej Radczak, 31-429 Kraków ul. Łukasiewicza 14

Od Redakcji: Zamieściliśmy ogłoszenie pana Wąsika w całości, chociaż „MM" nie istniał jeszcze w latach 70. Może chodzi o „Jazz", którego jest kontynuacją? Pani Katarzyna Hake chwali nas za nowe zasady zamieszczania ogłoszeń, ale przysyłając własne ogłoszenia, nie spełnia koniecznych warunków **(przekaz na sumę 500 zł na konto Warszawskiego Wydawnictwa Prasowego PKO XV O/O Warszawa 1658/201289/139/11 w liście do Redakcji wraz z ogłoszeniem)**. Dokładne informacje w „MM" nr 1/89.



Myślące, młode, wyzwolone dziewczyny uzbrojone tylko w gitary w niezwykle taktowny sposób zmieniły oblicze list przebojów i muzyki pop. Do słynnych już folkujących dam w osobach (chronologicznie) Suzanne Vega i Tracy Chapman dołączyła latem '88 brytyjska wokalistka Tanita Tikaram.

Ponoć w żyłach 19-letniej Tanity płynie mikstura fidżijsko-malezjańskiej krwi, ale potocznie określa się ją jako pannę z Basingstoke. Jak sama wspomina większość jej szkolnych znajomych słuchała murzyńskiego wokalisty Luthera Vandrossa lub starych nagrań The Doors czy Velvet Underground. Tanita miała jednak swoich idoli – Joni Mitchell, Leonard Cohen i Van Morrison. Uzasadniając swój podziw dla Cohena panna Tikaram twierdzi – *Zawsze dziwiło mnie pewne zamieszanie wokół Cohena i fakt, że ludzie ignorują zmiany, jakie zachodzą w jego muzyce. Nie wydaje mi się, by ludzie pisali nieszczęśliwe piosenki. Oni tylko zajmują się codziennymi sprawami i rzeczami, które ranią i przerażają nas wszystkich. Utwór Cohena „Bird On The Wire" naprawdę podtrzymuje mnie na duchu.*

Niczym Cohen, Tanita Tikaram sama pisze teksty i muzykę, a jej głęboki, mroczny głos przywołuje w pamięci melodeklamacje kanadyjskiego poety. Debiutancki album *Ancient Heart* (WEA) ukazał się jesienią '88, w chwili kiedy Tanita miała już w Top 10 skoczny hit *Good Tradition* opwiadający o miłości i zawiści. Kolejne dwa single – *Twist In My Sobriety* oraz *Cathedral Song* też dały o sobie znać na listach przebojów, choć moim zdaniem ten pierwszy numer pasuje nastrojem równie dobrze na... uroczystość pogrzebową. Zapytana o wymowę swoich tekstów Tanita stwierdziła – *Nienawidzę mówienia o własnych tekstach i próby ich interpretacji. Gdybym była dobrym gawędziarzem lub gdybym znała siebie rzeczywiście dobrze, nie musiałabym w ogóle pisać piosenek. Ja nie piszę ich w racjonalny sposób.* Dodała też, że jest bardzo zadowolona z nagrań z debiutanckiego krążka.

Ancient Heart, płyta której współproducentem był znany ongiś muzyk Rod Argent, stanowi pierwszy krok w nietypowej karierze Tanity Tikaram. Jedno jest już jednak pewne. Tanita oprócz talentu ma oryginalną osobowość, a to pozwoli jej śpiewać i nagrywać przez wiele lat. Jej antyimage prostej, staromodnej dziewczyny daje natomiast gwarancję, że Tanita jest suwerenną częścią skomercjalizowanego show businessu. Mam nadzieję, iż taką pozostanie. (rr)